

JOSEPH DELANEY

KRONIKI
GWIEZDNEJ
KINGI

MRO CZNA
ZEMSTA

KONTYNUACJA KULTOWEJ SERII
KRONIKI WARDSTONE

JOSEPH DELANEY
KRONIKI
GWIEZDNEJ
KLINGI

MROczNA ZEMSTA

Przełożyła Paulina Braiter



Tytuł oryginału: *The Dark Assassin*

Redakcja: Paweł Gabryś-Kurowski

Korekta: Karolina Wąsowska

Skład i łamanie: Ekart

Typografia na okładce i stronie tytułowej w wydaniu polskim: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright © Joseph Delaney, 2017

Cover illustration copyright © Two Dots, 2017

Interior illustrations copyright © David Wyatt, 2014

Published by arrangement with Random House Children's Publishers UK, a division of The Random House Group Limited.

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-619-2

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://www.youtube.com/wydawnictwojaguar)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Mapa

Motto

Prolog

ROZDZIAŁ 1. SPRAWA DLA STRACHARZA

ROZDZIAŁ 2. SZKOLISZ DZIEWCZYNE

ROZDZIAŁ 3. KOCICZKA

ROZDZIAŁ 4. BEZPIECZNA KRYJÓWKA

ROZDZIAŁ 5. CO LUDZIE ZOWIĄ PIEKŁEM

ROZDZIAŁ 6. DEMON TANAKI

ROZDZIAŁ 7. KRÓLESTWO PANA

ROZDZIAŁ 8. PODRÓŻ DO MŁYNA

ROZDZIAŁ 9. TRUPY

ROZDZIAŁ 10. KIM JESTEM?

ROZDZIAŁ 11. KRÓLOWA CZAROWNIC

ROZDZIAŁ 12. KUPIĄCY KOCIOŁ

ROZDZIAŁ 13. SAMICE TO ZWIERZĘTA

ROZDZIAŁ 14. ROSNĄCE ZAGROŻENIE

ROZDZIAŁ 15. JAKAŻ TO MROCZNA ISTOTA

ROZDZIAŁ 16. WODNA WIEDZMA

ROZDZIAŁ 17. PALĄCE ŚWIATŁO

ROZDZIAŁ 18. SHAIKSA Z ŁUKIEM

ROZDZIAŁ 19. DWÓR CHINGLE

ROZDZIAŁ 20. PLAN LUKRASTY

ROZDZIAŁ 21. W DIABELSKIM TRÓJKĄCIE

ROZDZIAŁ 22. STOS CIAŁ

ROZDZIAŁ 23. SCHRONIENIE WIEDŹM

ROZDZIAŁ 24. MAKRIŁDA, WIEDŹMA ZABÓJCZYNI

ROZDZIAŁ 25. PORTAL

ROZDZIAŁ 26. DWIE WIEŻE

ROZDZIAŁ 27. BÓG KOBALOSÓW

ROZDZIAŁ 28. SREBRNE PALCE

ROZDZIAŁ 29. SREBRNA KLATKA

ROZDZIAŁ 30. PRAWDZIWE OBLICZE ALICE

ROZDZIAŁ 31. MUSISZ ZAPŁACIĆ

ROZDZIAŁ 32. MROCZNY MŚCICIEL

Glosariusz świata Kobalosów

Polecamy

Dla Marie



Nie sądź, że powrócisz na ziemię z bijącym sercem i ciepłą krwią krążącą w żyłach. Nigdy już nie posilisz się rybą, mięsem ni owocem. Nie pociągniesz też łyka lodowatej wody z górskich strumieni, nie poczujesz na skórze ciepła słońca. Po pierwsze, każdy powrót do świata żywych sprawi ci niewiarygodny ból; możesz też pozostać tam jedynie w godzinach ciemności. Nim zapieje kur, musisz powrócić w Mrok, inaczej pierwsze promienie wschodzącego słońca spalą cię na popiół.

– Hekate, Królowa Czarownic

PROLOG

Ocknęłam się w ciemności, dygocząc z zimna. Umysł miałam otępiały, pozbawiony jakichkolwiek wspomnień.
Kim jestem?

Leżałam na wznak, spoglądając w absolutnie czarne, bezgwiazdne niebo. Księżyc w pełni wisiał nisko nad horyzontem. Miał barwę krwi.

Czułam się oszołomiona.

Gdzie ja jestem?, pomyślałam.

Usiadłam powoli, rozglądając się dookoła. Otaczała mnie równina, z której wyrastały martwe drzewa i kępy krzaków. W oddali widziałam światła i niewyraźny zarys czegoś przypominającego domki.

Wstałam i powoli, potykając się, ruszyłam ku nim chwiejnym krokiem. Może znajdzie się tam ktoś, kto mi pomoże – a przynajmniej poda nazwę tego dziwnego miejsca. Nie podobał mi się wygląd księżyca; powinien być bladoszary, a nie potworny, rozdęty i umazany krwią. Miałam wrażenie, że obserwuje każdy mój krok.

Czułam, że stopniowo wracają mi siły. Przyspieszyłam, maszerując w stronę domków, nagle jednak zatrzymałam się gwałtownie, słysząc w ciemności za plecami dźwięk przypominający warkot zwierzęcia. Nieznany stwór znów warknął i mój niepokój zmienił się w strach.

Coś mnie śledziło. Słyszałam, jak w mroku podchodzi coraz bliżej. W nagłej panice umknęłam ku najbliższemu światłom.

Przebiegłam zaledwie kilkanaście kroków, gdy ujrzałam zbliżającą się postać; zmierzała wprost ku mnie. Teraz niebezpieczeństwo miałam nie tylko za plecami, ale i przed sobą.

Nagle uświadomiłam sobie, że potrafię oceniać ludzi po ich kroku. Postać maszerowała z energią i lekkością wynikającą z pewności siebie, szła jak wojownik. Zagrożenie stawało się coraz

bardziej realne.

Ktokolwiek to był, zatrzymał się jakieś sześć stóp ode mnie. Ja też przystanąłam, dygocząc ze strachu. Może nadeszła chwila, kiedy me życie dobiegnie końca? Może drżenie kończyn świadczyło, że śmierć jest blisko... Umysł miałam oszołomiony, ale niewykluczone, że ciało wyczuwało swój zmierzch.

– Grimalkin? To ty? – zawołała postać.

Jej słowa zadziały niczym zaklęcie. Wstrząsnęły mną do głębi. Ciało przestało dygotać, strach zsunął mi się z ramion niczym znoszony płaszcz. Gdzieś w odległej przeszłości słyszałam już to imię i teraz z ogromnym wysiłkiem próbowałam przypomnieć sobie wszystko, co się z nim łączyło.

Uświadomiłam sobie, że głos, który usłyszałam, należał do dziewczyny. Podeszła bliżej i uśmiechnęła się, a ów uśmiech był jak światło, rozjaśniające mroki.

Dobrze ją znałam. Nazywała się Thorne.

Imię Grimalkin obudziło ciąg wspomnień. Umysł zalały barwne, ostre obrazy: zobaczyłam przeciwników padających przede mną, ich ciała zlane krwią. Moje klingi cięły i przebijały, dobywałam nożyczek z pochewki ukrytej pod lewą pachą i odcinałam blade kciuki martwych wrogów.

Nagle cała moja tożsamość powróciła.

Jestem Grimalkin.

Nie żyję...

Ale wciąż pozostaję Grimalkin.

Znalazłam się w Mroku. Przypomniałam sobie starcie na moczarach Anglezarke i to, jak zaatakowałam Golgotha, Władcę Zimy, pędząc ku niemu z nożami. Wiedziałam, że nie wygram, ale przynajmniej zyskałam trochę czasu, by Alice, ziemna wiedźma, mogła z nim walczyć.

A potem nadeszła chwila przesywającego zimna i ostrego bólu i runęłam w ciemność. Moje ziemskie życie wiedźmy zabójczyni dobiegło kresu.

Przestałam się bać. Teraz czułam rzemienie wpijające mi się w ciało. Ucieszyłam się, znajdując na miejscu wszystkie klingi:

krótkie do rzucania i długie do walki wręcz. Pomacałam pod lewą pachą: nożyczki tkwiły bezpiecznie w swojej pochewce. Tu, w Mroku, znajdę inne martwe wiedźmy: nieprzyjaciółki, z którymi walczyłam w przeszłości, a może też nowe przeciwniczki. Czy zdołam odebrać im kciuki, by się wzmocnić? Czy Mrok w czymkolwiek przypomina ziemię?

I nagle uświadomiłam sobie, że moje serce bije i oddycham miarowo, tak jak za życia.

W tym momencie ogarnął mnie żal.

Nigdy już nie będę wiedźmą zabójczynią klanu Malkinów. Inna czarownica zajmie moje miejsce – zapewne już zajęła. Nie będę też mogła pomóc ludziom w ich walce z Kobalosami: rasą, która wypowiedziała nam wojnę, zamierzając wybić wszystkich mężczyzn i zniewolić kobiety. Pomyślałam o dziewczętach i niewiastach pozostających w niewoli u Kobalosów i załała mnie fala smutku. Przysięgłam, że je uwolnię, teraz jednak, w Mroku, nie mogłam owej przysięgi dotrzymać. Pozostało mi jedynie liczyć na to, że pozostali na ziemi sojusznicy zwyciężą bez mej pomocy.

Śmierć jest czymś ostatecznym. Trudno się z tym pogodzić, ale nie zmienię tego, co się stało. Muszę porzucić przeszłość i odnaleźć się w nowej sytuacji.

Co się zmieni? Jakie szanse ofiaruje mi Mrok?

Z powrotem skupiłam uwagę na stojącej przede mną dziewczynie. Kiedy się znałyśmy, szkoliłam ją na wiedźmę zabójczynię, taką jak ja. Byłyśmy sobie bliskie.

Płakałam, kiedy moi wrogowie zabili Thorne – ale łyzy to strata czasu. Niczego nie dają. Potem zemściłam się, ścigając po kolei wszystkich jej zabójców.

Zerknęłam na dłonie dziewczyny. Po śmierci odcięto jej kciuki, teraz jednak znów były całe.

– Dobrze cię widzieć, dziecko – powiedziałam.

W pełni odzyskałam pamięć. Umysł miałam ostry i czysty jak za życia, może nawet bardziej.

– Ciebie też dobrze widzieć, Grimalkin – odparła Thorne. – Ale wolałabym, abyśmy spotkały się w innych okolicznościach. Mrok to

okropne miejsce. Trudno tu przetrwać.

– Ale ty przetrwałaś, dziecko. Jestem pod wrażeniem – rzekłam.

– Najwyraźniej dobrze cię wyszkoliłam. Teraz możesz nauczyć mnie wszystkiego, co muszę wiedzieć o tym miejscu.

– Dlatego właśnie przyszedłam. Kiedy dusza tutaj przybywa, pierwsze godziny są najbardziej niebezpieczne. Pomogę ci, jeśli mi pozwolisz.

– Skąd wiedziałaś, że umarłam? – spytałam.

– Są tacy, którzy świetnie wiedzą, co się dzieje na ziemi. Nazywamy ich Obserwatorami. Przyjmują postać kruków. Uprzedzili mnie o twojej śmierci, więc przybyłam z pomocą. Większość tych, którzy służą Mrokowi, materializuje się właśnie na tym wilgotnym i zimnym polu.

– Wiesz, co się stało po mojej śmierci? Czy pozostali przeżyli? – spytałam.

– Owszem, wiem prawie o wszystkim. Tom Ward i jego uczennica Jenny wciąż walczą z waszymi wrogami. Bóg Pan starł się z Golgothem i przepędził go. Ale choć zwyciężył, ogromnie go to osłabiło i konflikt trwa dalej. Golgoth w końcu powróci, jeszcze silniejszy i groźniejszy. Od tego czasu Kobalosi wygrywają bitwę za bitwą; są już blisko wybrzeża Morza Północnego. Bez wątpienia planują kolejne ataki na Hrabstwo. Ale z Mroku nic na to nie poradzimy.

– Dziękuję ci za te wiadomości – mruknęłam.

– Musimy natychmiast opuścić to miejsce. – Thorne cały czas wodziła dokoła wzrokiem, jakby szukała w ciemności jakiegoś zagrożenia. – Niebezpiecznie jest zostawać tu zbyt długo.

– Oddaję się w twoje ręce. Prowadź! – poleciłam z uśmiechem.

Teraz uczennica będzie uczyć nauczycielkę; ruszyłam za Thorne w stronę odległych światła. Stawiając pierwszy krok, obejrzałam się przez ramię, ale niczego nie zobaczyłam.

– Coś szło za mną – poinformowałam Thorne. – Stąpiło na czterech łapach. Śledziło mnie.

– Będziesz musiała do tego przywyknąć – odparła. – W Mroku żyje mnóstwo drapieżców. Część z nich to ludzie, ale są tu też

różne inne istoty złąknione krwi. Najchętniej atakują samotne ofiary; teraz, we dwie, powinnyśmy być bezpieczniejsze. Przekonasz się, że mieszkańcy Mroku łączą się w grupy. Razem jesteśmy silniejsi.

Zostawiłyśmy za sobą pustkowia, maszerując wąską, brukowaną uliczką. Na pierwszy rzut oka otoczenie wyglądało jak typowe miasto w Hrabstwie – może Priestown albo Caster.

Złowrogi krwawy księżyc oświetlał jedynie połowę ulicy, widziałam jednak, iż bruk ma barwę połyskującej czerni. Po naszej lewej ciągnął się otwarty rynsztok, którym spływała ciemna, stara krew. Mogła wypływać z rzeźni albo kramu mięsnego – ale chwilę powęszyłam w powietrzu i natychmiast pojęłam, że nie pochodzi od zwierząt.

To była ludzka krew. W wilgotnym powietrzu wyraźnie czułam jej miedziany posmak.

Po obu stronach ciągnęły się okienka domów, oświetlone blaskiem świec i zasłonięte czarnymi firankami, falującymi niczym pajęczyny.

Czy zza owych firanek spoglądały na nas jakieś oczy? Byłam pewna, że tak. Czy należały zatem do szpiegów, martwych ludzi, czarownic czy innych stworów z Mroku?

Umarli wędrowali ku nam ulicą, szurając nogami; po niektórych widać było, w jaki sposób zginęli. Dostrzegłam maszerującego chwiejnie mężczyznę z szeroką raną rozplatanego gardła, otwartą niczym dodatkowe usta; jęczał z bólu, a z rozcięcia wciąż kapała krew.

Jeśli jednak trafiało się do tej mrocznej krainy umarłych wraz z obrażeniami, powinnam się tu znaleźć w zakrwawionych strzępach – ostatecznie Golgoth, Bóg Rzeźnik, roztrzaskał mnie na maleńkie kawałki ciała i kości.

Zerknęłam z ukosa na Thorne. Czemu wciąż miała kciuki? Dlaczego ja sama byłam cała? Tak wiele musiałam się dowiedzieć. Uwielbiałam wyzwania, kochałam walkę: oto cały nowy świat, który muszę zrozumieć, by móc nim zawładnąć. Zainteresował mnie. Śmierć może okazać się lepsza od życia!

I wtedy zauważyłam, że martwi, maszerując, wbijają wzrok w ziemię, jakby nie śmieli spojrzeć innym w twarz.

– Dlaczego spuszczają oczy? – spytałam Thorne.

– Żeby nie zwracać na siebie uwagi – wyjaśniła. – To słabe dusze, ofiary.

– Ofiary? Czyje? – zdziwiłam się.

Nim jednak Thorne zdążyła odpowiedzieć, w dali usłyszałam wrzask. Jednocześnie rozbrzmiał dźwięk wielkiego dzwonu; wibracje jego straszliwego dźwięku czułam w podszwach stóp.

Czyżby przed czymś ostrzegał? Zaczęłam liczyć uderzenia.

Thorne rozejrzała się nerwowo. Wskazała ręką wąską alejkę i puściła się biegiem; podążyłam za nią w cień. Po trzynastym uderzeniu dzwon umilkł. W ciszy, która zapadła, usłyszałam krzyki i jęki grozy, dobiegające ze wszystkich stron.

– Co się dzieje? – spytałam ostro.

– Ten dzwon spełnia więcej niż jedną rolę – wyjaśniła Thorne. – W tej chwili jednak sygnalizuje nadchodzące zagrożenie: teraz drapieżcom wolno polować na każdego. Najlepiej się ukryć, póki pojedyncze uderzenie nie zakończy polowania. Drapieżców jest legion, przyjmują wiele postaci. Spójrz! Jeden jest właśnie nad nami! – Wskazała ręką w górę.

Coś dużego śmignęło nisko nad alejką, wydając z siebie rozdzierający skrzek, i zawisło akurat nad naszymi głowami, skąpane w blasku krwawego księżyca. Przypominało olbrzymiego nietoperza o płonących oczach i długich kościanych skrzydłach, zakończonych szponiastymi dłońmi.

– To jest chajk, jeden z pomniejszych demonów. Polują stadami, a nas wybrały sobie na ofiary! – zawołała Thorne. – Doskonale wyczuwają świeżą krew nowych przybyszów. To dlatego znalazł cię tak szybko! Ściągnie nam na głowę innych drapieżników. Oby wkrótce odezwał się drugi dzwon!

Nagle zapłonął we mnie gniew. To nie w moim stylu kulić się w alejce, licząc, że uratuje mnie dzwon. Wyteżyłam słuch. Zewsząd dobiegały okrzyki strachu i bólu, odniosłam jednak wrażenie, że skupiają się przed nami, pod krwawą tarczą księżyca.

Towarzyszyły im wrzaski agonii. Z pewnością tam właśnie zebrała się większość drapieżców i ofiar.

Obróciłam się, gestem nakazując Thorne, by poszła za mną, i pomknęłam w stronę złowieszczego, szkarłatnego miesiąca, wprost ku owym krzykom.

– Nie! – Głos Thorne drżał. – To droga do placu przed bazyliką, miejsca rzezi!

Puściłam jej słowa mimo uszu, przyspieszając w wąskich uliczkach. Każdy zakręt przybliżał mnie do owych strasznych krzyków. Słyszałam dziewczynę biegnącą tuż za mną.

– Proszę, Grimalkin, posłuchaj mnie! – błagała. – Jest ich zbyt wiele, by móc walczyć, rozszarpią nas na strzępy. W Mroku też można umrzeć, a kiedy zginiesz, nic po tobie nie zostaje. Odchodzisz w nicość.

– Lepsza nicość niż kulenie się ze strachu! – odparowałam.

Pędziłam przed siebie, w biegu wysuwając ze skórzanej pochwy pierwszą klingę. Plac był brukowany i ogromny, za nim wyrastały wielkie kamienne mury bazyliki, wyższej nawet niż katedra w Priestown.

Kto modlił się w owych murach? Jakiej mrocznej istocie oddawali cześć?

Przed bazyliką miała miejsce masakra, kamienie spływały krwią. Wszędzie wały się ciała – niektóre martwe, inne wciąż drgające bądź próbujące odpełznąć w bezpieczne miejsce. W powietrzu roiło się od chajków, opadających na upatrzone ofiary, szarpiących je szponami, mordujących przerażonych ludzi. Powietrze rozdzierały wrzaski, najgłośniejszy jednak był piekielny łopot ogromnych skrzydeł.

Jeden ze stworów dostrzegł mnie i poszybował w naszą stronę; jego oczy płonęły, wyciągnięte szpony błyskały. Cisnęłam nożem, celując w gardło; runął na ziemię, a z otwartego pyska bryznęła krew.

Potem uniosłam wysoko nad głowę dwie dłuższe klingi i wykrzyknęłam wyzwanie:

– Oto jestem! Atakujcie, jeśli się odważycie!

Kątem oka dostrzegłam minę Thorne – wykrzywiła się ze zgrozy i strachu. Czyżby Mrok tak bardzo osłabił jej ducha?, pomyślałam ze smutkiem.

Chajki rzuciły się ku mnie. Po chwili wirowałam już i skakałam w tańcu śmierci, każdym sztychem i cięciem mordując kolejnych wrogów.

Nagle dostrzegłam, że niepokój na twarzy Thorne zastąpiła ponura determinacja. Wkrótce walczyłyśmy już ramię w ramię, wsparte o siebie plecami. Roześmiałam się w głos, zabijając kolejnych nieprzyjaciół.

Może i odeszłam w Mrok, ale nic się nie zmieniło.

Wciąż byłam Grimalkin.

ROZDZIAŁ

1



SPRAWA DLA STRACHARZA

THOMAS WARD

Odprowadziłem Alice na skraj ogrodu. Tam zatrzymaliśmy się i pocałowaliśmy na pożegnanie.
– Uważaj na siebie – prosiłem. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Alice była najładniejszą dziewczyną, jaką znałem, teraz jednak w jej pięknych oczach dostrzegłem smutek. Czuła to samo co ja: nie znosiliśmy rozstań.

Znów wyruszała do Pendle, by próbować zawiązać sojusz z tamtejszymi czarownicami. Usiłowała tego dokonać wcześniej już dwa razy – bez powodzenia. Trzy główne klany: Malkinowie, Deane’owie i Mouldheelowie – nie dogadywały się ze sobą. To bardzo delikatnie powiedziane; bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że się nienawidziły i nieustannie ze sobą rywalizowały, czasem nawet walczyły i zabijały się nawzajem. Musieliśmy jednak zawrzeć przymierze, jeśli chcieliśmy obronić Hrabstwo przed czarami kobaloskich magów.

Klany czarownic zawiązywały już wcześniej sojusze, wiedziałem zatem, że to możliwe, a Alice z optymizmem patrzyła w przyszłość. Nie mogłem tracić nadziei.

Mroczna armia zwierzęcych Kobalosów dotarła już niemal do brzegu Morza Północnego, skupiając swój złowrogi wzrok na naszym kraju. Groziło nam jednak jeszcze bliższe

niebezpieczeństwo – ich najwyżsi magowie dzięki swej ogromnej mocy mogli przenosić się wprost do Hrabstwa, sprowadzać ze sobą wojowników i atakować w dowolnej chwili.

Do tej pory nasze wojska dowiedziały się już o nadciągającej armii i w Hrabstwie ogłoszono mobilizację. Wszyscy szykowali się do obrony przez inwazję. Siły z dwóch głównych koszar, w Burnley i Colne, wymaszerowały na wschód, by wzmocnić granicę. Pozostali usiłowali walczyć z kobaloskimi zwiadowcami, brakowało im jednak ludzi. Mieszkańcy bali się, niebezpiecznie było podróżować.

Magowie Kobalosów próbowali także przyzwać do Hrabstwa Golgotha, Władcę Zimy. Gdyby im się powiodło, w kraju zapanowałyby wieczny lód i śnieg, mrozy i głód. Jedynie z pomocą Starego Boga Pana i potężnej magii Alice zdołaliśmy temu zapobiec. Nigdy nie czułem się tak bezradny, mniej zdolny do pełnienia swoich obowiązków i ochrony Hrabstwa przed Mrokiem.

– Ty też uważaj na siebie, Tomie. Obiecuję, że nie będzie mnie najwyżej tydzień – oznajmiła Alice.

Uścisnęliśmy się, raz jeszcze pocałowaliśmy, a potem ruszyła do Pendle. Miała na sobie zieloną sukienkę i krótką, brązową kurtkę, chroniącą przed chłodem. Nadeszło już przedwiośnie, ale słońce nie dawało jeszcze ciepła. Kiedy odchodziła, zerknąłem na jej szpiczaste trzewiki, oznakę czarownicy. Alice w końcu przeszła na stronę Mroku, nie była jednak wiedźmą praktykującą magię kości, krwi bądź pobratymców, tylko ziemną, być może pierwszą na świecie. Służyła Panu i czerpała swą siłę z samej ziemi.

Tuż przedtem, nim dotarła do zbocza, obejrzała się za siebie i pomachała do mnie. Odpowiedziałem tym samym. Potem zniknęła mi z oczu. Już dręczony tęsknotą, wróciłem do ogrodu, kierując się w stronę ćwiczebnego słupka.

W tym momencie ujrzałem opadający na niego srebrny łańcuch, wirujący w lewo – w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Utworzył spiralę i zacisnął się na słupku w najbardziej klasyczny sposób, idealnie rozciągnięty od góry do dołu. Gdyby zamiast słupka stała tam wiedźma, zostałaby skrępowana od

głowy aż do kolan, a łańcuch opasałby jej zęby, by nie mogła nucić zaklęć.

– Brawo, Jenny! – zawołałem.

Jenny była moją uczennicą. Wiedziałem, że mój własny mistrz, John Gregory, nigdy nie przyjąłby jej do terminu – aby zostać uczniem stracharza, trzeba było przyjść na świat jako siódmy syn siódmego syna. Jenny jednak była dziewczyną i z tego, co wiedziałem, pierwszą dziewczyną szkoloną na stracharza. Twierdziła, że jest siódmą córką siódmej córki, ale nigdy nie zdołałem tego potwierdzić, bo wychowali ją przybrani rodzice. Nie mogłem jednak zaprzeczyć, iż dysponowała darami użytecznymi w walce z Mrokiem i odmiennymi od moich własnych. Potrafiła stać się prawie niewidzialna, a dzięki darowi ogromnej empatii niemal czytała ludziom w myślach.

Spojrzałem na nią teraz, gdy tak stała, uśmiechnięta. Twarz miała piegowatą, a oczy różnokolorowe: lewe niebieskie, prawe zielone.

– I jaki wynik osiągnęłaś? – spytałem.

– Piętnaście udanych prób na dwadzieścia! Jeszcze parę tygodni i będę lepsza od ciebie! – rzuciła bezczelnie.

Świetnie, że robiła postępy, ale wolałbym, by jako uczennica okazywała mi nieco więcej szacunku. Problem w tym, że dzieliły nas zaledwie dwa lata: w sierpniu skończę osiemnaście, a ona szesnaście. Urodziny obchodziliśmy tego samego dnia: trzeciego. Mój własny termin zakończył się przedwcześnie, gdy mistrz zginął, walcząc z wrogimi czarownicami.

Nagle naszą uwagę zwrócił niespodziewany dźwięk: na rozstajach wśród wierzb odezwał się dzwon. Naszego ogrodu strzegł bogin, Kratch, co oznaczało, że obcy nie mogli się do niego zapuszczać, toteż potrzebujący pomocy trzymali się od niego z daleka. Zwykle przychodzili na rozstaje i wzywali mnie, uderzając w dzwon.

– Sprawa dla stracharza – rzekłem miękko.

Przez ostatnich parę tygodni panował spokój, wiedziałem jednak, że nie może trwać wiecznie. W Hrabstwie co i rusz pojawiały się

groźby ze strony Mroku, a tym razem mogli to być Kobalosi.

– Mogłabym pójść z tobą? – spytała Jenny.

– Nie, Jenny, lepiej, jeśli załatwię to sam. Ty ćwicz. Musisz ciężiej pracować, jeśli chcesz mi dorównać.

Wiedziałem, że tu, w ogrodzie, bogin ochroni ją przed większością możliwych zagrożeń. Poza jego granicami sprawy miały się inaczej.

Trzymałem w dłoni kij, lecz w pochwie na plecach nosiłem też potężną Gwiazdną Klingę. Dopóki miałem ją przy sobie, mroczna magia nie mogła mnie zranić.

– Jeśli jednak wyniknie z tego podróż, będę mogła pójść z tobą? – naciskała Jenny.

Moja uczennica musiała przejść przeszkolenie, co oznaczało doświadczanie niebezpieczeństw naszego fachu. Przytaknąłem zatem, a ona z uśmiechem poszła po mój srebrny łańcuch, szykując się do kolejnego rzutu. Musiała nauczyć się wszystkiego, tak jak ja przed nią...

Gdy opuszczałem ogród, kierując się w stronę wciąż dźwięczącego dzwonu, ogarnął mnie nagły, przejmujący smutek. Od czasu, gdy sam wstąpiłem do terminu, tak wiele się zmieniło. Zginął nie tylko mój mistrz, John Gregory, także Grimalkin, zabójczyni klanu Malkinów, padła z ręki Golgotha. Choć była wiedźmą, okazała się silną i potężną sojuszniczką, przewodzącą nam w walce z Kobalosami. Mógłbym niemal rzec, iż się zaprzyjaźniliśmy, z pewnością zaś kilka razy ocaliła mi życie. To Grimalkin wykuła dla mnie Gwiazdną Klingę, a potem nauczyła mnie się nią posługiwać. Będzie mi jej brakowało.

Podczas marszu zerknąłem na wyrastające ponad wioską wzgórza: Pikę Parlicka i Wilcze Wzgórze; ich szczyty nadal pokrywał biały śnieg, skrzący się w promieniach słońca.

Gdy dotarłem do wierzb, dzwon umilkł. Ktokolwiek nim kołysał, musiał mnie usłyszeć. Ludzie często bali się odezwać do stracharza, niepewni, czego oczekiwać po człowieku, który nosi laskę i srebrny łańcuch. Czasami całkiem tracili odwagę i uciekali przed moim przybyciem.

Skierowałem się w cień drzew i natychmiast zobaczyłem przysadzistą postać stojącą obok sznura, który tańczył i kołysał się u jej boku. Człek ów miał na sobie czarną szatę z kapturem, w rękę dzierżył laskę. Był ubrany jak stracharz! Ale kto to? Z pewnością jest zbyt barczysty jak na Judda Brinscalla, pracującego na północ od Caster.

Przystanąłem obok niego, a on nagle zsunął kaptur, ukazując twarz.

Wstrząśnięty, zachłysnąłem się głośno.

To niemożliwe.

Patrzyłem na człowieka, który nie żył...

ROZDZIAŁ

2



SZKOLISZ DZIEWCZYNE

THOMAS WARD

Bill Arkwright zginął w Grecji, walcząc ze ścigającymi nas niebezpiecznymi żywiołakami ognia. Stał pomiędzy nami i ich morderczym ogniem, dając nam nieco czasu, lecz płacąc życiem, abyśmy mogli uciec z Alice i stracharzem.

Ten człowiek wyglądem niewątpliwie przypominał Arkwrighta takiego, jakim go zapamiętałem – mężczyznę, który na prośbę Johna Gregory’ego na sześć miesięcy przyjął mnie do siebie, bym nauczył się walczyć.

Miał ogoloną głowę, intensywnie zielone oczy i mocne ciało, sugerujące wielką siłę. Jarzębinowy kij, który nosił, różnił się od mojego. Mój krył w sobie klingę, na końcu jego laski lśniło otwarcie dwunastocalowe ostrze z sześcioma haczykami, po trzy z każdej strony. U boku złożył na ziemi ciężką torbę, co najmniej dwakroć większą od tej, którą zwykle nosiłem.

Owszem, wyglądał identycznie jak Bill Arkwright, którego pamiętałem z dawnych lat. Później spotkałem jeszcze istotę, którą wziąłem za ducha Arkwrighta, o twarzy spalonej przez żywiołaki ognia, lecz człek stojący przede mną nie miał na swym obliczu żadnych blizn.

Natychmiast stałem się czujny. To mógł być podstęp; wysocy magowie kobaloscy umieli doskonale zmieniać swą postać.

Rzuciłem na ziemię laskę i dobyłem z pochwy Gwiazdną Klingę,

chwytając ją oburącz i kierując ku stojącej naprzeciw postaci.

– Odrzuć kij i uklęknij na dłoniach! – poleciłem.

– Ależ mości Wardzie, cóż to za powitanie? – warknął gniewnie przybysz. Jego głos brzmiał jak głos Billa Arkwrighta. – Przebyłem długą drogę, by cię przywitać, i cóż za to mam? Grozisz mi zardzewiałym mieczem!

– To jedyne powitanie, jakiego możesz się spodziewać, póki nie upewnię się, że jesteś tym, za kogo się podajesz – odparowałem.

Wiedziałem, że choć Gwiazdna Klinga nie wygląda może imponująco, w istocie jest niezwykle ostra i mocna. Jeśli władałem nią pewnie i śmiało, mogła przeciąć nawet najtwardszą zbroję, a także uchronić mnie przed każdą mroczną mocą, bo wiedźma zabójczyni Grimalkin nasączyła ją swą potężną magią.

Zamiast posłuchać polecenia, mężczyzna uniósł laskę pod kątem czterdziestu pięciu stopni, w pozycji obronnej. Potem odetchnął głęboko i nagle zaatakował. Kij zatoczył szeroki łuk, celując w moją głowę.

Moja nieufność sprawiła jednak, że byłem gotowy. Uniosłem miecz, by zablokować cios. Z zaledwie lekkim drgnięciem klinga wbiła się w drewno niczym w masło, rozcinając je na pół. Znieruchomiałem, nie atakując dalej: Arkwright nie celował ostrzem, lecz drugim końcem laski, nie zamierzał zatem mnie zabić.

Teraz z niesmakiem odrzucił oba kawałki kija, patrząc na mnie gniewnie.

– Powtórzę raz jeszcze, uklęknij na dłoniach! – krzyknąłem ze złością.

– Cóż, mości Wardzie, gotów jestem na razie ci ustąpić, ale jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, nie będziesz nadużywał mojej cierpliwości.

Mężczyzna nazywający siebie Billem Arkwrightem powoli ukląkł na ziemi, opuszczając ręce po bokach.

– Teraz przyklęknij na dłoniach! – rozkazałem.

Sądziłem, że odmówi. Jednak on posłuchał.

– Mamy problem – oznajmiłem. – Sądziłem, że zginąłeś zabity

w Grecji lata temu. Jeśli przeżyłeś, dlaczego tak długo zwlekałeś z powrotem?

– Masz dary siódmego syna siódmego syna – odparł spokojnie. – Co z chłodem, który podpowiada, że w pobliżu czai się coś z Mroku? Czujesz go teraz? Bo jeśli nie, nie jestem z Mroku i dobrze o tym wiesz!

Gdzieś z lewej strony z cienia drzew dobiegło mnie ochryple krakanie kruka. Zmusiłem się, by je zlekceważyć, mimo iż ptak okropnie hałasował. Całą uwagę skupiłem na klęczącej na dłoniach postaci.

Pokręciłem głową.

– Czyli nie jestem z Mroku, to proste! – upierał się.

Zastanowiłem się chwilę. W Grecji nie widziałem jego trupa.

– Nic już nie jest proste – poinformowałem mężczyznę. – Wiele razy przebywałem blisko Mroku i nie czułem ostrzeżenia; ów zmysł nie zawsze działa, zwłaszcza wobec potężnych kobaloskich magów. Ty też mógłbyś być jednym z nich: spotkałem już człowieka, który okazał się jednym z wysokich magów, drugim co do mocy i pozycji w Triumwiracie, rządzącym całą rasą.

– W takim razie osiągnęliśmy impas, mości Wardzie. Jak mamy go rozwiązać? – spytał Arkwright.

– Na początek wyjaśnij mi coś. Jak przeżyłeś spotkanie z żywiołakami ognia? A potem, zakładając, że ci się udało, czemu tak długo nie wracałeś? Przez ostatnie lata bardzo przydałaby się nam pomoc jeszcze jednego stracharza. Gdzie byłeś, gdy cię potrzebowaliśmy?

– W walce z demonicznymi żywiołakami, kiedy starałem się zyskać na czasie, byście mogli uciec, zostałem ciężko ranny – odparł ze złością Arkwright. – Na jakiś czas straciłem wzrok, ale bardziej niż ciało ucierpiał mój umysł. Długi czas błąkałem się po Grecji, nie dbając, czy przeżyję, czy umrę. Zebrałem jak pies... Znów zacząłem pić. Pamiętasz mą dawną słabość, mości Wardzie?

Przytaknąłem. Bill Arkwright uzależnił się od czerwonego wina, ale pokonał ten nałóg. To prawdopodobne, że powrócił do dawnych zwyczajów – zdarza się to większości ludzi uzależnionych od

alkoholu.

– Bardzo długo trwało, nim uwolniłem się od nałogu i znów odnalazłem samego siebie. W końcu jednak wyruszyłem w długą morską podróż z Grecji. Wśród ludzi krążyły pogłoski o wojnie – zagrożeniu z północy – ale niewiele konkretnych wieści. Gdy dotarłem do Hrabstwa, dowiedziałem się, że John Gregory zginął, a jego uczeń, Tom Ward, jest nowym stracharzem z Chipenden. Przybyłem zatem, by ofiarować swoje usługi. Lepiej późno niż wcale, co?

– Jeśli naprawdę jesteś Billem Arkwrightem, twoja pomoc ogromnie się przyda, ale muszę mieć pewność. Nie uwierzyłbyś w rzeczy, które widziałem i których doświadczyłem, w oszustwa, których ofiarą padłem.

Zbyt wiele razy byłem cudzym pionkiem. Kto wie, czy nie stoi przede mną Balkai, najpotężniejszy z kobaloskich magów, który przybrał ludzką postać? Nie mógł mnie skrzywdzić czarami, póki dzierżyłem Gwiezdną Klingę, ale musiałem zachować czujność... Jak mam się upewnić, że to naprawdę Bill Arkwright?

Gdy wyciągnąłem rękę i szarpnąłem sznur, usłyszałem łopot skrzydeł: kruk odleciał. Miałem nadzieję, że Jenny usłyszy dzwon i wiedząc, że jestem już na rozstajach, przyjdzie sprawdzić, co się dzieje. Może jej dar empatii pomoże mi dojść do prawdy.

– Kogo wzywasz? – spytał Arkwright, spoglądając na kołyszącą się w górę dzwon.

– Moją uczennicę, Jenny.

– Czy dobrze usłyszałem, mości Wardzie? Masz uczennicę Jenny? Szkolisz dziewczynę?

ROZDZIAŁ

3



KOCICZKA

THOMAS WARD

Staliśmy tak w ciszy, przygważdżając się nawzajem wzrokiem, póki nie usłyszałem Jenny zbliżającej się między drzewami.

Maszerowała ku nam szybko, przepełniona młodzieńczą energią. Gdy jednak zauważyła mojego jeńca klęczącego na dłoniach, zwolniła kroku. W końcu zamarła, zerkając na leżące na ziemi dwa kawałki laski z jarzębinowego drewna.

– Czy to stracharz? – spytała.

– Być może – odparłem. – Wygląda jak stracharz Bill Arkwright, który kiedyś szkolił mnie przez pół roku. Lękam się jednak, że w istocie jest czymś innym. Czy to kobalowski mag?

Zapadła cisza. Jenny wpatrywała się w klęczącego przed nami mężczyznę.

– Wygląda jak Arkwright i mówi jak Arkwright. Sądziłem jednak, że Arkwright zginął – podjąłem. – Teraz, po latach, nagle zjawia się jak gdyby nigdy nic. A kiedy zażądałem wyjaśnień, przedstawił całkiem wiarygodną historyjkę, ale nie możemy sobie pozwolić na ryzyko, powiedz mi zatem, co myślisz. Użyj swojego daru empatii. Wycuj, co kryje się wewnątrz jego głowy.

– Empatii! – warknął klęczący mężczyzna. – Ma zatem dary podobnie jak my, tylko inne? Tak? Zaraz mi powiesz, że to siódma córka siódmej córki!

– Bo tak jest! – Jenny przysunęła się nieco bliżej.

Poruszył się, toteż uniosłem miecz, celując mu prosto w gardło.

– Spokojnie! Najmniejszy ruch uznaję za groźbę! – ostrzegłem.

– To może nie zadziałać – mruknęła niespokojnie Jenny.

Zmarszczyła brwi, potem skupiona zamknęła oczy. Stała tak kilka sekund, w końcu otworzyła je szeroko i pokazała palcem klęczącego.

– Ma niezły temperament! Jest bardzo zły, że wątpisz w jego słowa. Lubi też wypić. Stale odczuwa pokusę. Nigdy się od niej nie uwolni: tłumi w sobie wiele bólu. Jest mocno zagubiony. A także niebezpieczny, ma w sobie coś bezwzględного. Uwielbia psy i nienawidzi czarownic! – zakończyła, odwracając się ku mnie.

– To dobrze opisuje znanego mi Billa Arkwrighta. Ale czy to naprawdę on? Człowiek czy Kobalos?

– Trudno mi współodczuwać z wiedźmami i magami. Mnie wydaje się człowiekiem – odparła.

– Może jednak przebiegły kobaloski mag potrafiłby osłonić swój umysł myślami kogoś innego? – zastanawiałem się na głos.

– Z pewnością istnieją rzeczy, których naśladowca by nie wiedział – wtrącił Arkwright. – Wiele razem przeżyliśmy, mości Wardzie, choćby miesiące, przez które cię szkolilem. Zadaj mi pytanie, na które tylko ja znałbym odpowiedź.

Pierwsze przyszło mi do głowy bardzo szybko.

– Jak nauczyłeś mnie pływać? – spytałem.

– Wrzuciłem cię do kanału! Woda była zimna, co? Ale zadziałało.

Pokiwałem głową, potem pomyślałem o czymś, co wiedziałaby tylko prawdziwy Bill Arkwright. Owszem, zdawałem sobie sprawę, że to go zaboli, ale uznałem, że nie ma innego sposobu.

– Młyn, w którym mieszkałeś, miał w sobie coś bardzo osobliwego. To sytuacja, której nie tolerowałyby większość stracharzy. – Przyglądałem mu się uważnie.

Jego oczy zaszły mgiełką bólu. Westchnął ciężko.

– Miałem tam duchy. Stracharze zazwyczaj się ich pozbywają, to część naszej pracy, ale ja tego nie uczyniłem. Wiem, że ci się to nie podobało, mości Wardzie, w końcu jednak odkryłeś, że były to duchy moich rodziców, Abe'a i Amelii. Trumny przechowywałem

w ich sypialni na strychu. Ojciec zginął, spadając z dachu, matka nie mogła znieść życia bez niego, toteż rzuciła się pod koło wodne. Ponieważ popełniła samobójstwo, nie mogła odejść do Światła, a duch ojca wolał zostać z nią, by nie była sama. Staralem się, jak mogłem, próbując odesłać ich oboje, ale bez powodzenia. Nie udało się to także naszemu mistrzowi, Johnowi Gregory'emu. Dopiero ty, mości Wardzie, zdołałeś ich uwolnić. Bardzo ryzykując, zawarłeś układ ze Złym, który wypuścił moją matkę. Wówczas oboje mogli odejść do Światła i zawsze będę ci za to wdzięczny.

Pokiwałem głową. Tylko Bill Arkwright znał te szczegóły. To musiał być on.

Popatrzyliśmy po sobie z Jenny, znów przytaknałem. Potem odwróciłem się do niego.

– Zdołaliśmy zniszczyć Złego, teraz jednak pojawił się gorszy nieprzyjaciel – oznajmiłem. – Z radością przyjmę twoją pomoc. Przepraszam, że ci nie ufałem.

Wsunąłem Gwiazdną Klingę do pochwy i wyciągnąłem rękę. Bill Arkwright chwycił ją mocno i pomogłem mu wstać.

Bogin przyrządzał śniadania, resztę posiłków pozostawiając mnie i Jenny, oboje jednak kiepsko gotowaliśmy. Bill Arkwright natomiast był świetnym kucharzem – wciąż napływała mi do ust ślinka, gdy przypomniałem sobie przyrządzane przez niego we młynie ryby. Tego wieczoru podał nam przepyszną potrawkę z kurczaka.

Wciąż czułem się niepewnie w jego obecności, gdy jednak siedzieliśmy w kuchni przy posiłku, postarałem się streścić mu wszystko, co się wydarzyło. Rozmawialiśmy, a Jenny milczała – bez wątplenia wyczuła stosunek naszego gościa do pomysłu uczenia dziewcząt.

– Co się stało z moimi trzema psami? – spytał nagle Arkwright.

– Krew i Gnat wciąż żyją. Mieszkają ze stracharzem Juddem Brinscallem, który osiadł we młynie i chroni twoje dawne terytorium. Ale ich matka, Szpon, nie żyje – odparłem. – Zginęła

w tej samej bitwie co John Gregory.

Zdziwiło mnie, że Arkwright nie skomentował tego nawet słowem, jedynie pokiwał głową.

– To moje psy, chcę je odzyskać. Chciałbym też rzucić okiem na młyn.

Bill Arkwright specjalizował się w polowaniach na wodne wiedźmy na pobliskich mokradłach, a wielkie wilczarze pomagały mu w tym zadaniu.

– Czy chciałbyś znów tam zamieszkać? – spytałem.

– Czemu nie, mości Wardzie? Ostatecznie przez lata chroniłem obszar na północ od Caster. Świetnie znam się na walce z mrocznymi stworami żyjącymi w wodzie. Nawet John Gregory uznawał moją wyższość w starciach z wodnymi wiedźmami.

– Judd to dobry człowiek, przejął opiekę nad twoim dawnym terenem. Zostawiłeś młyn Johnowi Gregory'emu, a gdy on sam sporządził testament, zapisał domy w Chipenden i Anglezarke mnie, dopóki będę praktykował fach stracharza. Młyn przekazał Juddowi, który sądzi, że zostanie tam do końca życia.

– Ale przecież nie zginąłem, więc ta część testamentu straciła ważność. Czy Judd nie mógłby przejąć zimowego domu na moczarach Anglezarke? – spytał Arkwright, wsuwając do ust spory kawałek kurczaka.

Wzruszyłem ramionami.

– Może i tak. Dobrze by było mieć w tej części Hrabstwa trzech stracharzy.

– Zechcesz pójść ze mną do młyna? To mogłoby ułatwić rozmowę. Ostatecznie ten Brinscall mnie nie zna. Nie ucieszę się, jeśli ktoś jeszcze każe mi klękać na rękach.

– Możemy jutro ruszyć w drogę – zaproponowałem.

Arkwright pokręcił głową.

– Podróżuję od wielu tygodni, jeśli zatem nie masz nic przeciw temu, chciałbym odpocząć tu najpierw kilka dni. Poza tym muszę coś zrobić. Mógłbyś pożyczyć mi laskę, póki nie wytnę sobie nowej?

– Oczywiście, zawsze mam kilka zapasowych. Co takiego planujesz? – spytałem.

Do tej pory Arkwright wyraźnie ignorował Jenny, teraz po raz pierwszy spojrzął wprost na nią.

– Chcę się przekonać, z jakiej gliny ulepiona jest ta młoda dama. Pomysł, by szkolić dziewczynę na stracharza, wydaje mi się bardzo dziwny; wiesz, że John Gregory też miałby wątpliwości. Ale skoro się zgodziłeś, musi być gotowa do walki o życie.

– Nie mów o mnie w trzeciej osobie! – rzuciła gniewnie Jenny. – Nie jestem kotem, mam imię!

– Będziesz miała szansę, by mi odpłacić, moja kociczko: oczywiście, jeśli okażesz się dość dobra. Jutro dam ci skosztować tego, czego uczyłem twojego mistrza. Pokażę ci, jak się walczy kijem. Przygotuj się zatem na guzy i sińce!

Bill Arkwright dotrzymał słowa. Późnym rankiem następnego dnia patrzyłem, jak stają naprzeciw siebie w ogrodzie, unosząc laski ukośnie w pozycji obronnej.

Jenny wyraźnie pobladła. Podejrzewałem, że się boi.

Arkwright miał wredną minę.

– Zobaczmy, na co cię stać, dziewczyno. Ty atakuj, ja będę się bronił.

Skoczyła naprzód i zamachnęła się, celując w głowę Billa. Z łatwością zablokował cios. Jenny spróbowała ponownie – z tym samym skutkiem. Potem wycofała się, odetchnęła głęboko, jakby miała się poddać, choć wiedziałem, że moja uczennica nie rezygnuje tak łatwo.

Jak dotąd zaniedbałem nieco naukę władania kijem, tak samo zresztą postąpił kiedyś mój mistrz. Pokazał mi podstawy, ale potem posłał do Arkwrighta, bym opanował sztukę walki i zahartował się w boju.

Jenny nagle pomknęła ku niemu, wymachując laską jak szalona i wymierzając cios za ciosem. Żaden z nich nie osiągnął celu mimo szybkości i furii, z jaką zadawała jeden po drugim. Poczzerwieniała cała, Arkwright jednak z łatwością blokował kolejne uderzenia. Potem niemal od niechcenia pierwszy raz przejął inicjatywę i trafił

ją w lewą rękę tuż nad łokciem. Krzyknęła, po czym upuściła kij.

Bill Arkwright pokręcił głową.

– Teraz jesteś bezbronna. Nigdy nie wolno ci upuszczać kija, kociczko. I wcale nie musiałaś tego zrobić. Trafiłem cię w lewą rękę; bez wątpienia zdrętwiała – pewnie poraziłem nerw, tak przynajmniej planowałem, i nie mogłaś utrzymać laski w dłoni. Ale co z prawą ręką? W nią cię nie uderzyłem, nie musiałaś zatem upuszczać kija. Nigdy tego nie rób. Czasem broń to jedyne, co stoi między tobą a śmiercią! Nawet jedną ręką można nim władać z morderczą wprawą. Podnieś go i znów spróbujemy.

Pracował tak z Jenny ponad godzinę, poprawiając jej pozycje i demonstrując, jak pozorować ataki i oszukiwać przeciwnika, zanim zada mu się cios z zaskoczenia. Ani razu jednak nie uderzył jej w głowę i generalnie traktował ją znacznie łagodniej niż mnie podczas naszego szkolenia. Owszem, może i będzie bolała ją ręka, ale poza tym nie zarobiła żadnych sińców ani guzów.

– Może kiedyś coś z ciebie będzie, panno Jenny! – rzekł w końcu z szerokim uśmiechem. – Jutro udzielę ci kolejnej lekcji. A teraz, mości Wardzie, pozwolisz, że wytnę sobie nowy kij z jarzębiny? Ten, który mi pożyczyłeś, jest całkiem niezły, ale wolałbym coś większego.

– Bardzo proszę – odparłem. – Wybacz, że zniszczyłem ci laskę. W zachodnim ogrodzie rośnie kilka jarzębinowych drzew.

Patrzyliśmy z Jenny, jak ścina gałąź i oczyszcza zręcznie. Potem przyłożył złowieszczą klingę z połówki dawnej laski i przywiązał ją do nowej.

– Żal mi wodnej wiedźmy, która nią oberwie! – rzucił.

Arkwright bezlitośnie rozprawiał się z mieszkańcami Mroku. W odróżnieniu od Johna Gregory'ego, który trzymał wiedźmy w jamach bez końca, aby chronić Hrabstwo, Arkwright skazywał je za ledwie na rok czy dwa pod ziemią. Kiedy ów czas dobiegł końca, wyciągał wiedźmę z dołu i zabijał ją. Potem, by mieć pewność, że nie powróci z martwych, wycinał jej serce i rzucał na pożarcie psom.

– Gdzie jest grób Johna Gregory'ego? – spytał nagle. – Obok

miejscowego kościoła czy może pochowałeś go w pobliżu Kamienia Strażniczego?

Księża nie pozwalali zwykle grzebać stracharzy na poświęcanej ziemi; od czasu do czasu błogosławili ich ciała, zawsze jednak chowali je tuż za cmentarzem. Zrobiłem zatem tak, jak mój mistrz by sobie życzył.

– Sprowadziliśmy go do domu, leży w zachodnim ogrodzie – wyjaśniłem. – Chciałbyś zobaczyć jego grób?

Arkwright przytaknął i we trójkę ruszyliśmy naprzód.

– Pochowałeś go obok ławeczki! – wykrzyknął.

– To było jego ulubione miejsce – wyjaśniłem.

To właśnie tu uczył nas wszystkich. Rozciągał się stąd piękny widok na wyrastające ponad drzewami wzgórza. Mistrz krążył tam i z powrotem, opisując zadania stracharza, a ja siedziałem i notowałem pilnie.

Bill Arkwright spojrział na inskrypcję.

TU SPOCZYWA
JOHN GREGORY Z CHIPENDEN
NAJWIĘKSZY ZE STRACHARZY HRABSTWA

– Sam wybrałeś te słowa, mości Wardzie? – spytał.

Przytaknąłem. Dostrzegłem wtedy minę Jenny. Sprawiała wrażenie zasmuconej. Nigdy nie poznała Johna Gregory’ego, ale bez wątpienia odbierała moje uczucia.

– To świetny wybór – rzekł Arkwright. – Nikt nigdy nie napisał niczego prawdziwszego.

ROZDZIAŁ

4



BEZPIECZNA KRYJÓWKA

GRIMALKIN

Walka zawsze wciągała mnie i całkowicie pochłaniała. Teraz, zmagając się z demonicznymi chajkami na zakrwawionym bruku przed wyniosłą bazyliką, również kompletnie straciłam rachubę czasu. Zdawało się, że wszystko dzieje się w jednej beczasowej chwili, a ja zatraciłam się w radości starcia.

Ku memu wielkiemu zawodowi zakończyło je pojedyncze uderzenie wielkiego dzwonu.

Drapieżne demony natychmiast odfrunęły, a łopot ich skrzydeł rozplynął się w dali, gdy przemknęły nad bazyliką, pozostawiając po sobie puste niebo. Bruk jednak nadal spływał krwią – leżało na nim ponad tuzin chajków, martwych albo konających.

– Znam miejsce, w którym możemy schronić się na jakiś czas i porozmawiać – oznajmiła Thorne. – To bezpieczna kryjówka.

Popatrzyłam na nią.

– Alice opowiadała mi, że gdy była tu, w Mroku, ją także zabrałaś w takie miejsce. To ten sam dom? Ten, w którym ją zdradziłaś?

Alice zapuściła się w Mrok, by odnaleźć Brzeszczot Smutków, specjalną broń, która mogła zniszczyć Złego. Spotkała tu Thorne, a ta obiecała pomoc. Skłamała jednak; choć później ocaliła życie Alice i z nawiązką odpokutowała wcześniejsze czyny. Zamierzałam

okazać jej niezadowolenie, ale byłam pewna, że mogę jej zaufać.

Thorne spuściła wzrok, nie mogąc mi spojrzeć w oczy.

– Tak – przyznała – ten sam. Wstyd mi z powodu tego, co zrobiłam, ale mam nadzieję, że Alice opowiedziała ci całą historię...

Przytaknęłam.

– Owszem, wiem, że po zdradzie okazałaś się lojalna i godna zaufania. Zaprowadź mnie do tej kryjówki. Mamy wiele do omówienia.

Wkrótce siedziałyśmy ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw siebie, przy wielkiej jamie pełnej mętnej wody, w mrocznej, wilgotnej piwnicy – dokładnie takiej, jaką opisała Alice.

Na ścianie pełgała samotna pochodnia; Thorne siedziała zwrócona do niej plecami, więc jej twarz skrywała ciemność.

– Wybaczysz mi to, co tu uczyniłam? – spytała.

– Alice ci wybaczyła. To wystarczy. Nigdy jednak nie wyjaśniła powodów, dla których ją zdradziłaś.

– Byłam samotna, bałam się. Mrok to przerażające miejsce. Uczyniłabym niemal wszystko, byle stąd uciec. Jednak coś jeszcze napędzało mnie bardziej niż strach i rozpacz: moja ambicja, marzenie, które chciałam spełnić. Miałam nadzieję, że zostanę największą wiedźmą zabójczynią klanu Malkinów, że przewyższę nawet twoje osiągnięcia, Grimalkin. Śmierć mi to odebrała. I wtedy zaoferowano mi szansę powrotu na ziemię, szansę spełnienia owych ambicji. To dlatego zdradziłam Alice. Bardzo tego żałuję.

– Było minęło, dziecko. Zapomnij o tym. Alice opowiedziała mi, co zrobiłaś później: jak jej pomogłaś, jak stawiałaś czoło demonowi Belzebubowi i obcięłaś mu kciuki. Jednakże powrót do dawnego życia to zdumiewająca wizja. Czy to faktycznie możliwe, czy też cię okłamali? Czy martwa czarownica naprawdę może opuścić Mrok i znów zamieszkać na ziemi?

Thorne wzruszyła ramionami.

– Obiecała mi to Morwena.

Morwena była najpotężniejszą z wodnych wiedźm. Z pomocą Toma Warda pokonałam ją i odesłałam jej duszę w Mrok.

– Alice mówiła, że Morwena tu zginęła – zauważyłam.

– Owszem, po raz drugi została zabita w Mroku. Skelt przebił ją kościaną rurą, która przeszła jej szyję i wyszła ustami. Potem wyssał z niej całą krew. Morwena przestała istnieć. To niebezpieczeństwo, które wisi nad nami wszystkimi.

– Czy wyjaśniła, w jaki sposób można powrócić do świata żywych? Czy ona sama władała tak potężną magią?

Thorne pokręciła głową

– Była silna, ale nawet ona nie zdołałaby tego dokonać. Potrzeba do tego mocy Starych Bogów. W każdym razie tak twierdziła. Mówiła, że to możliwe, tylko jeśli dwaj bogowie połączą swe siły.

– Których ze Starych Bogów chciała przywołać?

– Nie mówiła, zakładałam jednak, że miała na myśli Złego. Byłam głupia, że jej posłuchałam. Nawet gdyby coś takiego było możliwe, nie dotrzymałaby słowa. – Thorne pokręciła głową.

– Ale co, jeśli to jest możliwe, dziecko? Co, gdybyśmy mogły wrócić na ziemię?

– Bardzo bym chciała. Czuję, że przedwcześnie odebrano mi życie.

– Może zatem obie mogłybyśmy wrócić. A gdyby się udało, czy staniesz u mego boku? Czy będziesz walczyć z naszymi wrogami?

– Oczywiście, że tak. Ale jak mamy to osiągnąć?

– Przychodzi mi do głowy jeden bóg, do którego mogłybyśmy się zwrócić: Pan.

Pan był wrogiem Talkusa, boga Kobalosów, i jego sprzymierzeńca, Golgotha. Być może zgodziłby się mi pomóc, najpierw jednak musiałam go znaleźć.

– Wiesz, gdzie w Mroku leży królestwo Pana? – spytałam Thorne.

– Krainy Starych Bogów nieustannie się przemieszczają, niedługo pozostają w jednym miejscu, ale z czasem mogłabym je znaleźć. Najpierw jednak musimy odszukać wyjście z tego królestwa. Istnieje jedna brama, która wciąż zmienia swoje

położenie. W tej chwili kryje się gdzieś w bazylice. Otacza ją słabe purpurowe światło, znacznie wyraźniej widoczne w ciemności. No i zapach – cuchnie zgniłymi jajami. Myślę, że bez problemu ją znajdziemy, ale mam tam wrogów. Po pierwsze, Kościstą Lizzie, i oczywiście Belzebuba, który też chce się zemścić.

– Z czym właściwie mamy do czynienia? Kto jeszcze był obecny, gdy odcięłaś mu kciuki?

– Był tam Kieł, pomiot, silny i bardzo niebezpieczny, ale przebiłam mu czoło nożyczkami i przestał istnieć – odparła Thorne. – Lizzie towarzyszyła stara Mateczka Malkin, ona jednak nam nie zagrozi. Ach, zapomniałam, musisz wiedzieć coś jeszcze: wewnątrz bazyliki magia nie działa. Gdyby działała, Belzebub poraziłby mnie, nim zdołałabym się do niego zbliżyć. Dysponuje pewnymi umiejętnościami wykraczającymi poza magię: są częścią niego i dzięki nim kontrolował bramę. Mimo utraty kciuków być może wciąż to robi. Wraz z Lizzie stanowią dla nas główne zagrożenie.

– Zostaw ich mnie, dziecko – rzekłam. – Jeśli staną nam na drodze, pożałują. Ty martw się tylko dotarciem do bramy, abyśmy mogły stąd uciec. Najpierw jednak chciałabym dowiedzieć się jeszcze czegoś na temat Mroku. Kiedy przybyłyśmy do miasta, część wędrujących ulicami zmarłych wciąż nosiła na ciele rany, które doprowadziły do ich śmierci. Dlaczego zatem nie zamieniłam się w krwawe strzępy? Tak właśnie zabił mnie Golgoth. A ty, Thorne, czemu wciąż masz kciuki?

– Kiedy tu przybyłam, nie miałam ich i wierz mi, bardzo to utrudniało trzymanie broni! Czasami używałam nawet stóp! Jednak po tym, jak odcięłam kciuki Belzebubowi, moje też odrosły, sama nie wiem czemu. I nie mam też pojęcia, w jaki sposób znalazłaś się w Mroku w jednym kawałku. Może Pan ci wyjaśni.

Uśmiechnęłam się.

– Oto zatem kolejny powód, by go odnaleźć. Opowiedz mi więcej o tych drapieżcach. Jak są zorganizowani? Czy walczą na śmierć i życie? Jak wybierają ofiary?

– Zazwyczaj słabe dusze same przyjmują rolę ofiar. Silni łatwo je pokonują. Czy czujesz pragnienie, Grimalkin? – spytała nagle

Thorne.

– Owszem – odparłam – bardzo zaschło mi w ustach.

– Tutejsza woda nie pomoże, najwyżej dostaniesz po niej torsji. W Mroku istnieje tylko jedna strawa, to krew. Wiedźmy krwi czują się tu jak w domu: choć na ziemi wypijają tylko odrobinę podczas magicznych rytuałów, tu trzeba ją pochłaniać w znacznie większych ilościach. Na ziemi my, kościane wiedźmy, jemy to samo co ludzie i wolimy pieczone mięso; tu musimy pić mnóstwo krwi. Z początku przychodziło mi to z trudem.

– Nie ma innego sposobu? – Na samą myśl z niesmakiem zmarszczyłam nos.

Thorne pokręciła głową.

– Jeśli nie będziesz pić krwi, staniesz się słaba i umrzesz drugą śmiercią. To proste. Krew jest także walutą, można ją kupować na specjalnych kramach i w gospodach, ale cena jest wysoka: słabe dusze zatrudniają tam, by wyszukiwać ofiary bądź informować o ich miejscu pobytu. Silni nie muszą z nikim się układać: odbierają krew bezpośrednio wybranym ofiarom. Wypij krew mocnej wiedźmy, a przejmiesz jej siłę.

– W takim razie niech Lizzie lepiej nie wchodzi mi w drogę! – odparowałam. – Jeśli już mam pić krew, to najchętniej jej własną!

ROZDZIAŁ

5



CO LUDZIE ZOWIĄ PIEKŁEM

GRIMALKIN

Starając się trzymać w cieniu, by uniknąć blasku krwawego księżyca, obie z Thorne krętymi uliczkami wróciłyśmy do bazyliki. Najniebezpieczniejsza była chwila, gdy musiałyśmy przeciąć otwarty plac, by dotrzeć pod osłonę murów. Dzwon jednak milczał, a w powietrzu panowała pustka. Chętnie zabiłabym jeszcze parę chajków, musiałyśmy jednak zachować siły na to, co czekało w środku.

Wspięłyśmy się po kamiennych stopniach, wiodących do drzwi na szczycie – jedyne go wejścia, które jak sądziła Thorne, mogło być niestrzeżone bądź zamknięte za klucz. I rzeczywiście, otworzyła je pchnięciem i wśliznęłyśmy się w ciemność.

– Byłam tu już wcześniej, więc pójdę pierwsza – oznajmiła. – Spiralne schody wiodą pod ziemię.

Podążyłam za nią stopniami, schodząc na oślep w nieprzenikniony mrok. A choć nie były to niebezpieczne schody, z których mogłyśmy spaść, okazały się strome i wąskie: czułam, jak moje ramiona po obu stronach ocierają się o zimne, wilgotne kamienie.

W końcu dotarłyśmy na wąską półkę nad czymś, co wyglądałoby jak olbrzymia, naturalna grotka, gdyby nie oświetlone łuczywami posągi i rzeźby na ścianach. Grunt leżał daleko w dole, oceniałam, że znacznie niżej niż plac przed bazyliką.

Thorne pokazała coś ręką.

– Widzisz tamte ołtarze? – spytała.

Zerknęłam w dół i dostrzegłam w dali kilka konstrukcji. Niektóre były kanciaste, inne okrągłe lub owalne.

– Na cześć których bogów je wzniesiono? – zniżyłam głos, ale mimo to odbił się słabym echem od ścian olbrzymiej komory.

– Przedstawiono tu większość bóstw z Mroku. Usunięto tylko posąg Złego, bo on sam przestał istnieć. Miał jednak własne królestwo, bardzo blisko stąd. Jeśli uda nam się przejść przez bramę, tam właśnie trafimy. Oczywiście on sam już nam nie zagraża, ale zamieszkały tam też inne istoty: podczas ostatniej wizyty natknęłam się na skelty.

– Dlaczego tu w dole nikogo nie ma? Gdzie są wyznawcy?

– Każdemu bóstwu oddaje się cześć o innej porze, choć powinni tu być wierni, którzy sprzątaję ołtarze.

– Mogą zatem czaić się gdzieś na nas? – spytałam.

– Owszem, istnieje taka możliwość. Kiedy przybyłam tu z Alice, wpadłyśmy w pułapkę i nas schwytali. Stało się tak, ponieważ Morwena władała wystarczająco potężną magią, by wykryć naszą obecność nawet z daleka. Teraz jednak nie żyje i nie podejrzewam, by ktoś jeszcze wiedział, że przekroczyłyśmy próg bazyliki.

Jej słowa mnie nie uspokoiły. Nie podobała mi się panująca w dole pustka. Coś było nie tak, wyczuwałam niebezpieczeństwo...

Zeszłyśmy ostrożnie po kolejnych stopniach i dotarłyśmy na dół. Zerknęłam na najbliższy ołtarz i ujrzałam posąg Hekate, tak zwanej Królowej Czarownic, choć nikt z klanów z Pendle jej za takową nie uważał. Rzeźba uśmiechała się wyniośle i władczo, ale oczy miała okrutne. U jej stóp leżały czarne lilie, wypełniające kocioł u podstawy kolumny. Powszechnie sądzono, że to on stanowi źródło jej mocy.

Za nią wznosił się kolejny ołtarz, tym razem poświęcony Xanatu, bóstwu węży i trucizn; miał ciało człowieka, ale głowę gada. Rozglądając się, naliczyłam ponad pięćdziesiąt podobnych cokołów, każdy stanowił ołtarz bóstwa z Mroku. A w dali, w samym środku sali wznosiła się pusta platforma, największa z nich wszystkich; to

tam stała niegdyś rzeźba Złego. Po jego zniszczeniu zabrano i ją.

Ponownie zadziwiła mnie nieobecność wyznawców. Z pewnością powinni tu być i modlić się do swoich bogów.

Komora przypominała kształtem koło; na obwodzie dostrzegłam wiele drzwi – ponad dwadzieścia. Wszystkie prócz dwóch spowijała ciemność. Poprowadziłam Thorne do pierwszego oświetlonego otworu. Gdy się zbliżyłyśmy, usłyszałam głucho, rytmiczne dudnienie. Dobyłam długiej klingi i zajrzałam do środka.

W niewielkiej komnacie na wysokim podeście, zwrócony plecami do ściany, siedział demon Belzebub. Oświetlała go tylko samotna świeca, migocząca żółtym blaskiem, wystarczyła jednak, bym natychmiast ujrzała całą scenę i zrozumiała, skąd wziął się ów dźwięk. Demon tłukł tyłem głowy o kamienną ścianę.

Twarz miał wykrzywioną w agonii, ale sprawiały to nie tylko uderzenia o mur. Belzebub wyciągał przed siebie ręce; z ran w miejscu kciuków wciąż ściekała krew. Doświadczał potwornego bólu i w żaden sposób nie mógł już nam zagrozić. Zerknęłam na dwie duże kości na naszyjniku Thorne – odcinając mu je, doprowadziła go do tak żałosnego stanu.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Dobrze się spisałaś, dziecko! – pogratulowałam.

W komnacie była też jednak druga postać, kobieta, choć ledwie przypominająca człowieka. Na oko trzykroć mniejsza od zwykłego człowieka, odziana w oślizłą, ciemną suknię, z twarzą powykręcaną i rozciągniętą, zupełnie jakby stopiła się i ukształtowała na nowo. Z otwartych ust sterczał język, niemożliwie wydłużona szyja kołysała się w lewo i w prawo, pozwalając jej chwycić każdą kroplę krwi kapiącą z bliźniaczych ran demona.

– To stara Mateczka Malkin! – wykrzyknęła Thorne.

Znałam jej historię: niegdyś była najsilniejszą ze wszystkich Malkinów, nękała całe Hrabstwo, zapuszczając się daleko i z rzadka wracając do Pendle. Tom Ward starł się z nią na początku swego terminu, stracił ją do rzeki laską i utopił. Okazała się jednak tak silna, że powróciła w rzadko spotykanym stanie nieumarłym,

miękka, rozciągliwa, mogąca wlać się do uszu ofiary i zawładnąć jej ciałem.

Istnieją dwa sposoby pozwalające zyskać pewność, że wiedźma nie powróci z martwych. Trzeba ją spalić albo zjeść jej serce. Tom nie zrobił ani jednego, ani drugiego, ale Mateczka Malkin, próbując uciec, schroniła się w chlewiku na farmie i wielkie wygłodniałe świnie pożarły ją całą. W rezultacie powróciła w Mrok, gdzie utkwiała na wieczność.

Gdy tak patrzyłam, krew demona nagle przestała kapać, nadal jednak walił w mur. Teraz usłyszałam dwa nowe dźwięki: jego jęki bólu i brzęczenie much nad jego głową. Przypomniałam sobie nagle, że jeden z tytułów Belzebuba brzmi Władca Much.

Stara Mateczka Malkin uniosła wzrok, wyraźnie zaniepokojona zniknięciem krwi. Zadarła długą suknię, całą moką od juchy, i zaczęła łapczywie ssać jej rąbek. Oboje z Belzebubem wyraźnie nie dostrzegli naszej obecności.

W chwilę później krew znów zaczęła kapać, położyłam zatem dłoń na ramieniu Thorne i wyprowadziłam ją.

– Ostatnio brama była właśnie tutaj i to demon ją kontrolował – oznajmiła. – Nie sądzę jednak, by rzeczy wciąż tak się miały. Nie może zapanować nawet nad samym sobą – dodała, wskazując go skinieniem głowy.

– W takim razie sprawdzimy następną komnatę – oznajmiłam, przekraczając próg.

– Czy nie powinniśmy uwolnić ich od cierpień? – spytała.

Pokręciłam głową.

– Niech nadal znoszą katusze. Zasługują na to. Dla nich Mrok stał się zaprawdę tym, co ludzie zowią piekłem.

Ostrożnie podeszłam do drugich oświetlonych drzwi. Za nimi mogło kryć się prawdziwe niebezpieczeństwo. Zajrzałam do środka i ujrzałam samotną postać – czarownicę, którą znałam z dawnych czasów.

Była to Koścista Lizzie, matka Alice: siedziała na podłodze, krzyżując nogi i patrząc w pustkę.

Kiedy weszłyśmy, uniosła wzrok i jej pusta dotąd twarz ożyła.

Spodziewałam się ujrzeć na niej strach, ale zamiast niego dostrzegłam nadzieję.

Nie przepadałam za Lizzie, lecz może ona, biorąc pod uwagę fakt, iż wywodziłyśmy się z tego samego klanu, sądziła, że jej pomożemy? Czy myślała, że staniemy się jej nowymi sojuszniczkami? Thorne mówiła, że w Mroku drapieżcy często łączą siły, lecz pozostali towarzysze Lizzie – Belzebub i stara Mateczka Malkin – na nic już nie mogli jej się przydać.

– Dobrze cię widzieć, Grimalkin. – Uśmiechnęła się fałszywie. Nieco przypominała Alice i bez wątpienia kiedyś była ładna, ale lata okrucieństw i bezecnych czarów zamieniły jej twarz w podstępną karykaturę.

– Czy i mnie dobrze widzieć? – rzuciła wyzywająco Thorne. – Kiedy ostatnio się spotkałyśmy, zaatakowałaś mnie i Alice i bez wątpienia zniszczyłybyś nas obie, taka z ciebie zwyrodniała matka. Ale rzeczy nie potoczyły się tak, jak się spodziewałaś. Odcięłam Belzebubowi kciuki i wciąż noszę je na szyi. Zabiłam też pomiota Kła. Nikt nie przyjdzie ci z pomocą. Oto, jak nisko upadłaś! Tu jest twoje miejsce! Nie próbuj witać nas przyjaźnie.

Lizzie postarała się uśmiechnąć do Thorne, zamiast tego jednak jej usta wykrzywił chytry, złośliwy grymas.

Przygotowałam się na odparcie ataku więdźmy. Thorne mówiła, że mroczna magia tu nie działa, ale Lizzie zawsze była silna i szybka; walczyła paznokciami, pozbawiając przeciwników wzroku i podrzynając im gardła.

– Powinnyśmy trzymać się razem i pomagać sobie nawzajem – oznajmiła przebiegle. – Jesteśmy z tego samego klanu, a to niebezpieczne miejsce. Czy nie możecie przebaczyć przeszłości? Co się stało, to się nie odstanie, trzeba myśleć o przyszłości, planować tak, abyśmy wszystkie odniosły korzyść.

Nie wierzyłam w nawet jedno słowo, które ulatywało z jej pokręconych ust. W oczach Thorne płonęła furia. Dziewczyna rzuciła się na Lizzie, dobywając noży, ja jednak ją odciągnęłam. Syknęła i przez moment szarpała się, potem znieruchomiała, gdy z uśmiechem położyłam jej dłoń na ramieniu. Następnie zwróciłam

się do Kościstej Lizzie.

– Gdzie są wyznawcy? – spytałam. – Dlaczego porzucili wszystkie ołtarze?

– Boją się i nie bez powodu – odparła, cofając się o krok i czujnie obserwując Thorne. – Bogowie nie odpowiadają na ofiary, bo zbliża się wielka bitwa, która rozstrzygnie o wszystkim. Niektórzy twierdzą, że Talkus zwycięży; zbuduje swój ołtarz na wielkiej platformie niegdyś należącej do Złego. Lecz bogowie nieustannie zmieniają zdanie co do tego, po czyjej są stronie, więc umarli wołają się trzymać z daleka. Lepiej być nieobecnym niż znaleźć się po stronie pokonanych, nie sądzisz?

– Ale ty nie odeszłaś, Lizzie. Dlaczego zostałaś tutaj?

– Nie mam dokąd pójść. Tam nie jest bezpiecznie. Kiedyś chroniła mnie Morwena, ale ona też już nie żyje. Zabił ją jeden z przeklętych skeltów służących Talkusowi.

– Szukamy bramy, Lizzie, portalu, który zabierze nas stąd. Wiesz gdzie jest?

Widziałam, jak jej oczy nabierają chytrego wyrazu. Dźwignęła się z ziemi i postąpiła krok ku nam.

– Ta brama wiedzie do królestwa Złego. To niebezpieczne miejsce, walczy tam ze sobą mnóstwo stworów, nikt rozsądny nie chciałby tam zostać. A co potem?

Thorne odpowiedziała pierwsza.

– Wiem, gdzie jest druga brama. Potem pójdziemy wąską ścieżką między krainami.

Nadal trzymałam jej dłoń na ramieniu i wyczuwałam napięcie całego ciała. Bardzo chciała raz na zawsze skończyć z Lizzie, ale chwilowo nie życzyłam sobie tego – wiedźma mogła nam się przydać.

– Jeśli weźmiecie mnie ze sobą na ścieżkę, pokażę wam, gdzie jest portal – zaproponowała z zapalem.

– Zabierzemy cię ze sobą, Lizzie, nie martw się o to. Pokaż tylko, gdzie jest brama – zgodziłam się.

Thorne zerknęła na mnie ze zdumieniem. Bez wątpienia wołałaby uzyskać te informacje, zadając Lizzie ból, ale tak było

szybciej i łatwiej. Wiedziałam, że jeśli damy wiedźmie dość swobody, sama się wykończy. Wystarczyło jedynie wyglądać oznak zdrady i rozprawić się z nią, gdy wystąpi przeciw nam.

– Chodźcie za mną, siostry! – zapiała i wyprowadziła nas z komnaty.

Thorne splunęła za nią, o włos chybiając lewą piętę. Ja tylko uśmiechnęłam się i mrugnęłam.

ROZDZIAŁ

6



DEMON TANAKI

GRIMALKIN

Kościasta Lizzie poprowadziła nas przez jedno z ciemnych przejść. Jakies dziesięć minut maszerowaliśmy tunelem, na każdym rozstajach skręcając w lewo.

– Zbliżamy się! – Thorne zmarszczyła nos. – Czuję zapach bramy. Wkrótce ją zobaczymy.

Nie myliła się: w ciemności przed nami dostrzegłam słaby, purpurowy poblask. Potem, gdy się zbliżyliśmy, ujrzałam dwa kręgi, każdy wirujący w lewo, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara – czarny i purpurowy, purpurowy i czarny, co chwila zmieniające barwę. Poczułam też smród – mdlący odór zgniłych jaj.

To była brama. Wewnątrz kręgów widziałam inne królestwo – to, które niegdyś należało do Złego. Przejście wiodło do wnętrza budynku: wśród kamiennych ścian na posadzce stało coś wyglądającego jak kocioł.

Lizzie wezwała nas gestem i przeszła przez portal; zauważyłam, że gdy weń zanurkowała, jej nogi sterczały pod dziwnym kątem. Mimo to z łatwością przedostała się na drugą stronę.

– Ja pójdę następna, na wypadek gdyby Lizzie planowała jakąś zdradę – oznajmiłam i przeskoczyłam przez wirującą obręcz, lądując na twardej posadzce. Zerwałam się z niej szybko, wyprzedzając Lizzie, która wciąż jęczała i masowała otarte kolana. W sekundę później zjawiała się Thorne; rozejrzałam się szybko po

otoczeniu.

Znajdowałyśmy się w dużej kuchni, pełnej kotłów, patelni i najróżniejszych utensyliów. Sprawiała wrażenie opuszczonej.

– To część wielkiego zamku – oznajmiła Thorne. – Czeka nas długi marsz, ale znam drogę do następnej bramy, tej, która zaprowadzi nas na ścieżkę między krainami.

Ruszyliśmy zatem w drogę: Thorne maszerowała na czele, ja na końcu, by mieć oko na Lizzie. Dziewczyna nie przesadzała, mówiąc o odległości, ale wyraźnie wiedziała, dokąd zmierza. Po pokonaniu trzech długości schodów wiodących na zadaszony dziedziniec, stanęliśmy przed trzema tunelami. Bez chwili wahania poprowadziła nas środkowym.

Po jakimś czasie wyłoniłyśmy się na brzegu olbrzymiego ciemnoszarego jeziora i ruszyliśmy wokół niego wąską ścieżką, okoloną zakrzywionym kamiennym murem. Wciąż nie znajdowałyśmy się na dworze; niezbyt wysoko nad naszymi głowami wisiało skalne sklepienie.

– Wszystko w tym królestwie mieści się pod ziemią – oznajmiła Thorne, wskazując w górę. – Nie ma tu nieba i czuję się bardzo nieswojo, jakby wielki ciężar nad nami w każdej chwili miał runąć i mnie zmiążyć. Największe zagrożenie stanowią skelty: odkryłam to, kiedy byłam tu z Alice – ciągnęła. – Pewnie wciąż się tu kręcą. Kiedyś była to kraina Złego, ale teraz bez wątpienia zajęli ją słudzy Talkusa.

– Są tu też rzeczy gorsze od skeltów. – Lizzie zaśmiała się złośliwie. – Miejmy nadzieję, że nie spotkamy żadnej z nich.

Nie skomentowałam jej słów. Podejrzewałam, że Thorne zapewne ma rację, skelty zazwyczaj czaiły się blisko wody i mogły ukrywać się pod taflą jeziora.

Szłyśmy dalej, a skalne sklepienie cofało się stopniowo coraz wyżej i wyżej. Po naszej lewej wznosiło się wielkie urwisko, pośrodku którego widniał ciemny otwór, jakby wejście do jaskini.

– Tamtędy można dojść do sali tronowej Złego. Tam zabiłyśmy Raknida, pajęczego demona – wyjaśniła Thorne. – Już niedaleko. Zeszłym razem szukałyśmy godzinami, ale teraz dobrze wiem,

gdzie jest brama.

Bez słowa przyjrzałam się uważniej otoczeniu: to, co wzięłam za jaskinię, w istocie było przejściem w zewnętrznym murze wielkiej budowli. Przekroczyliśmy próg i skręciłyśmy w wąski korytarz. Thorne maszerowała bardzo szybko, sprawiała wrażenie pewnej siebie; miałam tylko nadzieję, że brama się nie przesunęła.

Moje obawy okazały się nieuzasadnione. Wkrótce ujrzałam ją przed nami – ten sam słaby purpurowy poblask, dwie wirujące obręcze i smród zepsutych jajek. Przeszliśmy przez nią tak jak poprzednio, lądując na białej ścieżce unoszącej się w ciemności. Nad nami ciągnęło się pozbawione gwiazd niebo. Zerknęłam przez skraj i ujrzałam w dole otchłań.

Skinęłam ręką.

– Czy tędy dojdziemy do królestwa Pana?

Thorne wzruszyła ramionami.

– Dotarliśmy na ścieżkę, to najważniejsze. Teraz nie ma znaczenia, w którą stronę się skierujemy, w przód czy w tył, w końcu trafimy tam, dokąd chcemy. Może to potrwać i będzie wymagało przejścia przez wiele innych królestw. Nic nie jest pewne, bo zmieniają swoje położenie względem siebie. Jeśli nam się poszczęści, królestwo Pana może okazać się pierwszym, na jakie natrafimy.

Ruszyliśmy zatem białą ścieżką prosto przed siebie. Thorne znów maszerowała na czele. Ja ponownie zajęłam miejsce za Lizzie: nie ufałam jej. Ze względu na ogromne ryzyko z pewnością nie chciała odwiedzić krainy Pana. Dokąd zatem pragnęła trafić? Musiała zmierzać do innego królestwa – może liczyła na bezpieczną przystań?

Od czasu do czasu droga wiodła w głąb tunelu bądź jaskini, po czym znów się wyłaniała, widoczna ponad otchłanią. Nie widziałyśmy jednak żadnych krain i podziękowałam za to w duchu: w każdej mieszkał jeden ze Starych Bogów albo potężny demon, który mógł nam zagrozić.

Gdy przed nami wyrosła kolejna gigantyczna kamienna płyta, a lśniąca ścieżka zniknęła w jaskini u jej podstawy, usłyszałam

odległy grzmot. Thorne zatrzymała się i odwróciła ku mnie. W jej oczach dostrzegłam lęk.

– Co się stało? – spytałam.

I znów powietrzem wstrząsnął grom; tym razem zabrzmiał głośniejszy, jakby dobiegał z bliska.

– Kiedy ostatnio słyszałam ten dźwięk, zapowiadał przybycie demona zwanego Tanakim. Uciekłyśmy mu tylko dlatego, że Alice oślepiła go swoją magią, wypalając i topiąc mu oczy.

Słyszałam o tym demonie. Tanaki spłodził wilczego stwora, który dwa lata wcześniej próbował mnie zabić: uciekałam wtedy, unosząc głowę Złego w worku i starając się ją ochronić przed wpadnięciem w łapy wrogów.

– Biegiem! – krzyknęła Thorne i puściła się pędem w stronę wylotu jaskini.

Zdażyła jednak postawić zaledwie dwa kroki, gdy Tanaki z ogłuszającym rykiem pojawił się między nami a schronieniem.

Demon był kolosalny; stał okrakiem nad ścieżką, jego głowa wznosiła się pięćdziesiąt stóp nad nami. Przypominał nieco swego syna, którego już poznałam – szczęki miał długie, pełne ostrych, wilczych zębów, ale kudłate ciało ludzkie. Na palcach olbrzymich dłoni lśniły mordercze szpony.

Jedna rzecz dała mi nadzieję: wiedziałam, że demon dysponuje potężną mocą samouzdrawiania, lecz magia Alice najwyraźniej okazała się silniejsza.

Z góry spoglądały na nas puste oczodoły. Wciąż był ślepy.

Nagle ku mojej zgrozie Koścista Lizzie pobiegła naprzód, wołając donośnym, piskliwym głosem:

– Są tutaj, tuż za mną! Oto twoi wrogowie! Ich sojuszniczka, wiedźma Grimalkin zabiła ci syna. Dziewczyna Thorne pomagała czarownicy, która cię oślepiła. Przywiodłam je tu, jak kazałeś. Oto są. Weź je i daj mi nagrodę!

Tak jak się spodziewałam, Lizzie od początku planowała zdradę.

Nie musiałyśmy z Thorne nic mówić: razem wyminęłyśmy Lizzie i nie bacząc na nią, przebiegłyśmy pod demonem, gdy sięgał ku ścieżce potworną, szponiastą łapą. Jego palce przemknęły tuż nad

naszymi głowami. Zabiłam syna Tanakiego, Krecza, a potem Thorne zrobiła to po raz drugi tu, w Mroku, skazując go na nicość. Teraz Tanaki pragnął zemsty, był jednak ślepy i kierując się słowami Lizzie, sięgał gigantyczną ręką w stronę czarownicy.

Wrzasnęła, gdy ślepy demon chwycił ją i przysunął do twarzy. Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że rusza ustami, próbując powiedzieć Tanakiemu, że popełnił błąd.

Nie zdążyła jednak: być może zmiażdżył ją i wycisnął powietrze z płuc. Nieważne, co to sprawiło, chwila minęła i wiedziałam, że Lizzie już nigdy nie przemówi.

Demon odgryzł jej głowę, przełknął, a potem cisnął ciało w otchłań. Teraz umarła po raz drugi, skazana na nicość.

Przebiegłyśmy pod nogami nasyconego Tanakiego, docierając do bezpiecznego schronienia jaskini. Zerknęłam przez ramię i przekonałam się, że wciąż maca po ścieżce palcami, szukając kolejnej ofiary.

Ruszyliśmy dalej w głąb jaskini w nadziei, że dotrzemy do krainy Pana, nim demon odkryje miejsce naszego pobytu.

ROZDZIAŁ

7



KRÓLESTWO PANA

GRIMALKIN

Wędrowaliśmy białą ścieżką, póki w dali nie ukazał się niewielki krąg zieleni, nie większy od gwiazdy. Z każdą chwilą rósł coraz bardziej, aż w końcu przekonałam się, że to olbrzymia oaza pełna drzew i trawy, unosząca się w ciemności przed nami. Z pewnością to kraina Pana, pomyślałam.

Poczułam dreszcz, gdy zeszyliśmy ze ścieżki, zmierzając między drzewa. Pan pomagał nam w walce z Kobalosami i ich bogiem Talkusem, ale tu byliśmy intruzkami i nasza obecność z pewnością go nie ucieszy.

Na ciemnym niebie nie świecił księżyc, ale wszędzie widziałam zielony blask, promieniujący z ziemi, traw, paproci i drzew. Zielień to kolor Pana, kolor życia.

Miałam nadzieję, że kiedy go spotkamy, przyjmie łagodną postać chłopca, będzie grał na fletni, a my zdołamy z nim pomówić. Jego druga postać budziła tak wielki strach, że na jej widok mogłybyśmy popaść w obłęd albo zginąć, strawione płomieniami jego gniewu.

– To bardzo niebezpieczne – Thorne wypowiedziała na głos moje myśli. – Pan może zażądać straszliwej ceny. Czego chciał od Alice? Czy było tak źle, jak oczekiwała? Bardzo się tego bała.

– Jeszcze gorzej – odparłam. – Pan zażądał, by pracowała z mrocznym magiem Lukrastą i złączyła z nim swoją moc w walce

z Kobalosami. Oznaczało to, że musiała porzucić Toma Warda. Posłuchała Pana, nie tłumacząc się nikomu, i między nią a Tomem wyrósł mur. Dopiero znacznie później wyjawiała mu prawdziwe powody swego postępowania. Teraz jednak Lukrasta nie żyje, zabili go kobaloscycy magowie, a Alice i Tom się pogodzili.

– Czego zatem zażąda od nas za to, że nieproszone wtargnęliśmy do jego królestwa?

Ja także obawiałam się żądań boga.

Thorne obróciła się, próbując dodać mi otuchy.

– To nasz sojusznik, powinien ucieszyć się, że chcemy pomóc. Choć to prawda, iż bogowie są kapryśni i nieprzewidywalni.

Zmarszczyłam brwi. Wiedziałam, że grozi nam ogromne niebezpieczeństwo.

Gdy moje oczy przywykły do zielonego blasku, zaczęłam dostrzegać różne szczegóły. Liście na drzewach były poskręcane, suche i brązowe, jakby nadeszła jesień; niektóre opadły już na trawę. Alice opowiadała mi kiedyś, jak zielona i soczysta jest kraina Pana, lecz wszystko pod naszymi stopami więdło i usychało. Czy sprawiła to walka Pana z Golgothem, Władcą Zimy? Czyżby tak mocno ucierpiał, a jego moc tak bardzo osłabła?

I wtedy w dali usłyszałam dźwięk fletni. Istotnie była to muzyka Pana w jego przyjaznej postaci. Wskazałam ręką w stronę źródła dźwięku i ruszyłam przodem, Thorne maszerowała tuż za mną. Przypomniałam sobie, że kiedyś już słyszałam tę muzykę, dobiegającą z oddali: urzekała swym brzmieniem, wibrując energią i mocą. Teraz brzmiała słabiej, melancholijnie.

W końcu dostrzegłam boga: wciąż odziany w liście i korę, siedział na pniu i grał na trzciniowej fletni – bladokóry chłopiec o długich, zielonych, zakrzywionych paznokciach u nóg, jasnych włosach i szpiczastych uszach. Twarz jednak miał wychudzoną, pod oczami ciemniały sińce. Dłoń trzymająca instrument lekko drżała.

Alice opowiadała mi, że kiedy Pan gra, ptaki tłoczą mu się wokół głowy i przysiadają na ramionach, a zwierzęta tańczą u stóp albo wpatrują się weń zafascynowane. Teraz jednak na polanie poza nim była tylko jedna żywa istota: wielki czarny kruk, przycupnięty

na gałęzi dokładnie nad głową Pana. Bóg sprawiał wrażenie cienia samego siebie, bez wątpienia po pojedynku z Golgothem.

Spodziewałam się, że skrzywi się gniewnie na nasz widok, gotów przyjąć drugą, straszliwą postać. On jednak skinął tylko głową i opuścił fletnię.

– Oczekiwałem was. – W jego głosie dźwięczał smutek.

– Wiedziałaś, że przyjdziemy? – Przyglądałam mu się uważnie.

– Niewiele w Mroku umyka mojej uwadze. Wyczułem, że się zbliżacie, ale nie wiem, czego ode mnie chcecie. – Pokręcił głową.

– Po pierwsze, muszę prosić, abys wybaczył nam to wtargnięcie – rzekłam uprzejmie. – Jeśli trzeba za nie zapłacić, chętnie to uczynię.

– O tym pomówimy później. Na razie powiedz mi, z czym przychodzisz.

– Mamy wspólnych nieprzyjaciół – oznajmiłam. – Na ziemi walczyłam z nimi najlepiej, jak umiałam, teraz jednak trafiłam w miejsce, w którym nie mogę już nic zdziałać.

– To dlatego, że nie żyjesz, Grimalkin. To los wszystkich śmiertelników. – Pan uśmiechnął się ze znużeniem.

– Powiedziano mi, że martwa wiedźma może powrócić na ziemię; ponoć wymaga to współpracy dwóch bogów. Czy to prawda?

– I tego właśnie pragniesz? – spytał Pan.

– Tak. Chcę tego dla nas obu. Obie z Thorne chcemy powrócić do świata żywych. Na ziemi możemy osiągnąć znacznie więcej, także w twojej służbie.

– Cóż, takie wsparcie przydałoby się w czekającej nas walce – przyznał Pan. – Bardzo powoli odzyskuję siły; już wkrótce będę musiał znów stawić czoło wrogom. To, o czym mówisz, jest możliwe... choć bardzo trudne. I owszem, potrzebowałbym pomocy innego boga, a niełatwo będzie znaleźć kogoś, kto zechce złączyć ze mną moc. To może potrwać; nawet jeśli znajdę współnika wśród tych sprzeciwiających się Talkusowi i Golgothowi, mogą pojawić się trudności. Będę musiał zawrzeć kompromis, który może dotyczyć bezpośrednio was obu i okazać się nie do przyjęcia. Wierz mi, istnieją gorsze rzeczy niż bycie martwym i uwięzionym w Mroku.

– Mogę to osądzić, tylko kiedy poznam ową cenę – oznajmiłam. – Dziękuję, że mnie wysłuchałeś i się zgodziłeś. Teraz chciałabym spytać cię o coś, co nie daje mi spokoju. Wielu zmarłych nosi na sobie ślady bądź rany pokazujące, jak zginęli. Mnie zabił Golgoth, zamroził, a potem roztrzaskał na krwawe odłamki. Dlaczego zatem wciąż jestem cała?

– Mrok rządzi się własnymi prawami – odparł Pan. – Większość dusz przybiera postać odzwierciedlającą to, jak umarły. Ty jednak jesteś wyjątkowo silna, Grimalkin, a tym samym nie podlegasz prawu, które dotyczy innych mieszkańców Mroku. Niektórzy, jak dziewczyna obok ciebie, przybywają tu uszkodzeni, ale potem znów stają się cali, w nagrodę za wypełnione zadanie.

Uśmiechnął się lekko i z trudem wstał, poruszając się niczym starzec o sztywnych stawach i słabych mięśniach.

– Możecie poczekać tu, w moim królestwie, póki wszystko się nie rozwiąże – oznajmił i odwrócił się. – Przygotowałem dla was miejsce. Chodźcie za mną.

Gdy Pan zagłębił się między drzewa, kruk zakrakał donośnie i odleciał w przeciwnym kierunku. Ruszyliśmy za bogiem – szedł powoli, kuśtykając. Nie musiałyśmy jednak wędrować daleko. Spodziewałam się, że owo miejsce będzie budynkiem, może wieżą czy inną twierdzą.

Powinnam była się domyślić.

Przed nami stało drzewo o olbrzymim obwodzie i wysokości. Rosło na środku wielkiej polany, a jego rozłożyste gałęzie zajmowały każdy skrawek dostępnej przestrzeni. Liście nie przypominały żadnych, jakie oglądałam wcześniej: zielone i soczyste, wyglądały jak świeże wiosenne listowie. To był starożytny dąb, pokrzywiony ze starości, o korze pokrytej guzami i wybrzuszeniami. W jego pniu otwierało się wejście, za którym widniały wiodące w górę schody.

Pan wskazał gestem.

– Sto stopni doprowadzi was do waszej kwatery – oznajmił. – Znajdziecie tam wszystko, czego potrzebujecie. Ostrzegam jednak, dla mnie każde życie jest cenne. Nic was tu nie skrzywdzi, toteż

tolerujcie obecność wszystkiego, z czym się zetkniecie.

– Nie zabiję niczego, co nie będzie próbowało mnie zranić – zgodziłam się.

– Tylko o to proszę – odrzekł Pan. – Abyś okazała się wyrozumiała.

To rzekłszy, odwrócił się i odszedł między drzewa. Obie odprowadzałyśmy go wzrokiem, póki nie zniknął. Przeszłam przez próg i zaczęłam wspinaczkę po drewnianych stopniach, wyciętych w pniu. Setny doprowadził mnie do kolejnych drzwi. Weszłam do środka, Thorne dreptała tuż za mną.

W pomieszczeniu brakowało okien i otworów wiodących na zewnątrz, lecz owalną przestrzeń wypełniało promieniujące ze ścian przytłumione zielone światło. W środku stał tylko jeden mebel: okrągły stół z dzbanem i dwiema szklankami, wypełnionymi niemal po brzegi ciemnoczerwoną cieczą. Czując metaliczny zapach, natychmiast pojęłam, że to krew.

Za łóżka służyły dwie sterty słomy. Wiedziałam, że będzie nam wygodnie – podczas podróży po Hrabstwie i poza jego granicami zdarzało mi się nocować w znacznie gorszych warunkach. Tu przynajmniej nie zmarzniemy i nie zmokniemy.

I wtedy zauważyłam coś, co mnie zaniepokoiło. Pod sufitem rozpościerała się wielka pajęczyna; owad, który ją wysnuł, był większy od mojej pięści i pulsował złowieszczo w jej sercu. Po sklepieniu biegały chrząszcze, podłogę przecinały kolumny maszerujących mrówek. Wszystko to były stworzenia Pana.

– Uważaj, gdzie stawiasz stopy, dziecko – ostrzegłam Thorne.

Zastanawiałam się, czy boga rozgniewa przypadkowa śmierć jednego z tych małych stworzeń. Coś, co człowiek mógłby uznać za nieistotne, on sam mógłby potraktować zupełnie inaczej. Musiałyśmy zachować ostrożność. Bogowie są nieprzewidywalni, sami ustanawiają swoje prawa.

Thorne przytaknęła i ostrożnie ruszyła w stronę stołu. Tam uniosła do ust jedną ze szklaneczek i pociągnęła głęboki łyk. Oblizwała wargi i spojrzała na mnie.

– Powinnaś spróbować, Grimalkin, jest chłodna i pyszna.

Z pewnością doskwiera ci głód.

Faktycznie, byłam głodna i spragniona, ale nie na tyle, by wypić krew, która tak bardzo smakowała Thorne. Od samego początku szkolenia w mrocznej magii nie czułam pokusy, by stać się wiedźmą krwi.

– Może zrobię to, kiedy już się prześpię.

– Nie tylko głodem powinnaś się martwić – nalegała Thorne, usiłując wykorzystać chwilową przewagę. – Jeśli się nie napijesz, zaczniesz słabnąć, a w tym niebezpiecznym miejscu potrzebujesz pełni sił.

– Jeśli mówiąc „to niebezpieczne miejsce”, masz na myśli ogólnie Mrok, muszę się zgodzić. Ale Pan twierdzi, że tu nic nas nie zrani. Z pewnością w sercu jego królestwa jesteśmy bezpieczne.

Thorne wzruszyła ramionami, ale nie sprawiała wrażenia zadowolonej. Położyłam się na słomie i już miałam zamknąć oczy, gdy znów przemówiła.

– Przed czymś jeszcze powinnam cię ostrzec, Grimalkin... Większość tych, którzy mieszkają w Mroku, nie może spać. Ci, którym się udaje, często cierpią z powodu dręczących ich straszliwych koszmarów.

– A ty możesz spać, dziecko? – spytałam.

– Odrobinę – odparła. – Lecz mój sen jest płytki i nawiedzają go mroczne cienie. A czasami czuję zimne palce na czole, choć kiedy otwieram oczy, nic tam nie ma.

– Zobaczę, czy mnie się uda. Jestem dość zmęczona, żeby zasnąć.

Ułożyłam się wygodnie i spowolniłam oddech. Czułam, że po ciele pełzają mi owady, ale uspokoiliłam umysł. Nie zrobią mi krzywdy. Łaskotanie mogłam znieść.

W końcu odpłynęłam w sen, nie dręczyły mnie żadne mary, które bym zapamiętała.

Nie wiem, ile czasu minęło, gdy nagle obudziła mnie Thorne, potrząsając gwałtownie za ramię.

– Coś próbuje się dostać do środka! – wykrzyknęła. – Coś wielkiego!

Słyszałam drapanie o ścianę na zewnątrz naszej komnaty. Nie

miałam pojęcia, jak głęboko wewnątrz pnia jesteśmy, brzmiało to jednak niczym wielkie szpony zdzierające korę. Potem rozległ się niższy zgrzyt, od którego ściany zaczęły wibrować, jak gdyby potężna istota wwiercała się w drewno, próbując do nas dotrzeć.

Zerwałam się z miejsca i dobyłam dwóch długich kling. Teraz całe drzewo trzęsło się i kołysało.

A potem równie nagle jak się pojawiło, tajemnicze coś zniknęło i dźwięki ucichły. Zielone światło nabrało mocy i w pokoju zmaterializował się Pan.

– Nie musicie się obawiać – rzekł. – Doszło do ataku na moje królestwo, ale został odparty.

– Ataku? Czyjego? – spytałam, chowając noże.

– To był jeden z pomniejszych bogów, który sprzymierzył się z Talkusem – wyjaśnił.

– Sądziłam, że bogowie rzadko walczą ze sobą bezpośrednio i nigdy nie próbują wdrzeć się do cudzych krain?

Pan uśmiechnął się ponuro.

– Nastaly dziwne czasy, zwykłe prawa już nie obowiązują. Bóg walczy z bogiem i nie wszyscy przeżyją.

Czy zatem doszło do tego – do otwartej wojny między bogami? Na tę myśl ogarnął mnie lęk.

– Pomówmy o innych rzeczach – nalegał Pan. – Znalazłem kogoś, kto zgodził się współpracować ze mną i odesłać was na ziemię. Postawiła jednak warunki, które możecie uznać za nie do przyjęcia. Sama je wam zdradzi.

– Zatem ów bóg to kobieta. Jak ma na imię?

– To Hekate.

Z sykiem wciągnęłam powietrze.

Hekate była moją nieprzyjaciółką.

ROZDZIAŁ

8



PODRÓŻ DO MŁYNA

THOMAS WARD

Dwa dni później wraz z Jenny i Arkwrightem ruszyliśmy do młyna wodnego, zobaczyć się z Juddem Brinscallem.

Ranek był pogodny, powietrze rześkie i suche. Najkrótsza droga na północ wiodła przez wzgórza, lecz ze względu na śnieg i lód na szczytach trzymaliśmy się niższych zboczy. To nieco wydłużało podróż, ale nie musieliśmy się spieszyć.

W rękach dźwigałem kij i torbę, na plecy założyłem Gwiazdną Klingę w pochwie. Jenny niosła własną laskę i torbę. Arkwright zarzucił sobie na ramię swój potężny kij; podczas marszu rytmicznie wymachiwał ciężkim bagażem, jakby ten nic nie ważył.

W tym momencie życie wydawało się piękne. Nad trawiastymi zboczami pomykały kuliki, a daleko na wschodzie morze migotało w promieniach słońca. W dali widziałem skaczące króliki, więc wiedziałem, że nie będziemy głodować. Nastrój psuła mi tylko obawa, że mogę nie wrócić do Chipenden przed Alice; zostawiłem jej liścik z wiadomością, że nie będzie nas tylko kilka dni, ale ta wyprawa oznaczała, że nasze rozstanie może potrwać dłużej, niż sądziłem.

Kiedy maszerowaliśmy na północny wschód, słońce zniżało się już w swej wędrówce, a niebo nad zatoką Morecambe na zachodzie poczerwieniało, zapowiadając kolejny pogodny dzień. Jenny niemal tak dobrze jak Alice radziła sobie z łapaniem królików, toteż do

czasu, gdy rozbiliśmy z Billem Arkwrightem obóz i rozpaliliśmy ognisko, zdążyła już schwytać i oskórować trzy piękne sztuki.

Arkwright upierał się, że sam zajmie się gotowaniem, my z Jenny tymczasem przyglądaliśmy się, a do ust napływała nam ślinka, gdy soki z mięsa z sykiem kapały w płomienie.

– I cóż, mości Wardzie, jak sądzisz, kto zaatakuje nas pierwszy? – spytał, gdy zaczęliśmy jeść.

Opowiedziałem mu już, jak rozprawiliśmy się z Golgothem i ile nas to kosztowało: życie Grimalkin, wiedźmy zabójczyni, oraz Meg, lamii, mieszkającej kiedyś z Johnem Gregorym w zimowym domu na moczarach Anglezarke.

– Cóż, to na pewno nie koniec Golgotha. Ale zima wyraźnie się kończy, więc pewnie wrócił w Mrok lizać rany – odparłem. – Następne zagrożenie najpewniej nadejdzie ze strony Talkusa albo może Balkaia, pierwszego z kobaloskich wysokich magów.

– Opowiedz mi coś więcej o tym ich nowym bogu – poprosił Arkwright.

– Ponoć przyjął postać skelta.

– To rzadkie stworzenia. Pamiętasz tego, z którym miałeś drobny problem?

Pamiętałem, i to doskonale! Skelt siedział uwięziony w jamie z wodą pod młynem, ale uciekł. Pomknął ku mnie, powalając mnie na ziemię i przebijając gardło ostrą kościaną rurą. Właśnie wysysał mi krew, kiedy Arkwright zaatakował go kamieniem.

Uśmiechnąłem się.

– Uratowałeś mi życie! Roztrzaskałeś mu łeb niczym skorupkę jajka. Ale teraz nie są już takie rzadkie: po bitwie o Kamień Strażniczy zjawily się ich setki i rozszarpały na strzępy ciało Złego.

– Widzieliśmy też ich sporo na dalekiej północy, na ziemiach Kobalosów. Są w stanie przetrwać nawet we wrzącej wodzie – Jenny odezwała się po raz pierwszy. – Rozmawialiśmy także z nieżyjącym kobaloskim magiem. Nazywał siebie Architektem i twierdził, że to przez jego magię przyszedł na świat Talkus. Zamiary miał dobre: liczył na to, że Talkus sprawi, iż znów zaczną się rodzić kobaloskie kobiety. Ale Architekt zginął, inni przejęli

jego dzieło i odmienili naturę boga przed jego narodzinami, czyniąc z niego wojownika.

Arkwright gapił się na Jenny. Bez trudu odczytałem wyraz jego twarzy: nie podobało mu się wcale, że dziewczyna wtrąca się do rozmowy dwóch stracharzy. Ale słusznie postąpiła, wspominając o tym wydarzeniu; ważne, by wiedział wszystko na temat Kobalosów, bo ich plany zagrażały całemu światu. Zabili wszystkie swe kobiety i teraz mogli się rozmnażać tylko ze schwytanymi ludzkimi niewiastami – niewolnicami, które zwali purrai.

– Myślę, że następny atak na Hrabstwo poprowadzi ich nowy bóg, ale może nie działać sam – dodałem. – Kobalosczy magowie potrafią się tu przenosić; jeśli mamy mieć jakiegokolwiek szanse, musimy zawrzeć magiczny sojusz z klanami czarownic. To dlatego Alice udała się do Pendle. Służy teraz Panu: razem władają ogromną mocą, ale boga osłabiła ostatnia walka z Golgothem.

– Wolałabym, żebyśmy nie musieli współpracować z czarownicami – mruknęła Jenny. – To wbrew naturze.

Arkwright wzruszył ramionami.

– Kiedyś też tak myślałem, dziewczyno, ale musimy jakoś przetrwać. Nawet John Gregory się z tym pogodził i ostatecznie przyjął pomoc Grimalkin.

Przytaknąłem.

– Owszem, pod koniec poszedł na kompromis, i ja także. To było konieczne, żebyśmy mogli przetrwać.

Następnego dnia ruszyliśmy w drogę o świcie, kierując się na północ w stronę Kendal. Jak zwykle ominęliśmy od wschodu Caster. Kwizytor, ksiądz specjalizujący się w polowaniach na czarownice, obecnie mieszkał w Priestown, ale czasami odwiedzał to miasto. Nie przepadał za stracharzami – w jego oczach byliśmy nie lepsi od mieszkańców Mroku. On sam uważał, że walka z Mrokiem to domena Kościoła, a my jesteśmy niebezpiecznymi intruzami. Gdyby nas złapał, moglibyśmy trafić do zamkowych lochów, tak jak więdźmy, najlepiej zatem było unikać Caster.

Przypomniałem sobie, że w mieście tym czarownic nie palono, tylko wieszano je. Po egzekucji rodziny odbierały zwłoki i grzebały w płytkich grobach w Wiedźmim Jarze na wschód od Pendle. Podczas pierwszej pełni czarownice owe budziły się i zaczynały się ruszać. Słabsze były w stanie chwytać jedynie myszy i grzebać w ziemi w poszukiwaniu robaków, ale silniejsze biegały szybciej niż dorośli ludzie i łaknęły krwi. To sprawiało, że po śmierci stawały się groźniejsze niż za życia. Mój mistrz wspomniał mi kiedyś, że wieszaniu czarownic w Caster zawdzięczamy trzy czwarte martwych mieszkanków owej niebezpiecznej dolinki.

Pozostawiwszy za sobą Caster, dotarliśmy do kanału i przeprawiliśmy się przez pierwszy napotkany most, maszerując na północ zachodnim brzegiem. Wędrowaliśmy żwirową ścieżką holowniczą, nie spiesząc się zbyt. W powietrzu czuło się ziąb, ale gdy wyszło słońce, dodało mi ducha. Z optymizmem patrzyłem w przyszłość. Byłem pewien, że znajdziemy jakiś sposób, by pokonać Kobalosów.

Przed nami długie, wąskie barki, ciągnięte przez konie, sunęły kanałem w obie strony. Na niektórych, umazanych sadzą i pyłem, przewożono węgiel, inne mieniły się jaskrawymi kolorami. Ta codzienna rutyna dziwnie kłóciła się z zagrożeniem narastającym na przeciwległym brzegu Morza Północnego i niebezpieczeństwem, które mogło pojawić się znikąd. Jak dotąd do ataków kobaloskich magów i wojsk dochodziło bliżej Chipenden. O ile mi było wiadomo, w tej okolicy wróg dotąd się nie pojawił, co mogło tłumaczyć spokój mieszkańców. Bez wątpienia Judd Brinscall przekaże nam wieści o wszelkich wydarzeniach w okolicy.

Zrobiliśmy krótki popas na posiłek złożony z zimnego królika i kruchego sera z Hrabstwa. Nim dotarliśmy do miejsca, gdzie musieliśmy zejść ze ścieżki holowniczej, zapadł już zmierzch. Mimo gęstniejącej ciemności łatwo je znaleźliśmy, oznaczał je bowiem wysoki słup na brzegu kanału; przypominał trochę szubienicę, lecz zamiast skazanego zbrodniarza zwisał z niego wielki dzwon z brązu. Kapitanowie barek uderzali w ów dzwon, gdy przybywali z dostawą do młyna.

Podążyliśmy dróżką w dół zbocza, w mrok. Bill Arkwright szedł na przedzie, Jenny zamykała pochód. Po prawej słyszałem bulgot strumienia, coraz głośniejszy, w miarę jak zbliżaliśmy się do młyńa dróżką pomiędzy wierzbami płaczącymi.

W końcu dotarliśmy do granicy ogrodu, okolonego wysokim żelaznym ogrodzeniem gąszczu młodych drzewek i krzewów. Arkwright skręcił w lewo, maszerując wzdłuż niego po gąbczastej, mokrej ziemi aż do wąskiej szczeliny, jedyne go wejścia. Przepchnąwszy się przez nią, ujrzeliśmy płytką fosę. Zdziwiłem się, gdy przeszedł przez nią, nie zanurzywszy palca w wodzie i nie uniósłszy go do ust.

Stracharz regularnie wsypywał do fosy sól, aby nie mogły do niej wtargnąć wodne wiedźmy. Podczas mojego pobytu w młyńie Arkwright, wracając, za każdym razem sprawdzał stężenie soli. Może uznał to za obowiązek Judda, póki nie przejmie swojego domu.

Znów wędrując wzdłuż strumienia, skierował się w stronę wielkiego młyńa, który nadal wyglądał, jakby miał runąć podczas następnej burzy. Drewniane części próchniały i gniły, rozpaczliwie potrzebowały naprawy. Zastanawiałem się, jak psy powitają dawnego pana, ale nie usłyszałem szczekania, domyśliłem się zatem, iż Judd wybrał się gdzieś w stracharskich sprawach. W młyńie panowała ciemność. Zastukaliśmy głośno do drzwi, ale nie doczekaliśmy się odpowiedzi.

– Wygląda na to, że znów będziemy musieli nocować na dworze. A tak chciałam się przespąć w ciepłym łóżku – mruknęła Jenny.

Uśmiechnąłem się do siebie, bo wiedziałem, że nie będzie to konieczne: w torbie miałem specjalny klucz zrobiony przez brata Johna Gregory'ego, ślusarza Andrew. Klucz ten otwierał większość zamków, ten także nie stanowiłby problemu.

Wtedy jednak Arkwright sięgnął do kieszeni, po czym zmarszczył brwi, gdy spostrzegł, że dłoń jest pusta.

– Mógłbym przysiąc, że wciąż mam stary klucz. Nie gubi się przecież klucza od własnego domu, prawda, mości Wardzie?

Wzruszyłem ramionami i otworzyłem torbę.

– Od twojego wyjazdu wiele się wydarzyło, nic dziwnego, że go nie masz. Ale nie martw się, oto klucz, który otworzy ten zamek.

Uśmiechnął się i przyjął go, zamiast jednak wsunąć go do dziurki, bez słowa wyjaśnienia poprowadził nas w stronę wielkiego koła wodnego. Choć strumień rwał ku niemu z wielką siłą, samo koło tkwiło nieruchomo.

Bill Arkwright uniósł wzrok i westchnął ciężko.

– To tu umarła moja matka – rzekł. – Rzuciła się pod to koło po śmierci ojca. Próbuję od wielu dni, ale nie mogę sobie przypomnieć twarzy mamy i taty. To mnie gryzie. Dlaczego ich nie widzę? – Zaszlochał i po policzkach pociekły mu łzy.

Nieraz widziałem go rozgniewanego, ale nigdy w takim stanie.

– Wspomnienia blakną z czasem – odparłem. – To spotyka nas wszystkich.

– Może to wino? – podsunął. – Podobno zbyt wiele czerwonego trunku uszkadza pamięć. Są też inne rzeczy, których nie mogę sobie przypomnieć.

Pewnie miał rację, ale nie odpowiedziałem. Jenny dostrzegła mój wzrok i zobaczyłem, że i jej do oczu napływają łzy. Empatia pozwalała jej wyczuć emocje Arkwrighta.

Bill odwrócił się i poprowadził nas z powrotem do drzwi frontowych. Wsunął klucz w zamek, otworzył je i wszedł w ciemność. W torbie miałem lampę i zamierzałem ją zapalić, ale podreptałem za nim.

Dopiero gdy przekroczyłem próg, poczułem ostrzegawczy dreszcz.

W środku czekało na nas coś z Mroku.

ROZDZIAŁ

9



TRUPY

THOMAS WARD

Mimo ciemności rozpoznałem zagrożenie. Był to duży skelt, jeden z największych, jakie oglądałem. Arkwright uniósł swą nową laskę, nim jednak zdołał się zamachnąć, stwór przemknął obok niego i zaatakował mnie, celując śmiertelnie kościaną rurą prosto w moje gardło.

Przez moment ogarnęła mnie groza.

Czy to coś więcej niż skelt? Czyżby napastnikiem był Talkus?

Potem jednak szkolenie wzięło górę i zareagowałem dostatecznie szybko, by odeprzeć groźny atak. Trzymając oburącz laskę, nacisnąłem dźwigienkę, uwalniając klingę, i dźgnąłem w dół. Skelt uskoczył. Chybiłem.

Znów śmignął z lewej i ledwie zdołałem odzyskać równowagę – tym razem jednak udało mi się wbić w niego ostrze ze stopu srebra. Trafiłem tuż za głową. Skelt zwijał się i szarpał, próbując się wyrwać, wtedy jednak Jenny znalazła się nagle u mego boku i zaczęła dźgać raz po raz stwora własną laską, aż w końcu zadygotał i znieruchomiał.

Obejrzałem się na Billa Arkwrighta, zaskoczony, że nie przyszedł mi z pomocą. Czy wyobraziłem to sobie, czy też na ustach miał lekki uśmiech?

– Brawo, mości Wardzie! Wraz z Johnem Gregorym dobrze cię wyszkoliliśmy! Szybko się rozprawiłeś z tym skeltem i nie

potrzebowałeś mojej pomocy, prawda? I ty też, panienko Jenny. Doskonała praca kijem! Żaden uczeń chłopak nie spisałby się lepiej.

Na te słowa twarz Jenny rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. Zdumiało mnie, że tak doskonale się dogadują, najwyraźniej Bill Arkwright z wiekiem złagodniał.

Potem zapaliliśmy lampę i rozejrzałem się dokoła. Arkwright nigdy nie mieszkał w tym pomieszczeniu, nadal pełnym pustych skrzyń. Judd nie próbował ich uprzątnąć, usunął jednak wszystkie butelki po winie. Zerknąłem w stronę klapy w kącie – ukryte pod nią schody wiodły do pomieszczeń pod młynem, gdzie w jamach siedziały uwięzione wodne wiedźmy.

Dla bezpieczeństwa trzymając się razem, sprawdziliśmy dom w poszukiwaniu innych zagrożeń. Zajrzeliśmy wszędzie. Jenny i ja ostrożnie przekraczaliśmy progi kolejnych pokoi, Arkwright trzymał się z tyłu, pozwalając, abym wszystkim kierował.

Kiedy dotarliśmy do niewielkiej sypialni, przeżyłem chwilę gwałtownego strachu, od którego serce zatrzepotało mi w piersi. Coś eksplodowało ku mnie z ciemności, ocierając się o moje włosy. Cofnąłem się szybko, ale serce zwolniło biegu dopiero, gdy Jenny uniosła wysoko lampę i przekonałem się, że pokój jest pełen oszalałych nietoperzy. Dostały się do środka przez dziurę wysoko w ścianie.

– Brinscall okropnie zapuścił to miejsce – poskarżył się Arkwright.

Uznałem, że to niesprawiedliwa uwaga. Mieszkałem w tej sypialni podczas szkolenia. Judd pewnie z niej nie korzystał i nie miał powodu tu zaglądać.

Nie znaleźliśmy niczego więcej, pomogłem zatem Arkwrightowi wywlec na dwór martwego skelta. Kiedy zrobi się jasno, wyrzucimy go na bagna, na razie jednak został na podwórku.

– Jak przedostał się przez słoną fosę? – zastanawiał się głośno Bill w drodze do kuchni. – Może Brinscall zrobił się nieostrożny? Lenistwo i rutyna to niebezpieczna rzecz w naszym fachu.

– Wątpię, by Judd zapomniał o ostrożności – broniłem go. – Możliwe, że jakiś czas go nie było i sól się rozcieńczyła.

– Jutro sprawdzę fosę. Ostrożności nigdy dosyć.

Jenny tymczasem zdążyła już rozpaść w kuchennym piecu i powietrze zaczęło się ogrzewać. Zajrzałem do spiżarni i znalazłem zapleśniały bochenek chleba, soloną wołowinę, pęczek marchwi, rzepy i brukwi oraz parę pęczków suszonych ziół wiszących na hakach. Arkwright natychmiast zabrał się do roboty i ugotował gulasz, który okazał się przepyszny. Wkrótce po posiłku ułożyliśmy się na kocach na podłodze. Reszta domu była zbyt zimna i wilgotna, by móc w niej wygodnie spać.

O brzasku poszedłem z Arkwrightem do fosy. Zanurzył palec w wodzie, przytknął do języka, po czym wypluł, marszcząc brwi.

– Tak jak myślałem, prawie nie ma w niej soli! – wykrzyknął.

Worki soli znaleźliśmy w magazynie, toteż pomogłem mu przenieść je i wysypać zawartość do fosy w równych odstępach. Następnie wyrzuciliśmy martwego skelta na wyjątkowo grząski fragment moczarów, umyliśmy ręce i poszliśmy na śniadanie, na które składały się resztki wczorajszego gulaszu.

– Może powinniśmy pokazać twojej uczennicy jamy? – zaproponował Arkwright.

– Dobry pomysł – odparłem.

Jenny odwiedziła już młyn, gdy przyszedłem pogadać z Juddem, ale nie zaglądała do piwnicy.

Odwróciłem się ku niej.

– Jamy są pełne wody, bo w okolicy żyją głównie mroczne stwory z bagien i rzek. Może nawet siedzi tam wodna wiedźma. Przydałoby się, gdybyś ją sobie obejrzała, wówczas zrozumiałabyś, w jaki sposób nam zagrażają.

Arkwright chwycił żelazny pierścień i dźwignął klapę. Unosząc lampę, poprowadził nas drewnianymi schodami w zalegającą w dole pod młynem ciemność. Słyszałem szum strumienia, pędzącego kamienistym korytem ku wielkiemu, nieruchomemu kołu. Choć Bill nigdy tego nie potwierdził, zakładałem, że nie obracało się od dnia, gdy zmiażdżyło i utopiło jego nieszczęsną

matkę.

W końcu dotarłem na dół i zeskokczyłem w błoto. Tej piwnicy nie wyłożono kamiennymi płytami. Błotnisty obszar z jednej strony ograniczał strumień i koło, a z drugiej kamienne fundamenty młyna i drewniane ściany.

Wewnątrz cuchnęło gnijącym drewnem, wilgocią... i czymś jeszcze, czymś mdląco słodkim. Wiele razy wcześniej czułem tę woń. Coś tu umarło. To był smród gnijącego ciała.

Arkwright uniósł lampę wysoko nad głowę. Rozejrzałem się szybko. Wyglądało na to, że pręty zamykające jamy zostały wyrwane – i to brutalnie. Mogły tego dokonać ciężkie młoty i dłuta, ale metalowe ramy zostały zniekształcone i wygięte, jakby zaatakował je oszalały olbrzym.

Podeszliśmy do najbliższego dołu i zajrzeliśmy do środka. Woda trwała nieruchomo, choć nadal coś mogło kryć się pod powierzchnią. Uniosłem kij i wypuściłem z niego klingę. Zarówno skelty, jak i wodne wiedźmy potrafią poruszać się przerażająco szybko – mogą pochwycić człowieka, wciągnąć do wody i wysssać z niego krew tak prędko, że nie zdążyłby nawet utonąć.

Arkwright pokręcił głową i poprowadził nas do następnej jamy. Sprawdziliśmy je kolejno jedną po drugiej. Wyglądały identycznie: wyrwane metalowe pręty, nieruchoma woda, pustka.

Wreszcie za ostatnią jamą, najbliższą koła wodnego, znaleźliśmy źródło upiornego smrodu.

Leżały tam dwa trupy, jeden ludzki, drugi psi.

– Powiedz mi, że tego nie widzisz, mości Wardzie! – wykrzyknął Arkwright.

Nie odpowiedziałem, zasłoniłem tylko usta i nos dłonią. Za sobą słyszałem wymiotującą Jenny.

Oba ciała zdążyły już się mocno rozłożyć: pośród gnijącego mięsa sterczały kości. Niełatwo było określić, co je zabiło, nie dostrzegłem żadnych wyraźnych ran.

Patrzyłem na nie wstrząśnięty i zasmucony. To musiały być szczątki jednego z wilczarzy i Judda Brinscalla. Nie zawsze dogadywaliśmy się z Juddem, ale szanowałem go, był dobrym

stracharzem. Jego śmierć to poważna strata dla Hrabstwa.

– Biedny pies. Ale czy to Krew, czy Gnat? – Arkwright pokręcił głową. – Zastanawiam się, co się stało z drugim.

Sprawiał wrażenie zaskakująco nieporuszonego śmiercią zwierzęcia, pomyślałem też, że powinien okazać choć odrobinę żalu z powodu losu Judda.

– Czy to na pewno Brinscall? – zapytał.

Przyjrzałem się trupowi. Nie miał już twarzy, ale ubrany był w stracharską szatę z kapturem.

– To Judd Brinscall, bez dwóch zdań – wtrąciła Jenny niemal szeptem. Podeszła do mnie bliżej. – Widać, że u prawej dłoni brakuje dwóch palców.

To rozstrzygało sprawę. Odgryzła mu je wiedźma podczas bitwy o Kamień Strażniczy.

– Co ich zabiło, mości Wardzie? – spytał Arkwright.

– Może skelty? – podsunąłem. – Przy tym stopniu rozkładu nie dostrzeżlibyśmy nakłuć. Ale sądząc po uszkodzeniach prętów na jamach, towarzyszyło im coś jeszcze.

Jak bowiem skelty mogłyby wyrwać metalowe kraty? Nie miały rąk, nie dysponowały też taką siłą. Nawet jeśli zabiły Judda i psa, brało w tym udział coś jeszcze. Było tu coś z Mroku.

ROZDZIAŁ

10



KIM JESTEM?

THOMAS WARD

Nie było sensu zwracać się do miejscowego księdza: Arkwright miał już z nim do czynienia i wiedział, że podchodzi do stracharzy bardziej wrogo niż większość duchownych. Nie tylko nie zezwoliłby na pogrzebanie jednego z nas na swym cmentarzu, ale też nie pobłogosławiłby zwłok.

Pochowaliśmy Judda i psa – nie dało się stwierdzić którego – w ogrodzie, w jednym grobie; wiedziałem, że bardzo polubił oba wilczarze.

Gdy zasypywaliśmy dół, Jenny wygłosiła modlitwę.

– Niechaj spoczywają w spokoju – rzekła cicho.

– Myślisz, że psy mają duszę, dziewczyno? – spytał Arkwright, a w jego głosie zadźwięczała okrutna nuta.

Jenny przytaknęła.

– Mają dusze, tak samo jak my – odparła. – Widać to w ich oczach.

Sądziłem, że Arkwright będzie protestować, on jednak westchnął tylko i odszedł.

Ruszyłem za nim do domu. Było już późne popołudnie i zaczynało zmierzchać.

– Zostaniesz tutaj? – spytałem.

– Taki był mój cel, ostateczny kres podróży – mruknął. – Teraz jednak sam nie wiem. Bez psów nie mogę polować na bagnach na

wodne wiedźmy. Musiałbym kupić parę szczeniaków i je wytresować, a to wymaga czasu. Co więcej, uważam, że powinniśmy trzymać się razem. W sile moc. To, co zabiło Brinscalla, może wrócić. Chyba zamieszkać w Chipenden, z tobą, to znaczy jeśli nie masz nic przeciw temu, mości Wardzie?

Z uśmiechem pokiwałem głową.

– Miałem nadzieję, że to powiesz. Stoimy w obliczu strasznego zagrożenia. Musimy połączyć siły. Czy powinniśmy zanocować tutaj i ruszyć w drogę rano?

Uzgodniliśmy, że tak właśnie uczynimy. Do jedzenia zostały nam tylko warzywa, ale Arkwright przyrzęczał z nich najlepszą zupę, jaką jadłem od dawna.

Potem usiedliśmy przy piecyku, a on zaczął czytać książkę, którą przyniósł ze sobą z sypialni na piętrze, gdzie niegdyś przechowywał trumny rodziców. Część książek trafiła już do Chipenden, stając się trzonem biblioteki Johna Gregory'ego, po tym jak starą pochłonął pożar. Postanowiliśmy zabrać jeszcze kilka – wilgoć w pustym domu tylko by im zaszkodziła.

Zerknąłem na Jenny: siedziała spokojnie, patrząc w przestrzeń. Od znalezienia ciał prawie się nie odzywała, sprawiała wrażenie przygnębionej.

Przyglądałem się Arkwrightowi: czytał w skupieniu, marszcząc czoło. Blask świec nie był zbyt jasny, a on przysuwał książkę blisko nosa. Zauważyłem tytuł na grzbiecie: *Morwena*.

Sam napisał ten tom, traktujący o najgroźniejszej z wodnych wiedźm w dziejach. Kilka lat wcześniej czytałem jego fragmenty, gdy i nam zagroziła.

Nagle uniósł wzrok i spojrzał na mnie.

– Wiesz, mości Wardzie, kiedy czytam tę książkę, każde słowo wydaje mi się nowe i świeże. Napisałem ją, ale tego nie pamiętam, równie dobrze mogłaby być dziełem kogoś innego. Czyż to nie dziwne?

– Może każdy autor czuje to samo, gdy czyta po latach własne słowa? – odparłem. – Czasami tak się czuję, sięgając po pierwsze notesy. Bo przecież my też się zmieniamy. Jestem inny niż

chłopiec, który jako dwunastoletni uczeń zaczął wypełniać swój pierwszy notatnik.

Arkwright z powątpiewaniem pokiwał głową, po czym wrócił do lektury.

Po kolejnych dwudziestu minutach odłożył książkę.

– To co, czas już na sen? – rzekł.

Tak naprawdę nie było to pytanie, tylko stwierdzenie faktu – uprzejme polecenie. Tak samo zachowywał się dawny Bill Arkwright – w naturalny sposób przejmował dowodzenie. Ostatecznie przebywaliśmy w jego domu.

Oboje z Jenny przytaknęliśmy, on zaś zdmuchnął wszystkie świece, prócz tej na piecyku. Właśnie otulaliśmy się z Jenny kocami, gdy nagle podszedł do mnie i ukląkł obok, patrząc mi w oczy.

– Widzę, że bardzo lubisz ten zardzewiały miecz, mości Wardzie – zauważył.

– Lubię? – uniosłem brwi. – Co masz na myśli?

– Nie tylko cały dzień nosisz go w pochwie na ramieniu, ale nocą dzielisz z nim łożę. Sypiasz z dłonią na rękojeści!

– I nie bez powodu. Może miecz nie wygląda zbyt imponująco, ale wykuła go Grimalkin i przelała w niego swą najmocniejszą magię. Nigdy się nie złamie, przecina każdą zbroję, chroni mnie przed wszelkimi odmianami mrocznej magii, która mogłaby mnie skrzywdzić. Kobalosc magowie mogą zaatakować w każdej chwili, więc okazałbym się głupcem, gdybym spuścił go z oczu.

– Sądysz, że mógłbym obejrzeć go na moment, mości Wardzie? Chciałbym się przekonać, jak to jest dzierżyć w dłoni podobną broń.

– I wyciągnął rękę, by odebrać mi Gwiazdą Klingę.

W głowie rozdzwoniły mi się ostrzegawcze sygnały. Czułem, że nie powinienem oddawać mu miecza. Wydawało mi się, że już wiem, iż to naprawdę Bill Arkwright, ale teraz pojąłem, że coś w głębi mnie wciąż w to wątpi.

Już miałem odmówić, nim jednak zdążyłem cokolwiek rzec, wtrąciła się Jenny.

– Grimalkin mówiła, że Tom nie powinien pozwolić nikomu go

dotykać – skłamała gładko. – Kontakt z inną osobą mógłby pozbawić go części mocy.

Starając się nie okazać po sobie prawdziwych uczuć, pokiwałem głową. A zatem Jenny też mu nie ufała.

– Przykro mi, ale Jenny ma rację – dodałem.

Arkwright cofnął dłoń, zmarszczył brwi, po czym przytaknął. Nie powiedział nic więcej. W chwilę później zdmuchnął ostatnią świecę. Czulem ogromne zmęczenie, osuwałem się w sen, chwyciłem jednak mocno rękojeść Gwiazdnej Klingi, tak by nawet we śnie jej nie puścić.

Po śniadaniu Arkwright oznajmił, że wybierze się na przechadzkę po bagnach, aż do ruin opactwa i z powrotem.

– Dawniej siadywałem tam czasami, by przemyśleć to, co mnie gnębi – oznajmił. – Chciałbym to zrobić dziś rano, bo kilka rzeczy nie daje mi spokoju. Możliwe, że trochę potrwa, nim wrócę do młyna.

Wyrzałem za drzwi: nad moczarami gęstniała mgła, widoczność spadła do zaledwie kilku stóp.

– Najlepiej będzie, jeśli pójdziemy wszyscy – zaproponowałem. – Przy tej pogodzie nie wiadomo, co może się tam czaić.

Wodne wiedźmy często zbierały się na moczarach pod osłoną ciemności. Gęsta mgła także mogła ukryć ich obecność. Bez psów Arkwright mocno by się narażał.

– Potrafię o siebie zadbać, mości Wardzie! Nie martw się o mnie. Muszę zostać sam, żeby wszystko przemyśleć.

Staliśmy z Jenny, patrząc, jak odchodzi w dal.

– O co chodziło zeszłej nocy, Jenny? Nadal mu nie ufasz? – spytałem.

– Emocje, jakie w nim wyczuwam, wyglądają tak, jak powinny. Jest twardy i szorstki, ale serce ma dobre. Lecz coś go trapi, coś jest nie tak, Tomie, i nie potrafię stwierdzić co. Może to moje przeczulenie, ale kiedy sięgnął po miecz, wyczułam niebezpieczeństwo. Na szczęście zdołałam szybko coś wymyślić.

– Miałaś rację, ufając instynktowi – oznajmiłem. – I zawsze lepiej zachować ostrożność. Sam też nie jestem do końca pewny co do niego. Nie zamierzałem pozwolić mu wziąć miecza, ale ty ułatwiłaś mi sprawę. Dziękuję za pomoc.

Jenny uśmiechnęła się. Przez jakiś czas milczała, potem odezwała się nagle:

– Co się stanie, kiedy ukończę termin?

Zaskoczyło mnie jej pytanie, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak wiele nam groziło. Zapewne jednak musiała myśleć o przyszłości.

– Cóż, będziesz stracharką i zaopiekujesz się własnym terenem, chroniąc go przed Mrokiem, tak jak cię nauczę. Jeśli chcesz, możesz zamieszkać tu, w młynie. W ten sposób byłabyś niedaleko, gdyby pojawiły się jakieś kłopoty.

Jenny zadrżała.

– Nie podoba mi się tutaj. To ostatnie miejsce, w jakim chciałabym pracować.

– Co zatem powiesz na dom w Anglezarce?

– Nie cierpię tych zimnych, wietrznych moczarów. Lubię Chipenden. Nie mogłabym tam zostać i dzielić z tobą pracy?

– Owszem, z pewnością przez jakiś czas. Po dokończeniu nauki John Gregory pracował w Chipenden wraz ze swym dawnym mistrzem. Ty mogłabyś zrobić to samo, w końcu jednak musiałabyś znaleźć coś dla siebie. To część procesu dorastania i rozwijania się stracharza. Większość uczniów mojego mistrza – ci, którzy nie uciekli ani nie zginęli podczas terminu – odeszła w odległe części Hrabstwa, by tam praktykować swój fach.

Oboje umilkliśmy. Potem zaczęliśmy zbierać rzeczy, szykując się do drogi, dzieląc książki między nasze torby. Zrobiły się ciężkie, lecz w odróżnieniu od mego nieżyjącego mistrza, Johna Gregory'ego, rzadko kazałem uczennicy dźwigać swój bagaż.

I wtedy usłyszeliśmy dobiegające z zewnątrz skrobanie i skomlenie. Brzmiało jak pies, chwyciłem jednak laskę, powoli uchylając drzwi. Do kuchni wkuśtykał wielki wilczarz. Wyglądał rozpaczliwie: sierść miał mokrą, zmierzwioną i pozlepianą błotem, cały był podrapany. Spojrzał na nas żałośnie.

Ukląknęłam i zacząłem go głaskać, a on lizał mnie po twarzy, dysząc. Jenny, wyraźnie przestraszona, trzymała się na dystans. Kiedyś, gdy nalegała, by Judd przyjął ją na naukę, ten poszczuła ją swymi psami.

– Czyli jeden z psów przeżył atak – mruknęła. – Biedactwo. Który to: Krew czy Gnat?

– Chyba Krew – odparłem.

Pamiętałem, że niełatwo je rozróżnić, ale za lewym uchem dostrzegłem niewielkie pasmo szarej sierści.

– Szkoda, że psy nie umieją mówić – Jenny westchnęła. – Krew opowiedziałaby nam, co się tu stało.

– Cóż, zabierzemy ją do Chipenden. Dobrze będzie znów mieć psa. To powinno pocieszyć Billa Arkwrighta!

Zakończywszy przygotowania do drogi, czekaliśmy we frontowym pokoju. Usiadłem na pustej skrzyni, pies ułożył mi się u stóp. Jenny zaczęła krążyć tam i z powrotem, bez wątpienia niecierpliwie wyczekując chwili wymarszu.

Rozejrzałem się dokoła i jak zwykle mój wzrok przyciągnęła kłapa w kącie. Zastanawiałem się, co wypuściło uwięzione wodne wiedźmy, co wyrwało metalowe pręty... To coś musiało dysponować niewiarygodną siłą albo magiczną mocą. Czy był to Balkai?

Nagle Krew zjeżyła się cała i zaczęła warczeć. Usłyszałem zbliżające się kroki. Czy to był Arkwright? Nie, z pewnością musiało zbliżać się coś niebezpiecznego – pies wpatrywał się w drzwi, dygocząc cały.

Gdy zerwałem się z miejsca, otwarły się powoli, skrzypiąc na zardzewiałych zawiasach. Ujrzałem sylwetkę Billa Arkwrighta na tle szarego porannego nieba. Stał bez ruchu niczym posąg, patrząc na nas i dzierżąc w dłoniach kij, zakończony morderczym ostrzem.

Krew podniosła się z ziemi i znów warknęła, po czym czujnie ruszyła ku niemu. Dziwne: powinna była pobiec z radosnym ujadaniem, żeby go polizać i dać się pogłaskać, ale ona zbliżała się jak do kogoś obcego; wyglądało, że zaraz zaatakuje!

On także nie zawołał jej radośnie. Spodziewałem się, że ucieszy

go odkrycie, iż jeden z psów przeżył. Bill jednak postąpił cztery szybkie kroki do środka i uniósł laskę, wykrzywiony wściekle, po czym zamachnął się mocno, celując klingą wprost w psa.

Był szybki. Ale Jenny okazała się szybsza.

Wyprysnęła naprzód i zablokowała śmiercionośne pchnięcie własnym kijem. Pies umknął w kąt pokoju. Przez chwilę Jenny i Arkwright stali tam nieruchomi niczym rzeźby, patrząc na siebie gniewnie. W końcu Arkwright obrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł na dwór.

Wszystko to było niezmiernie dziwne.

– Zostań tutaj! – poleciłem Jenny i ruszyłem za nim.

Nie odwróciłem się, by sprawdzić, czy posłuchała, ale równie dobrze mogłem mówić do ściany. Dobrze słyszałem, że idzie tuż za mną.

Arkwright kierował się w stronę koła wodnego. Gdy go dogoniłem, patrzył w ciemną, wzburzoną wodę, przelewającą się po kamieniach po obu jego stronach.

– Dlaczego próbowałem zabić własnego psa, mości Wardzie? – spytał z posępną twarzą, obracając się ku mnie.

– To naturalna reakcja na zagrożenie. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Zareagowałeś instynktownie i tyle – odparłem, podsuwając mu gotowe wyjaśnienie.

Był wyraźnie poruszony.

– Miałem dość czasu, by pomyśleć. Mogłem użyć drugiego końca kija i dobrze o tym wiesz! – odparował. – Dlaczego próbowałem dźgnąć swojego psa klingą? I dlaczego w ogóle mnie zaatakowała?

– Od bardzo dawna cię nie widziała. Walczyła z tym, co zabiło Judda, przeżyła szok. Nie wiedziała, co robi.

Jego twarz wykrzywił umęczony grymas. Dlaczego tak się zachowywał? Zupełnie jakby nie panował nad sobą.

– Nie! To ja nie wiem, co robię! Zbyt wiele rzeczy jest ze mną nie tak. Mam w głowie tylko fragmenty wspomnień. Nie pamiętam rzeczy, które powinienem pamiętać, i niezależnie od okoliczności nigdy nie próbowałbym zabić własnego psa. To prowadzi do jednego logicznego wniosku...

Urwał i znów zerknął w dół na koło. Potem otworzył usta, by przemówić – ale nie zdążył. Zastąpiła go Jenny.

– Nie jesteś Billem Arkwrightem – powiedziała.

Popatrzył na mnie, potem na nią.

– Masz rację, kociczko. Nie jestem Billem Arkwrightem. Czym więc jestem?

– Czymś z Mroku! – wykrzyknęła.

I nagle fragmenty układanki w mojej głowie wskoczyły na miejsce, jakby ktoś przekręcił w końcu klucz w zardzewiałym zamku. To rzeczywiście była istota z Mroku – ale nie mieliśmy do czynienia z kobaloskopowym magiem, który przyjął postać Billa Arkwrighta. Tego stwora stworzono, by naprawdę wierzył, że jest Billem Arkwrightem.

Miał jednak problemy z pamięcią. Klucz do rozpoznania owej istoty leżał w jej niepewności co do tego, kim naprawdę jest.

– Jesteś tulpą! – wykrzyknąłem.

ROZDZIAŁ

11



KRÓLOWA CZAROWNIC

GRIMALKIN

Nie mogłam uwierzyć, że Pan wybrał na współniczkę Hekate. Pokręciłam głową.

– Sojusz z Hekate jest nie do przyjęcia – oznajmiłam. – To nieprzyjaciółka czarownic z Pendle i doskonale o tym wiesz!

Dawno temu Hekate ogłosiła się królową czarownic i wszystkie ziemskie klany przysięgły jej służyć, uznając, że ustępuje rangą jedynie Złemu. Później wzięła stronę wiedźm z Kaledonii, które najechały Hrabstwo i próbowały przejąć władzę nad Pendle, bo pociągał je mroczny potencjał magiczny tego miejsca.

Po morderczej bitwie, w której obie strony poniosły ciężkie straty, wiedźmy z Kaledonii zostały odparte na północ. Ale my, czarownice z Pendle, nigdy nie zapomnialiśmy, że Hekate walczyła u ich boku, i przestałyśmy ją uznawać za swoją władczynię.

– Może i była nieprzyjaciółką klanów z Pendle, teraz jednak sytuacja się zmieniła – odparł Pan. – Zawarliśmy sojusz, tak jak prosiłaś, i stanie do walki z Kobalosami i ich bogami. Bardzo potrzebuję jej wsparcia, a ty, Grimalkin, musisz z nią współpracować. Nie ma innego sposobu, byś powróciła na ziemię. Hekate czeka na ciebie na leśnej ścieżce.

Zamigotał i zniknął, a ja zerknęłam na Thorne i pokręciłam głową.

- Hekate jest mściwa i wredna, zażąda wysokiej ceny – rzekłam.
- Nie mamy zbytniego wyboru – zauważyła Thorne.
- Zgadzam się. Chodźmy sprawdzić, czego zechce w zamian za swą pomoc.

Po schodach zeszliśmy na trawę. Wcześniej nie było tam ścieżki, teraz jednak ujrzałam czarne kamyki, oddalające się od nas przez las. Nad naszymi głowami świecił księżyc w pełni.

Ruszyłam przodem, moje kroki chrzęściły na kamykach, zapowiadając nasze przybycie. Przedtem sądziłam, że w krainie Pana jesteśmy bezpieczne, ale teraz ogarnął mnie niepokój. Hekate była związana z Księżycem, z niego czerpała część swojej mocy. Nagłe pojawienie się miesiąca sugerowało tutaj, że sprowadziła jego obraz ze sobą. Ostatecznie to królestwo należało do Pana. Alice opowiadała, że tutejsze niebo zawsze pozostaje ciemne; jedynym źródłem światła był ów zielony blask.

Pan nadal nie doszedł do siebie po pojedynku z Golgothem. Czy zdoła nas ochronić przed Hekate, jeśli ta okaże się wrogo nastawiona? I czy w ogóle zechce nas bronić? Ostatecznie to bogini – pewnie uważa ją za ważniejszą sojuszniczkę. Nas bez wątpienia mógł zastąpić kimś innym.

Niechaj ta wiedźma pokaże się nam ze swej najgorszej strony, pomyślałam. Nie poddamy się bez walki.

Wolałabym zejść ze ścieżki, by tak nie hałasować, ale las zamknął się wokół nas, po obu stronach wyrastały młode drzewka i krzaki. Wkrótce poszycie znów ustąpiło i ujrzałam wyraźnie cel naszej wycieczki. Tuż przed sobą zobaczyłam rozstaje, pośrodku nich stała wysoka, mroczna, zakapturzona postać. Hekate. Czułam promieniujące z niej zło.

Przed sobą ustawiła wielki, bulgoczący czarny kocioł, z którego unosiła się żółta para. Miał co najmniej sześć stóp średnicy, sięgał niemal do ramienia Hekate. Jej lewa dłoń spoczywała lekko na krawędzi, palce gładziły metal. Uśmiechała się złośliwie.

Kotły tradycyjnie wykuwa się z żelaza, by mogły zatrzymać przyrządzane w nich potężne zaklęcia magii Mroku. Dotyk żelaza sprawia jednak ból czarownicom i może je osłabić. Często zatem

każą one sługom pilnować kotłów i przynosić je. Gładząc żelazną krawędź, Hekate popisywała się siłą. Mnie jednak nie zaimponowała. Potrafiłam robić to samo. Przez całe życie wiedźmy zabójczynie pracowałam nad tym, żeby podnieść swoją zdolność znoszenia bólu.

Uniosłam wzrok i na gałęziach nad jej głową ujrzałam trzy kruki, obserwujące nas z milczącą wrogością.

– Czy te ptaki służą wiedźmie? – spytałam Thorne.

– Tak – odparła. – To Obserwatorzy, donoszący jej o wydarzeniach w świecie żywych. Sama także posługiwałam się podobnymi stworami.

– Zostań nieco po mojej lewej i z tyłu – uprzedziłam. – Na mój sygnał dobądź broń.

– Jak mamy walczyć z boginią? – wyszeptała, gdy zbliżyliśmy się do wyniosłej, onieśmielającej postaci.

– Możemy nie mieć wyboru, dziecko – odparłam. – Jeśli czeka nas ponowna śmierć, niechaj i tak będzie, ale nie odejdę bez walki.

Fakt, iż Hekate zdecydowała się spotkać z nami w tym miejscu, wiele znaczył. Jej postać kojarzono z rozstajami, z których porywała dusze i na których stawiała przeciw wrogom. Z jej kotła wychodziły cztery drogi, ona zaś decydowała, dokąd i jak odejdą ci, którymi władała. Nazywano ją także Boginią Rozstajów.

Zatrzymałam się pięć kroków od kotła i uśmiechnęłam uprzejmie, choć nie skłoniłam głowy, mimo że zapewne tego oczekiwała. Z pewnością natychmiast pojęła, że rzucam jej wyzwanie.

– Wiesz, czego chcemy – zaczęłam. – Przybyliśmy poznać cenę, jaką musimy zapłacić.

– Istotnie, Grimalkin, usługi bóstwa zawsze mają swoją cenę – odparła Hekate z ponurym uśmiechem. – To, czego pragniesz, można osiągnąć: złączę swą moc z mocą Pana i powrócisz na ziemię. Nie będzie to jednak wyglądało tak, jak sobie wyobrażasz. Jak myślisz, jak to będzie?

– Dopóki mogę posłużyć się bronią, by niszczyć Kobalosów i uwolnić ich niewolnice, nic innego nie ma znaczenia – odparłam.

– Odważne to słowa, ale teraz opowiem ci, co naprawdę przeżyjesz. Nie sądź, że powrócisz na ziemię z bijącym sercem i ciepłą krwią krążącą w żyłach. Nigdy już nie posilisz się rybą, mięsem ni owocem. Nie pociągniesz też łyku lodowatej wody z górskich strumieni, nie poczujesz na skórze ciepła słońca. Po pierwsze, każdy powrót do świata żywych sprawi ci niewiarygodny ból. Możesz tam też pozostać jedynie w godzinach ciemności. Nim zapieje kur, musisz powrócić w Mrok, inaczej pierwsze promienie wschodzącego słońca spalą cię na popiół. Jesteś gotowa przyjąć te warunki? – spytała.

– Jestem – odparłam. – W jaki sposób będę podróżować pomiędzy ziemią a Mrokiem?

– Wysiłkiem woli i przyjmując ból towarzyszący przejściu. Zapragnij, a stanie się.

– Jaką będę mieć broń i moce, żeby móc walczyć i pokonać naszych wrogów? – chciałam wiedzieć.

– Pozostanie ci to, co miałaś wcześniej: twoje klingi, nożyczki i umiejętności walki. W dodatku zyskasz większą szybkość i siłę. W godzinach ciemności, jeśli zechcesz, będziesz niewidzialna, będziesz poruszać się szybko i bezszelestnie i bezkarnie zabijać. Staniesz się moją mroczną mścicielką, a kobalosc magowie i ich armia będą twoim najważniejszym celem.

– Za to, co oferujesz, to cena do przyjęcia – oznajmiłam.

Hekate się uśmiechnęła.

– Lękam się, że źle mnie zrozumiałaś, Grimalkin. Przedstawiłam ci warunki powrotu na ziemię. Nie podałam jeszcze ceny.

Nie spodobał mi się szyderczy uśmiech rozjaśniający oblicze bogini. Lękałam się, że zażąda straszliwej zapłaty.

I nie pomyliłam się.

– Ceną jest krew dziewczyny, która tchórzliwie kuli się za tobą.

Thorne wystąpiła naprzód, ja jednak przyłożyłam palec do ust, nakazując jej milczenie.

– Po co ci krew Thorne? – spytałam gniewnie. – Dlaczego akurat jej żadasz?

– Dziewczyna jest odważna i ma wielki potencjał, w jej krwi

kryje się moc. Odebrała kciuki demonowi Belzebubowi, teraz nosi je na szyi. Wysączę z niej krew i zabiorę kciuki. Będę je nosić obok kości demona. W ten sposób wzmocnię własną siłę. – Twarz Hekate przybrała tryumfalny wyraz. – Za to, co ofiaruję, cena musi być wysoka. Wysączając krew z Thorne i posyłając ją w nicość, zranię cię, Grimalkin. Nie ochroniłaś jej na ziemi, a teraz znów ją zawiedziesz. To ci sprawi okrutny ból, a mnie wielką satysfakcję da fakt, iż pokonałam jedną z czarownic z Pendle, niemądrego klanu, który zbuntował się przeciw mojej władzy.

Pogładziłam palcami rękojeść noża do rzucania, napinając mięśnie, gotowa do walki. Potem odetchnęłam głęboko i odprężyłam się.

– Musimy naradzić się z Thorne – oświadczyłam mrocznej królowej. – Jeśli zgodzimy się na twe żądania, będziemy potrzebowały nieco czasu, by się pożegnać.

– Możecie zwlekać, ale niezbyt długo. Zagrożenie ze strony naszych wrogów stale rośnie. Będę czekać na tych rozstajach na waszą decyzję.

Zerknęłam na trzy kruki, po czym odwróciłam się i poprowadziłam Thorne czarną, kamienistą ścieżką aż do drzewa. Wdrapałyśmy się na schody i w milczeniu wróciłyśmy do pokoju. Wyjęłam klingi i nożyczki z pochew i starannie ułożyłam w rzędki.

Potem splunęłam na osełkę i zaczęłam ostrożnie ostrzyć każdą broń z osobna.

– Dlaczego ostrzysz swe klingi, Grimalkin? – zainteresowała się Thorne.

– By lepiej móc nimi ciąć.

ROZDZIAŁ

12



KIPIĄCY KOCIOŁ

GRIMALKIN

Kolejno naostrzyłam noże, wsuwając je w skórza ne pochwy – oprócz ulubionego, który oddałam Thorne. – Tego nie chowaj – poleciłam. – Wsuń go za pasek spódnicy i zakryj rękojeść kaftanem.

Podniosłam nożyczki, znów splunęłam na osełkę i naostrzyłam je bardzo uważnie. W końcu ukryłam je pod lewą pachą i uśmiechnęłam się do Thorne.

– Kości demona Belzebuba, które nosisz na szyi – dasz mi je? Poprosiłabym o pożyczkę, ale muszę wydobyć z nich całą moc i potem na nic ci się już nie zdadzą. Muszę zatem dostać je w prezencie.

– Oczywiście, że możesz je wziąć, Grimalkin.

Thorne zdjęła szybko naszyjnik z kciuków i zsunęła z niego dwa największe. Podała mi je. W każdym wywierciła małą dziurkę. Potrzebowałam ledwie minuty, by dołączyć je do własnego naszyjnika.

– Zamierzasz z nią walczyć, prawda? – spytała Thorne. – Nie musisz tego robić, Grimalkin. Nie jestem szczęśliwa tu, w Mroku. Czasami perspektywa nicości nawet mnie pociąga. Odnajdę spokój, uwolnię się od koszmarów tego miejsca, od straszliwej walki o przetrwanie. Chętnie się poświęcę, byś mogła powrócić na ziemię i zabić naszych wrogów.

– Nie potrzeba poświęcenia, dziecko. Nabierz więc ducha i rozpal płomień odwagi, który niegdyś lśnił tak jasno. Pamiętasz, kiedy kazałam ci zaatakować niedźwiedzia?

Thorne przytaknęła z uśmiechem. Obie doskonale pamiętałyśmy, co się stało. Gdy miała zaledwie dziesięć lat, nie dawała mi spokoju, prosząc, żebym wyszkoliła ją na wiedźmę zabójczynię. Aby zniechęcić małą, rzuciłam jej wyzwanie: miała walczyć z groźnym niedźwiedziem, uzbrojona jedynie w nóż. Przyrzekłam, że jeśli jej się uda, to ją wyszkolę. Cała trzęsła się ze strachu i czekałam, aż ucieknie, w nadziei, że nigdy więcej nie będzie zawracać mi głowy.

Ona jednak pobiegła w przeciwnym kierunku – prosto na niedźwiedzia. Od śmierci dzieliły ją zaledwie sekundy, gdy trafiłam go sztyletem w oko i zabiłam na miejscu.

– Pamiętam, jak jadłam niedźwiedzie serce – odparła Thorne. – To była najpyszniejsza strawa, jakiej skosztowałam. Dzień, kiedy zabiłyśmy niedźwiedzia, a ty mnie przyjąłeś i zaczęłaś szkolić, to najszcześniejszy dzień mego życia. Nadal nim jest.

– To ja zabiłam niedźwiedzia! – zaśmiałam się. – Ty tylko dźgnęłaś go w stopę i rozjuszyłaś. Mimo wszystko postąpiłaś dzielnie, a decyzja o twoim szkoleniu to jedna z najlepszych, jakie podjęłam w życiu. Pielęgnuj w myślach to wspomnienie i zbierz odwagę do tego, co musimy zrobić.

– To znaczy czego, Grimalkin? – spytała Thorne.

– Tego, co należało uczynić dawno temu. Zabijemy Hekate.

Bardzo dokładnie wyjaśniłam, co planuję, a także opisałam rolę wyznaczoną Thorne. Jej oczy otwarły się szeroko, gdy przedstawiłam jej swe zamiary; rozbłysło w nich podniecenie. Oto Thorne, jaką pamiętałam!

Zeszłyśmy po stopniach i znów ruszyłyśmy czarną ścieżką w stronę rozstajów. Wkrótce ujrzałyśmy wysoką, surową sylwetkę Hekate, nadal stała obok bulgoczącego kotła. Trzy kruki wciąż siedziały na gałęziach nad jej głową.

Zatrzymałyśmy się niecałe pięć kroków od miejsca, w którym czekała.

– I? Jak brzmi wasza decyzja? – spytała ostro.

Zgodnie z umową Thorne wystąpiła naprzód, a ja położyłam jej dłoń na ramionach.

– Thorne zgodziła się poświęcić, bym mogła znów stanąć do walki z naszymi wrogami na ziemi. Proszę tylko, żebyś wysączyła z niej krew szybko, zadając jak najmniejszy ból.

Hekate uśmiechnęła się.

– Nie poczuje żadnego bólu, Grimalkin. Będę delikatna. Niechaj podejdzie do mnie.

Thorne ruszyła naprzód. Już wcześniej posłużyłam się własną magią, by stworzyć złudzenie. Hekate miała nadal widzieć kości demona na naszyjniku Thorne. Nim się zorientuje, że teraz ja je noszę, będzie za późno.

Kiedy Thorne do niej dotarła, królowa czarownic delikatnie położyła jej dłoń na głowie i odgięła szyję, odsłaniając gardło. Otworzyła szeroko usta i uśmiechnęła się, gotowa by posmakować krwi dziewczyny. Gdy jednak jej zęby zbliżyły się do gardła Thorne, wyraz twarzy zmienił się nagle i wykrzywiła ją furia.

Stworzone przeze mnie złudzenie nie wystarczyło, by z tak bliska oszukać kogoś tak potężnego.

Hekate warknęła z wściekłości.

Ale było już za późno.

Thorne wbiła mój ulubiony sztylet prosto w serce bogini. Przekreśliła go trzy razy, zgodnie z moim poleceniem. Ja tymczasem podbiegłam już do niej; chwyciłam Hekate za długie włosy, uderzając jej głową najmocniej, jak mogłam, o krawędź żelaznego kotła. Liczyłam na to, że pęknie niczym skorupka jajka, lecz ku memu zawodowi pozostała cała. Przelekkłam się, iż czeka nas trudna i długa walka.

I tak też się stało w istocie. Niełatwo zabić Królową Czarownic.

Hekate walczyła z potworną siłą. Objęła dłońmi moją szyję i zaczęła dusić. Ale jestem Grimalkin i nie tak łatwo mnie pokonać.

Thorne nadal raz po raz przebijała jej ciało – to rozproszyło

Hekate na tyle, bym mogła przenieść uchwyt z włosów na jej ramię. Pchnęłam z całych sił, wypychając jej głowę do kotła i zanurzając pod powierzchnią wrzącego płynu. Przez kilka chwil zdołałam ją tak utrzymać – walczyła jednak i w końcu mnie odrzuciła, a potem powaliła Thorne na kolana.

Teraz wyglądała doprawdy upiornie. Nie znałam składników bulgoczącej mikstury, ale okazała się mordercza w skutkach. Oprócz oczu całe ciało i włosy z jej głowy zniknęły, pozostała tylko biała czaszka na szyi z resztkami ścięgien i mięśni. Ale groźne źrenice wciąż płonęły w oczodołach. Czułam, jak bogini zbiera swą moc, szykując się, żeby porazić nas i posłać w nicość. Próbowałam dobyć kling i zaatakować, miałam jednak wrażenie, jakby oddzielał nas niewidzialny mur. Hekate przywołała barierę magiczną. Nie mogłam zbliżyć się nawet o krok.

Pozostała mi tylko jedna szansa zamiany przegranej w zwycięstwo. Sięgnęłam po naszyjnik i lewą ręką pogładziłam kości Belzebuba.

Siła demona przelała się we mnie, nagle znów poczułam w sobie moc. Skoczyłam naprzód, przełamując barierę Hekate, a potem wepchnęłam jej czaszkę z powrotem głęboko do kotła i ugryzłam boginię w ramię tuż pod szyją, wbijając zęby głęboko, z twarzą zaledwie parę cali od wrzącego płynu.

Wessałam jej krew w usta. Okazała się zaskakująco słodka, w smaku przypominała bardziej miód niż posokę. Hekate wciąż walczyła, lecz im bardziej się szarpała, tym szybciej piłam, przełykając jej krew: aż w końcu poczułam, iż zaczyna słabnąć.

Gdy tak piłam, miałam wrażenie, że ulegam przemianie. Nadal byłam dawną Grimalkin, ale też stawałam się istotą znacznie większą.

Piłam tak i piłam, aż w końcu nie zostało ani kropli więcej. Gdy wysysałam ostatnie, ciałem Hekate wstrząsnął nagły spazm. Nad głową usłyszałam łopot skrzydeł – to trzy kruki zerwały się z gałęzi. Dźwignęłam Królową Czarownic i wepchnęłam do wrzącego kotła.

Z odległości kilku kroków patrzyłyśmy z Thorne, jak ciec

w wielkim żelaznym naczyniu syczy i burzy się, bryzgając wysoko w powietrze. W końcu jednak gwałtowne bulgotanie zamieniło się w lekkie falowanie, a powierzchnia mikstury wygładziła się, odbijając Księżyc niczym lustro.

W chwilę później wypłynął na nią szkielec Hekate, pozbawiony wszelkich śladów skóry, ciała, ścięgien i ubrań. Zwyciężyliśmy z Thorne, ale teraz będziemy potrzebowały innego boga, który zawrze sojusz z Panem i pomoże nam w powrocie na ziemię. Szybko, nie tracąc czasu, nożyczkami odciąłam kciuki bogini.

Podaliśmy jej Thorne.

– Weź je w zamian za te, które oddałaś – poprosiłam.

– Nie, Grimalkin. Są twoje. Ty zabiłaś Hekate, nie ja – odparła, kręcąc głową.

– Ja zabiłam niedźwiedzia! – zaśmiałam się. – Ale Hekate pokonałyśmy razem. Bez twojej pomocy nie udałoby się. Weź je, nalegam. Ja mam w sobie krew Hekate, jej moc należy do mnie.

Thorne przyjęła kości. Usiadłyśmy razem na trawie na skraju rozstajów. Patrzyłam, jak ostrożnie przewierca kciuki bogini i nawleka je na swój naszyjnik.

Po powrocie ścieżką czekało nas drugie starcie. Pan siedział na jednym z wielkich poskręcanych korzeni, promieniujących z wielkiego drzewa. Był sam. U jego stóp nie przycupnęło żadne zwierzę, żaden ptak nie przysiadł mu na przygarbionych ramionach. Gdyby nie ubranie z brązowej kory i zielonej trawy, szpiczaste uszy i zakrzywione paznokcie u stóp, wyglądałby jak każdy nadąsany chłopczyk.

Gdy się zbliżyłyśmy, uniósł wzrok i pokręcił głową.

– Dlaczego to zrobiłaś, Grimalkin? – spytał ze znużeniem.

– Po pierwsze, bo jestem zabójczynią klanu Malkinów, a choć nie żyję, wciąż uważam za swój obowiązek wyszukiwanie i zabijanie naszych wrogów. Po drugie, w zamian za swą pomoc zażądała krwi Thorne, co uznałam za mściwe, oburzające i nierozsądne. Zamiast tego zabrałam jej krew. I tak zabiłyśmy Hekate.

– Ty z całą pewnością nie żyjesz, Grimalkin, a Malkinowie znajdują inną zabójczynię, która cię zastąpi. Nie powinnaś była

zabijać naszej sojuszniczki. Chcesz walczyć na ziemi z naszymi wrogami, ale kto teraz złączy ze mną moce i cię tam odeśle? Pytałem innych bogów, na nic się nie zdadzą.

– Wciąż jestem Grimalkin, ale też czymś znacznie większym. Hekate siłą woli sama odwiedzała ziemię, kiedy tylko zechciała. Może i ja to potrafię?

W tym momencie jednak Pan zniknął bez śladu.

– Stałyśmy się zabójczyniami bogów! – wykrzyknęła z entuzjazmem Thorne, uśmiechając się do mnie promiennie.

– Może zawsze miałyśmy nimi zostać, Thorne – odparłam.

– Kogo zabijemy teraz? – spytała.

Oczywistym wyborem był Talkus, najpierw jednak musiałyśmy do niego dotrzeć.

ROZDZIAŁ

13



SAMICE TO ZWIERZĘTA

GRIMALKIN

Obróciłyśmy się na pięcie i ruszyłyśmy ścieżką w stronę rozstajów. Zajrzałam do kotła. Powierzchnia płynu wciąż się nie poruszała, po kościach Hekate nie pozostał nawet ślad. Może się rozpuściły.

Czułam się silna, pewna siebie, przepelniona energią znacznie większą niż kiedykolwiek za ziemskiego życia. Położyłam dłonie na krawędzi kotła i poczułam piekący ból, jaki żelazo zadaje wiedźmom. Nie zważając na niego, skupiłam się, tak że wyczułam ukrytą wewnątrz ogromną moc. Zaczęłam z niej czerpać, dodając do sił wysączonych z Hekate.

Zerknęłam na ścieżkę, naprzeciwko której stałam. Śmierć Hekate oznaczała, że nie mogła już złączyć swych mocy z Panem, by odesłać mnie na ziemię... Ale bogini władała losami innych, posyłając ich różnymi ścieżkami. Czy mogłabym z nich skorzystać, tak by bez pomocy bogów trafić na ziemię? Ostatecznie Hekate odwiedzała nasz świat, by odbierać hołdy poddanych podczas czterech głównych sabatów czarownic.

A jeśli ona mogła to zrobić, dlaczego ja miałabym nie móc? Wchłonęłam w swe martwe ciało jej krew i przejęłam magiczny kocioł. Czy w ogóle potrzebuję pomocy Pana?

Odwróciłam się do Thorne.

– Zamierzam spróbować wrócić na ziemię – oznajmiłam.

– Zabierz mnie ze sobą, Grimalkin! – zażądała.

– Później, Thorne. – Położyłam jej dłoń na ramieniu. – Najpierw pozwól mi sprawdzić, czy to w ogóle możliwe.

Skupiłam się, czerpiąc więcej mocy z kotła. Ścieżka przede mną zaczęła migotać, a potem ruszyła w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Cztery ścieżki wirowały teraz niczym koło, którego oś stanowił kocioł. Trudno było powstrzymać zawroty głowy. Usłyszałam, jak Thorne zachłystuje się na ten widok. Jednak obszar wokół kotła trwał w bezruchu: póki go nie opuściliśmy, byliśmy bezpieczni.

Nagle przekonałam się, że ścieżek jest więcej niż cztery. Na moich oczach mnożyły się, dzieliły się jak szalone. Wirowały coraz szybciej i szybciej, na końcu każdej z nich widziałam inne sceny: wioski, iglice katedr, morskie tonie i farmy. Wszystkie ścieżki dokądś prowadziły: liczba celów zdawała się nieograniczona.

Dokąd chciałabym się udać podczas pierwszej wyprawy do świata żywych?

Valkarky? Czemu nie? Przeprowadzę zwiad w stolicy moich wrogów.

Gdy tylko podjęłam decyzję, liczba ścieżek zaczęła się zmniejszać. Kiedy wir się zatrzymał, widziałam już tylko pierwotne cztery. Powiodłam wzrokiem wzdłuż wąskiej dróżki naprzeciwko: w dali, poza linią drzew ujrzałam miasto Valkarky jaśniejące śnieżną bielą pod ciemnym niebem. To ważne: wiedziałam, że nie mogę odwiedzić ziemi za dnia. W Valkarky minęła już północ. Do świtu pozostało jeszcze siedem godzin.

– Oto, dokąd się wybieram. – Wskazałam ręką w stronę miasta. – To właśnie będzie moja pierwsza podróż na ziemię.

– Proszę, weź mnie ze sobą, Grimalkin – błagała Thorne. – Jestem gotowa podjąć ryzyko.

– Uczynię tak, kiedy powrócę z tego rekonesansu – oznajmiłam. – Cierpliwości, dziecko. Poza tym masz do spełnienia ważne zadanie. Stój tu i strzeż kotła, żebym mogła powrócić bezpiecznie. Odpędź każdego, kto śmie się zbliżyć. Jeśli jednak zagrożenie okaże się zbyt wielkie, zawołaj na głos moje imię. Usłyszę

ostrzeżenie i pospieszę do twego boku.

Thorne przytaknęła, po czym zawiedziona spuściła wzrok. Uśmiechnęłam się do niej, wiedząc, że muszę sprawdzić, do czego jestem zdolna, i określić granice swoich umiejętności.

Rozważyłam wszystkie możliwości. Mogłabym zaatakować Triumwirat: trzech najwyższych kobaloskich magów rządzących pozostałymi. Może jednak mądrzej byłoby zacząć od czegoś łatwiejszego. Może po prostu odwiedzę Valkarky i przekonam się, czy mogę krażyć po nim niepostrzeżenie.

Niemądrze byłoby dać się ponieść hybris, grzechowi nadmiernej dumy i pychy. Lukrasta był najpotężniejszym z ludzkich magów, a Alice władała mocą dalece przewyższającą moc każdej innej wiedźmy. Jednak oboje nie docenili wysokich kobaloskich magów i mieli szczęście, że udało im się ująć z życiem. Nie popełnię tego samego błędu.

Ruszyłam ścieżką, całkowicie skoncentrowana, próbując wybrać miejsce, w którym wyląduję – w cieniu miejskiego muru.

Gdy dotarłam do końca, poczułam nagle, że spadam. Tak jak ostrzegła Hekate, ból towarzyszący przejściu z Mroku na ziemię okazał się potworny. Gdy leciałam jak kamień, miałam wrażenie, że krew gotuje mi się w żyłach, paląc od środka, podczas gdy skórę przypiekał mróz. Moje kości zwijały się i skręcały, ścięгна rozciągały, jakby całe ciało poddawano nieznośnym, niekończącym się torturom.

Za życia najgorszy ból poczułam wtedy, gdy srebrnymi śrubami naprawiłam strzaskaną nogę. Ten okazał się znacznie gorszy.

W rozpędzie uderzyłam o ziemię, po czym kucnęłam i zwymiotowałam na śnieg. Ból powoli ustępował, lecz dopiero po wielu minutach zdołałam się podnieść, a nogi wciąż mi się trzęsły. Zrozumiałam, że to chwila, w której zawsze będę najbardziej narażona na atak: mądrze postąpiłam, decydując się na zacienione miejsce pod murami miasta.

Rozejrzałam się dokoła. Gdzie była ścieżka wiodąca z powrotem w Mrok? Bez niej nie wrócę przed wschodem słońca. Uniosłam głowę i ujrzałam, jak migocze w powietrzu, słaba wstęga

purpurowego światła jakieś pięćdziesiąt stóp nad moją głową. Uświadomiłam sobie, że dotarcie do niej może stanowić problem.

I wtedy zauważyłam coś dziwnego. Nie oddychałam, nie czułam też potrzeby, by zaczerpnąć powietrza. Moje ciało było dziwnie nieruchome. Przyłożyłam dłoń do piersi. Serce nie biło.

Stało się dokładnie tak, jak mówiła Hekate. Ale jakie to ma teraz znaczenie? Wciąż mogłam się poruszać.

Mogłam myśleć. Mogłam zabijać wrogów.

Nadal byłam Grimalkin.

Wróciłam na ziemię na daleką północ, głęboko za krąg polarny, pod same mury kobaloskiej stolicy Valkarky. Jednak nie dostrzegłam straży, żadnych patroli, niczego, co mogłoby mi zagrozić.

Z rozmysłem wybrałam część murów wciąż będącą w budowie. Wysoko nade mną na tle rozgwieżdżonego nieba stworzenia o szesnastu odnóżach, zwane whoskorami, zwijały się i skręcały, pracując nad powiększeniem miasta. Do budowy używały skoi, którą wydzielały z pysków i kształtowały zręcznymi nogami.

Kobalosi wierzyli, że ich miasto nigdy nie przestanie się rozrastać, że w końcu przekroczy granicę królestwa lodu i śniegów i pokryje całą ziemię. Nie pozostanie nawet jedno źdźbło trawy.

Nic dziwnego, że Pan był wrogiem Kobalosów i ich boga. Jako bóstwo natury i życia nie mógł pozwolić, by świat stał się czymś takim.

Zadarłam głowę i zobaczyłam whoskory, pracujące pilnie w górze, tak zaabsorbowane niekończącym się zadaniem, iż wydawało się mało prawdopodobne, aby mnie dostrzegły.

Czas wypróbować moje nowe zdolności.

Za życia wiele podróżowałam i studiowałam różne odmiany magii. Rumuńska wiedźma nauczyła mnie elementów szamanizmu, jednak w pełni opanowałam tylko jeden jego aspekt: nauczyłam się oddzielać duszę od ciała. Czy jednak teraz mi się uda, skoro już nie żyję?

Przywołując całą siłę woli i wypowiadając słowa zaklęcia z właściwą intonacją, spróbowałam posłać duszę poza ciało.

Wkrótce stałam się niewielką, lśniąca kulą srebrnego światła. Kiedy jednak spojrzałam w dół, ku swemu zdumieniu nie ujrzałam ciała, które tymczasowo porzuciłam.

Gdzie się podziało? Jeśli zniknęło, jak zdołam do niego wrócić? Ponownie przywołałam na pomoc wolę i odkryłam, że stoję pod murami miasta. Teraz rozumiałam. Umarłam i stałam się częścią Mroku. Władałam teraz innymi mocami, mogłam nie tylko oddzielić duszę, pozostawiając ciało wystawione na ciosy wrogów, którzy mogliby się na nie natknąć. Zamiast tego w mgnieniu oka odmieniałam kształt, stając się świetlistą kulą.

Tym samym rozwiązałam jeden problem. Kiedy nadejdzie czas powrotu, mogę po prostu poszybować w górę aż do ścieżki.

Chciałam też wypróbować kolejną umiejętność. Za życia ziemia, po której stapałam, i okalające mnie mury były twarde, nieprzeniknione. Co stanie się teraz? Czy nadal będzie tak samo?

Nakazałam sobie odmienić postać i jako kula pomknęłam ku umocnieniom, a potem przeniknęłam przez nie. Kamień był bardzo gruby, przez kilka chwil niczego nie widziałam, potem jednak znalazłam się w długim, prostym korytarzu. Podpłynęłam ku jego końcowi i ujrzałam obszerne pomieszczenie.

Natychmiast zrozumiałam, że to jedna z zagród skleech, w których Kobalosi trzymają purrai. Pełno w niej było zniewolonych ludzkich kobiet odzianych w łańchmany. Miały brudne twarze i ręce, część z nich przykuto do ścian, niektóre w bardzo niewygodnych pozach. Większość spała z zamkniętymi oczami, ale kilka spoglądało ku środkowi pomieszczenia, gdzie klęczały trzy niewiasty.

Przesłuchiwało je dwóch rosnących kobaloskich wojowników, dwaj kolejni obserwowali to z boku, złośliwie uśmiechnięci, wyraźnie napawając się widowiskiem.

Nigdy nie dowiedziałam się, czym owe kobiety zawiniły. Możliwe, że stanowiło to po prostu część ich treningu: Kobalosi zadawali im ból, by dać przykład innym niewolnicom.

Podpłynęłam do wysokiego sklepienia, żeby popatrzeć. Nagle jeden z wojowników z wielką siłą uderzył kobietę w twarz. Jej

głowa odskoczyła, ona sama jęknęła i zaczęła szlochać.

– Zamilcz! – ryknął napastnik w loście, języku Kobalosów. – My zadajemy ból, a ty cierpisz, ale nie wolno ci krzyczeć ani niczego po sobie okazać. Zrozumiano?

Kobieta wciąż szlochała. Nagle Kobalos dobył noża i dźgnął ją głęboko w przedramię. Krzyknęła. Z rany zaczęła sączyć się krew.

Wojownik w odpowiedzi przyłożył klingę do drugiej ręki biedaczki.

– Dam ci jeszcze jedną szansę, byś zamilkła. Chcesz zarobić drugie cięcie?

Kobieta stłumiła krzyki, jej krew kapiała na podłogę. Na widok tak nieludzkiego traktowania zawrzał we mnie gniew. Niczego nie pragnęłam bardziej niż z miejsca zabić prześladowcę.

Ale gdybym to zrobiła, co wtedy? Gdybym zabiła strażników, wszystkie kobiety w tej zagrodzie z pewnością spotkałaby kara – zostałyby zamęczone bądź zabite.

Patrzyłam zatem i czekałam, znosząc męki bezradności w obliczu podobnego barbarzyństwa. Po trzech godzinach nadeszła zmiana wart. Podążyłam za czterema Kobalosami poza zagrodę, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy im odpłacę za ich okrucieństwo. Trzymałam się w pewnej odległości od nich, wędrując ich śladem serią ciemnych przejść i słuchając, jak żartują z tego, co właśnie zrobili.

– Samice to zwierzęta. Tylko przez ból mogą nauczyć się prawdziwego posłuszeństwa – oznajmił jeden z nich.

Jego towarzysze ze śmiechem poklepali go po plecach.

Szybując tuż pod sklepieniem, wyprzedziłam ich w tunelu i zajęłam pozycję przy następnych drzwiach, po czym szybko powróciłam do ludzkiej postaci.

Potem dobyłam noży.

Najbliższa pochodnia wisiała nieco dalej, więc przejście spowijał cień, możliwe jednak, że ujrzeli światło odbijające się od mych kling, bo cała czwórka zatrzymała się nagle.

– To zwierzę będzie waszą śmiercią – oznajmiłam cicho. – Teraz wasza kolej nauczyć się posłuszeństwa. Chodźcie do mnie i gińcie!

Pierwszy rzucił się na mnie. Był szybszy, niż oczekiwałam, i bardzo zręczny jak na kogoś tak rośłego. Ale nic mu to nie dało – odparowałam jego cios i wbiłam sztylet w gardło Kobalosa, tak że jego życiodajna krew bryznęła na ścianę i posadzkę.

Pozostała trójka zaatakowała razem. Mogłam zabić ich powoli, zadając jak najwięcej bólu, by zapłacili za to, co uczynili tamtej kobiecie. Ale nie byli dla mnie żadnym wyzwaniem, uporałam się więc z nimi bez zwłoki, litościwie zadając szybką śmierć.

Dotąd wszystko szło bardzo łatwo, nie dałam się jednak zwieść złudzeniom. Wiedziałam, że nie zawsze tak będzie. Zwykli strażnicy to jedno, ale pokonanie wysokiego maga czy kobaloskiego boga Talkusa – o, to coś zupełnie innego. Poddałam jednak próbie moją siłę i zdolności i wszystko wyglądało, jak należy. Pierwsza wycieczka okazała się sukcesem, wiele się dowiedziałam.

Schowawszy klingi do pochew, ponownie przyjął postać kuli, pomknęłam przez kamienne ściany i poszybowałam w mroczne niebo, by wniknąć w tunel purpurowego światła. Po paru chwilach wędrowałam już ścieżką, z obu stron otoczona drzewami. W dali widziałam kocioł, przy którym cierpliwie czekała Thorne.

– Dobrze ci poszło? – spytała pogodnie, gdy się zbliżyłam.

– Bardzo dobrze. Z całą pewnością podczas odwiedzin na ziemi zdołam zaszkodzić Kobalosom.

– A czy następnym razem weźmiesz mnie ze sobą?

Pokręciłam głową.

– Jeszcze nie. Najpierw musisz opanować pewne umiejętności, które ułatwią ci poruszanie się na ziemi. Muszę cię nauczyć sztuki szamańskiej, tak byś mogła posyłać duszę poza ciało. Teraz, po śmierci, mogę w mgnieniu oka odmieniać swój kształt. Jeśli masz mi towarzyszyć, dziecko, musisz opanować tę umiejętność. Umożliwia ona przenikanie przez przedmioty i poruszanie się z wielką szybkością. W pewnych okolicznościach może się to okazać naszą jedyną drogą z powrotem do kotła.

– W takim razie naucz mnie, Grimalkin! Bardzo tego pragnę! – wykrzyknęła Thorne.

Zacząłam ją zatem uczyć. Jeśli opanuje tę umiejętność, będzie

mogła mi towarzyszyć podczas nocnych odwiedzin. We dwie osiągniemy znacznie więcej niż w pojedynkę. Jednakże pod jednym względem udane przeniknięcie do Valkarky uświadomiło mi ograniczenia moich możliwości. Chciałam zaszkodzić Kobalosom i ich wojskom, przede wszystkim jednak pragnęłam uwolnić tysiące niewolnic zamkniętych w zagrodach skleech i zaprowadzić je w bezpieczne miejsce.

Fakt, że mogłam odwiedzać ziemię tylko nocą, uniemożliwiał to. Kto je poprowadzi i będzie chronił w blasku słońca? Potrzebowałam do pomocy całej armii żywych ludzi.

Jeśli wkrótce czegoś nie zrobimy, Kobalosi osiągną swój straszliwy cel. Wszyscy mężczyźni zginą, wszystkie kobiety trafią w niewolę.

ROZDZIAŁ

14



ROSNĄCE ZAGROŻENIE

THOMAS WARD

Gdy tylko wymówiłem słowo „tulpa”, istota uważająca się za Billa Arkwrighta upuściła laskę i osunęła się na kolana na skraju strumienia, naprzeciw koła młyńskiego. Całym jej ciałem wstrząsały drgawki. Po chwili stwór obrócił głowę i spojrzał na mnie w górę z twarzą wykrzywioną rozpaczą i bólem.

– Masz rację! – krzyknął; z jego oczu płynęły strumienie łez. – Teraz wiem już, kim jestem. Jestem tulpą, dziełem maga. Nawet pies ma więcej duszy ode mnie, jestem bowiem stworem pozbawionym duszy. Z niczego powstałem i w nicość się obróczę!

Nagle jego twarz zaczęła tracić swe kształty. Lewe oko opadło na policzek, żuchwa wydłużyła się, zwisając nisko na pierś, z ust wyciekła strużka gęstej, szarej śliny, zbierającej się w kałużę w błocie. Cofnąłem się ze zgrozą. Usłyszałem stłumiony krzyk Jenny. Nagle pośród śliny dostrzegłem błyski bieli i pojąłem, że stworowi wypadają zęby.

Wkrótce drgawki zamieniły się w gwałtowne konwulsje. Istota naśladująca Arkwrighta kulila się przy ziemi, kryjąc czoło w błocie. Jęczała żałośnie, wymachując bezładnie rękami i nogami. Głowa przypominała teraz rurę podobną do robaka, spod ubrania wypływał szary śluz, ściekając do wody, gdzie porywał go nurt strumienia.

Po niecałej minucie na brzegu leżało tylko puste ubranie. Po

tulpie pozostał jedynie smród zgnilizny.

Wraz z Jenny odeszliśmy od koła i usiedliśmy naprzeciw siebie w kuchni, oszołomieni tym, co zaszło. Krew spała niespokojnie; strzygła uszami, jakby dręczyły ją koszmarne sny. My tymczasem omówiliśmy wszystko, próbując nadać jakiś sens ostatnim wydarzeniom.

– Naprawdę sądzisz, że to była tulpa? – Jenny wciąż drżała, głowę podparła dłońmi.

Sięgnąłem do torby i wyciągnąłem kartki papieru z przepisaną wersją *Glosariusza* Nicholasa Browne'a, którą pożyczyłem od Grimalkin. Browne był stracharzem, studiował kiedyś Kobalosów i pozostawił po sobie przewodnik po ich obyczajach, bogach, magii i zachowaniu. Wraz z Grimalkin uzupełnialiśmy ów *Glosariusz*, w miarę jak dowiadywaliśmy się nowych rzeczy, rozbudowując zasób wiedzy.

Jenny uniosła wzrok, gdy zacząłem szybko przeglądać zapiski.

Znalazłem hasło „tulpa” i wręczyłem jej stronicę, a potem wstałem, by móc czytać uczennicy przez ramię. Na hasło składał się pierwotny tekst Browne'a, potem uwaga Grimalkin i moja własna.

Tulpa: istota stworzona w umyśle maga, czasami przybierająca postać w świecie rzeczywistym.

Wiele podróżowałam i zgłębiałam ezoteryczne sztuki niezliczonych czarownic i magów, ale nigdy dotąd nie natknęłam się na nic podobnego. Czy kobalosczy magowie naprawdę to potrafią? Jeśli tak, tylko wyobraźnia może ograniczać tworzone przez nich istoty. – Grimalkin

Uzupełnienie: skrzydlata istota, która przemówiła do magovia i jak się zdawało, wskrzesiła mnie z martwych, była tulpą zrodzoną z wyobraźni Alice. Dotąd nie spotkaliśmy kobaloskiej tulpy, ale musimy zachować czujność. – Tom Ward

Kiedyś walczyłem z zabójcą Shaikszą, lecz w chwili zwycięstwa sam zginąłem, gdy przebił mi ciało szablą. Wciąż nosiłem bliznę po tym zdarzeniu... i łuski porastające miejsce dawnej rany, świadectwo krwi lamii oddziedziczonej po mamie.

Umarłem, ale magia Alice przywróciła mnie do życia. Gdy wypadłem z trumny, pojawił się anioł-tulpa.

– Według Alice skrzydlaty anioł był tulpą, ale nie mamy dowodu, iż to samo dotyczy tego stwora – zauważyła Jenny. – Za mało o nich wiemy. Może po prostu uchwycił się twoich słów, Tomie? Może przyjął to wyjaśnienie. Miał kłopoty z pamięcią, wiedział, że coś jest nie tak.

Przytaknąłem, odbierając jej kartkę i starannie umieszczając w torbie obok innych.

– Mimo wszystko wersja z tulpą brzmi prawdopodobnie. Co najciekawsze, z początku stwór szczerze wierzył w to, że jest Billem Arkwrightem.

Kiedy istota uległa rozpadowi, poczułem się, jakbym naprawdę stracił kogoś bliskiego. Dobrze było znów mieć u swego boku Billa Arkwrighta. Tęskniłem za nim; teraz znów ogarnęła mnie fala przejmującego smutku, jak wtedy, gdy zginął w Grecji.

– To właśnie najokropniejsze – powiedziała Jenny. – Był żywy, świadomy i zginął straszną śmiercią, wiedząc, że to już koniec, bo nie ma duszy. Kiedy nazwałeś go „tulpą”, zaczął się rozkładać.

– Może nazwanie go tulpą kończy działanie zaklęcia? – podsunąłem. – Mógł szczerze wierzyć, że jest Billem Arkwrightem, i dlatego z początku nas nie zaatakował. Ale musiał istnieć jakiś sygnał pozwalający mu pojąć swą prawdziwą naturę, ujrzeć w nas nieprzyjaciół i przejść do ofensywy.

– Może doszłoby do tego, gdyby wziął w dłoń Gwiazdną Klingę? – zastanawiała się na głos Jenny. – Pamiętasz, że poprosił cię o ten miecz? Sądzę, że jego misją było przejęcie Gwiazdnej Klingi, tak byś stracił ochronę przed kobalorską magią. Ten stwór był znacznie bardziej skomplikowany niż tulpa Alice. Tamta jedynie unosiła się w dali na niebie, była raczej złudzeniem niż prawdziwą, namacalną istotą. Jeśli Arkwright był tulpą, to niezmiernie złożoną. Spędził

z nami kilka dni. Zastanawiam się, który mag go stworzył. Może Balkai? Może to on go przysłał?

Dotąd nie zetknęliśmy się jeszcze z najpotężniejszym kobaloskim magiem, bardzo prawdopodobne jednak, że Jenny miała rację. Stworzenie podobnej istoty wymagałoby niewiarygodnych umiejętności magicznych.

– Sądzę, że najlepiej będzie natychmiast wrócić do Chipenden, póki wciąż zostało nam kilka godzin dnia – oznajmiłem.

– Jeśli o mnie chodzi, im wcześniej, tym lepiej. To upiorne miejsce. – Jenny podniosła się z krzesła i zabrała torbę i laskę.

Ruszyliśmy do drzwi frontowych, Krew dreptała tuż za nami. Kiedy jednak je otworzyłem, warknęła i przypadła do ziemi, nie chcąc iść dalej. Zaczekałem niecierpliwie i w końcu podniosła się, otrząsnęła i podreptała za nami w mgłę.

Poprowadziłem Jenny przez ogród w stronę szczeliny w ogrodzeniu. Widoczność wciąż się pogarszała, powietrze było zimne i wilgotne. Dobrze będzie dotrzeć do kanału i skierować się na południe. Kiedy jednak stanęliśmy nad fosą, zatrzymaliśmy się jak wryci, zaskoczeni tym, co ujrzeliśmy.

We mgle widniało coś, co wyglądało jak rząd palików wbitych w ziemię pod kątem czterdziestu pięciu stopni, żeby odeprzeć napastników – tyle że te paliki poruszały się jednocześnie. Gdy się zbliżyliśmy, pojęliśmy co to.

Skelty!

Dygocząc na wieloczłonowych nogach, poruszały się niczym gigantyczne owady – choć ich segmentowe, rurkowate ciała były twarde i żłobkowane niczym muszle homarów. Porastały je też pąkle, które rozpleniły się podczas długich okresów spędzanych przez skelty w wodzie.

Nagle jeden ze skeltów skoczył naprzód, by zaatakować. Jenny krzyknęła i odskoczyła o krok, stwór jednak zatrzymał się na skraju fosy i przycupnął tam, dygocząc. Odstraszyła go sól w wodzie.

Stwory były niezwykle groźne, potrafiły się poruszać niewiarygodnie szybko. Wiedziałem, że jest ich zbyt wiele,

żebyśmy zdołali się przebić. Miały ogromną przewagę liczebną. Powstrzymała je tylko zasolona fosa.

U mego boku Krew zaczęła skomleć i kulić się, przerażona. Cóż za żałosny widok: niedawne przeżycia wyraźnie złamały jej ducha.

Skinąłem kijem i poprowadziłem Jenny i sukę z powrotem do młyna. Musieliśmy rozważyć wszystkie możliwości. Niewiele nam ich zostało i żadna nie zapewniała łatwego wyjścia z ogrodu.

W kuchni usiedliśmy w milczeniu, zastanowiłem się szybko.

– Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić z plagą skeltów? – spytałem Jenny.

– Moglibyśmy posiedzieć tu jakiś czas. W kącie ogrodu za młynem widziałam królicze nory, z głodu nie umrzemy – odparła.

– Ale jeśli spadnie deszcz, jak to często bywa w Hrabstwie, rozcieńczy słońną wodę w fosie. Po jakimś czasie skelty będą mogły się przeprawić. Zostało nam najwyżej kilka dni, Jenny, potem będziemy musieli stawić im czoło. Tylko opóźnilibyśmy nieuniknione.

– Nie mógłbyś użyć lustra i wezwać Alice na pomoc? Szybko by się z nimi rozprawiła! Pamiętaj, co zrobiła z armią Kobalosów!

Z pomocą Starego Boga Pana Alice posłużyła się swą magią, by wywołać ogromną eksplozję ziemi, która zniszczyła część kobaloskich wojsk i pozwoliła naszej tylnej straży uciec przez rzekę do ludzkiego królestwa Polyzni.

– Nie mogę prosić, żeby tu przybyła – oznajmiłem. – Próbuje zawrzeć sojusz z czarownicami z Pendle. To bardzo ważne. Być może tylko one stoją pomiędzy Hrabstwem a mocą kobaloskich magów. Nie, będziemy musieli poczekać do zmierzchu, a potem spróbować ucieczki.

– Nigdy nie przebijemy się przez te skelty! – zawołała.

– Istnieje pewien sposób. Zastanów się. Wyobraź sobie, że jesteś sama i musisz uciec. Co byś zrobiła?

Jenny zmarszczyła brwi, nagle jednak jej twarz pojaśniała.

– Faktycznie istnieje inne wyjście! Moglibyśmy podążyć z biegiem strumienia, który przepływa pod ogrodzeniem i fosą!

– Brawo! – pogratulowałem. – I tak właśnie zrobimy.

Ogród okalała fosa, ale też wysoki, żelazny płot. Jednakże strumień młyński płynął dwoma tunelami wiodącymi pod fosą; ich wyloty zamykały żelazne kraty, przepuszczające wodę, lecz powstrzymujące wszystkie stwory z Mroku. Każdą przyśrubowano do kamieni, którymi wyłożono tunel. Będę musiał rozmontować jedną – i to za dnia, bo nocą potrzebowalibyśmy lampy, by widzieć, co robię, a to z pewnością zwróciłoby uwagę skeltów.

Najlepiej będzie wybrać tunel wiodący na wschód i wychodzący najbliżej kanału, uznałem. Wyjaśniłem Jenny, co muszę zrobić, a potem zajrzałem do warsztatu i wybrałem na oko parę kluczy. Ona tymczasem zaczęła zbierać kamyki i układać na trawie niedaleko szczeliny w ogrodzeniu. Gdy znów się pojawiłem, napełniała ostatnią partią kieszenie szaty. Sprawiała wrażenie przygnębionej.

– Sprawdź, w ile skeltów trafisz! – zaśmiałem się, próbując dodać jej otuchy.

Przytaknęła, ale nie odpowiedziała nawet uśmiechem. Nie dziwiłem się, byliśmy w niezłych opałach. Choć niebezpieczeństwo nie groziło nam natychmiast, ale pozostawało niemałe; jeśli nie uda nam się uciec, za kilka dni zginiemy. Nie miałem też gwarancji, że za tunelem nie czają się kolejne skelty.

Plan zakładał, że Jenny stanie przy fosie i zacznie ciskać kamieniami w stwory. Będzie bezpieczna, bo nie mogły się przepawić przez słoną wodę. A choć nie zrobi im krzywdy, bo pancerze miały twarde, liczyłem, że skupi na sobie ich uwagę, odwracając ją od mojej osoby. Inaczej mogłyby podejść i wtargnąć do tunelu z przeciwnej strony.

Pomaszerowałem szybko brzegiem strumienia, wszedłem do zimnej wody i z pluskiem zagłębiłem się w tunel, zmierzając do żelaznej kraty. Na szczęście nie był tu zbyt głęboki, woda sięgała mi ledwie do kolan. W tunelu panował półmrok, ale oczy szybko do niego przywykły. Jeden z dwóch kluczy zdawał się mieć odpowiednią wielkość.

Natychmiast wziąłem się do pracy, lecz mimo najlepszych wysiłków, wciąż ześlizgiwał się ze śrub. Za każdym razem

towarzyszył temu donośny, metaliczny brzęk. W pewnym momencie klucz zahaczył o kratę i przeraziłem się, że hałas z pewnością ujawni moją obecność.

Pracowałem najszybciej, jak mogłem; w sumie śrub było sześć, a ja musiałem zdjąć je wszystkie przed zachodem słońca, bo wtedy musiałbym przyświecić sobie lampą. Uciec musieliśmy dzisiaj; nie miałem żadnej gwarancji, że przetrwamy kolejny dzień. Wystarczyłaby jedna ulewa, by rozcieńczyć sól, a wówczas skelty przelazłyby przez fosę i zaatakowały.

Dwie pozostałe śruby skrywała woda, były więc mocno przerdzewiałe. Odkręcałem je jak najszybciej, ale szło mi bardzo wolno. Ostatnia oparła się wszelkim wysiłkom, szczęśliwie jednak odłamała się jej główka i śruba wpadła do wody.

Udało mi się, tyle że trwało to niemal dwie godziny. Gdy skończyłem, dygotałem z zimna. Wróciłem w miejsce, gdzie Jenny wciąż ciskała kamieniami, i gestem wezwałem ją do młyna.

Wewnątrz Krew cały czas spała niespokojnie przy drzwiach. Dorzuciłem drew do piecyka, Jenny poszła złapać parę królików. Wróciła tylko z jednym. Podzieliliśmy się nim z psem, więc mimo posiłku wciąż doskwierał nam głód. Jednakże zmierzch zapadł szybko i zaczęliśmy szykować się do ucieczki.

– Posłuchaj – rzekłem do Jenny – skelty mogą pójść za nami. Na krótki dystans są szybkie, ale gdy się wydostaniemy, też będziemy poruszali się bardzo prędko. Musimy maszerować całą noc i nie przystawać, póki bezpiecznie nie dotrzemy do domu.

– Im prędzej, tym lepiej – zgodziła się. – Ja na pewno nie będę zwlekać.

– Na zewnątrz mogą się kryć inne istoty z Mroku, możemy natknąć się na kobaloskich wojowników sprowadzonych przez magów czy nawet samego Balkaia. Nie pójdziemy zatem najkrótszą drogą do Chipenden – gdy tylko zostawimy za sobą kanał, podążymy wzdłuż linii mocy.

– Zamierzasz wezwać bogina? – spytała Jenny.

– Tak, jeśli nie będę miał innego wyjścia.

Linie mocy to niewidoczne szlaki przecinające Hrabstwo;

korzystają z nich boginy, by przenosić się z miejsca na miejsce. Zawarłem umowę z Kratchem, boginem broniącym ogrodu w Chipenden: wezwany, przybędzie mi z pomocą, muszę jednak znajdować się na linii mocy albo w pobliżu jednego z ich skrzyżowań.

– Oglądałaś mapy. Jak dobrze je pamiętasz? – spytałem Jenny. – Czy postarałaś się zapisać wszystko w umyśle? Stracharz musi znać Hrabstwo jak własną kieszeń – dodałem z uśmiechem. – Uznaj to zatem za część szkolenia i postaraj się nakreślić najszybszą trasę do Chipenden z wykorzystaniem linii mocy.

– Pamiętam tylko dwie główne – odparła Jenny. – Jedna biegnie na północny wschód, przechodząc przez Leyland, Hoghton i Billinge. Ale leży na południe od Priestown, bardzo daleko stąd. Gdybyśmy tam teraz byli, druga wyglądałaby bardziej obiecująco: przebiega przez Priestown, Goosnargh, Wzgórze Sygnałowe i Bleasdale i kończy się na zachód od Chipenden.

– Świetnie. Znasz dwie linie, ale jest ich znacznie więcej, a jedna leży całkiem blisko tego miejsca. Pomyśl o tym, czas ruszać w drogę...

Wyszliśmy z młyna, zamykając za sobą drzwi na klucz, i podążyliśmy strumieniem do tunelu. Maszerowałem pierwszy, za mną Jenny, ale Krew została na brzegu i zaczęła skomleć cicho. Zaczekałem na nią, nawet nie drgnęła. Nic więcej nie mogłem poradzić: jeśli pies ma choć krztynę rozumu, pójdzie za nami.

Jenny z trudem dźwigała oba nasze kije i torby. Choć Gwiazdna Klinga tkwiła w pochwie na ramieniu, potrzebowałem obu wolnych rąk, by móc unieść ciężką, żelazną kratę. Zagłębiłem się w ciemność tunelu, chwyciłem pręty i szarpnąłem ku sobie. Z początku stawiały opór, zaczepiły się o śruby – może któraś się wygięła? Spróbowałem ponownie i krata wypadła z głośnym brzękiem metalu o kamień, który odbił się echem w głębi tunelu. Oparłem ją o lewą ścianę, zostawiając nam dość miejsca, byśmy zdołali przejść.

Zagłębiłem się w tunel, gdzie czekała mnie nieprzyjemna niespodzianka. Woda nagle stała się znacznie głębsza; sięgała mi

prawie do pasa. Zachłysnąłem się z zimna i parłem dalej. Jenny pluskała obok mnie. W chwilę później wyłoniłem się z tunelu i mogłem wdrapać na brzeg. Wokół wciąż zalegała mgła, ale widziałem w górze tarczę Księżyca. Gdy odwróciłem się, sprawdzając, co z Jenny, po prawej stronie usłyszałem jakiś dźwięk.

Nim zdążyłem zareagować, wielki skelt skoczył ku mnie do wtóru skrzywienia stawów. Przekręciłem się gwałtownie i zdołałem uniknąć czubka kościanej rury, straciłem jednak równowagę i runąłem ciężko na ziemię, tracąc oddech.

Szybko dźwignąłem się na kolana, sięgając po Gwiazdną Klingę. Skelt tymczasem, kładąc uszy tuż przy wydłużonym, kościstym łbie, znów skoczył naprzód.

Widok ten zmroził mi serce.

Nie miałem czasu dobyć miecza.

ROZDZIAŁ

15



JAKAŻ TO MROCZNA ISTOTA

GRIMALKIN

Udziałałam właśnie Thorne kolejnej lekcji, gdy powietrze przed nami zamigotało i pojawił się Pan.

Uśmiechał się szeroko.

– Przynoszę dobre wieści! Lukrasta żyje!

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– Alice twierdziła, że zginął!

– Oboje tak uważaliśmy, ale kobaloscycy magowie i ich bóg Talkus to mistrzowie oszustwa i złudzeń. Dopiero teraz zdołałem przeniknąć ich podstęp. Jeszcze zdążymy go ocalić. Wkrótce istotnie zamierzają go zabić. Czy istnieje lepszy sposób wypróbowania twoich nowych mocy niż ocalenie Lukrasty? Bardzo potrzebujemy jego magicznej mocy.

Lukrasta był najpotężniejszym ludzkim magiem, jaki kiedykolwiek wędrował po ziemi. Bez wątpienia bardzo by nam się przydał, ale nie ufałam mu. Obchodziła go wyłącznie władza. Czy znów będzie spodziewał się bliskiej współpracy z Alice? Czy to oznacza, że raz jeszcze Pan każe jej porzucić Toma?

Jeśli tak, współczułam Thomasowi Wardowi, ale wiedziałam, że czas na dyskusje minął. Muszę odłożyć na bok własne obawy i troski i działać dla większego dobra. Aby pokonać Kobalosów, potrzebujemy każdej dostępnej pomocy.

Obie z Thorne ruszyliśmy w stronę kotła.

– Proszę, Grimalkin, zabierz mnie ze sobą! – ponownie zaczęła błagać.

– Nie jesteś jeszcze gotowa, dziecko. Nie mogę cię wziąć, póki nie opanujesz tych umiejętności. To bardzo niebezpieczna misja: aby dotrzeć do Lukrasty, będę musiała zamienić się w kulę i przeniknąć lity kamień. Ty jeszcze tego nie potrafisz. – Zmarszczyłam czoło.

Thorne zwiesiła głowę i wkrótce wokół nas zawirowały ścieżki, a ja ponownie ruszyłam w stronę Valkarky, skupiona na tym miejscu, w którym miałam się znaleźć.

Poczułam szarpnięcie w żołądku, jakbym spadała, a potem ogarnęły mnie przejmujące mdłości i chłód. Ale tym razem ból okazał się znacznie słabszy niż poprzednio. Może Hekate przesadzała? Może do niego przywyknę?

Odruchowo zamknęłam oczy. Kiedy znów je otworzyłam, stałam w wąskim kamiennym korytarzu. Po prawej i lewej znajdowały się drzwi prowadzące do cel. Tym razem purpurowa rura pojawiła się na poziomie gruntu. Będę mogła po prostu do niej wejść. Ale co z innymi istotami, takimi jak kobaloscycy magowie? Czy też zdołają to zrobić? A może nie mają do niej wstępu? Czy pozostaje ukryta przed ich wzrokiem?

Co dwadzieścia kroków osadzone na ścianach pochodnie oświetlały przejście. Ja jednak byłam istotą z Mroku i wolałam wykorzystać go do swych celów, przywołałam zatem swą moc i zgasiłam wszystkie łuczywa w zasięgu wzroku, pogrążając cały obszar w ciemności.

Sama nadal widziałam: wszystko miało zielonkawe krawędzie – choć dostrzegłam także migotanie żółtego płomienia z trzecich drzwi po lewej.

Powiodłam wzrokiem wzdłuż korytarza – nikogo. Nie marnując czasu, skierowałam się do celi, w której wyczułam obecność Lukrasty. Skupiłam się, odmieniając naturę mojej istoty i stając się niewielką świetlistą kulą, a potem przeniknęłam przez grube drewniane drzwi. Z powrotem przybrałam ludzką postać i rozejrzałam się dokoła. Przez chwilę nie rozumiałam, co widzę.

Obszerną celę oświetlała pochodnia osadzona w przeciwległej ścianie. Wnętrze skojarzyło mi się z kuźnią: w najbliższym kącie przy drzwiach stał płonący żarnik. Natychmiast poczułam promieniujące z niego gorąco. Ściany obwieszono najróżniejszymi narzędziami: toporami, klingami, szczypcami, młotami i piłami. Z sufitu zwisały łańcuchy, na podłodze ustawiono spore kowadło.

Była to izba tortur.

Kiedy ruszyłam w jej głąb, wykraczając poza krąg ciepła, poczułam w powietrzu wilgotny ziąb i smród smoły. Nagle zauważyłam, że część narzędzi nosi na sobie ślady krwi; na oślizgłych kamiennych ścianach widniały ciemne plamy, na posadzce rozlewały się kałuże. Równie złowieszco wyglądał ustawiony z boku katowski pieńek.

Zastanawiałam się, gdzie jest Lukrasta. Czyżbym się spóźniła? Czy już go zabili?

I wtedy pośród cieni zalegających poza kręgiem światła, w najdalszym kącie zauważyłam coś, co z początku wzięłam za kupkę brudnych, pomiętych szmat. Kiedy podeszłam bliżej, pojęłam, że to ktoś przykuty plecami do ściany, z głową opadającą na pierś i twarzą ukrytą w ciemności.

Lukrasta.

Miał amputowane dłonie; kikuty były czarne – pokryte warstwą smoły, by powstrzymać krwawienie i nie dopuścić do zakażenia. Ktokolwiek to zrobił, pragnął utrzymać go przy życiu, by poddać dalszym torturom. Musiało to być okropne, czuć, jak odrąbują ci ręce i zanurzają kikuty w gorącej smole. Towarzyszący temu wstrząs zabiłby większość ludzi, ale Lukrasta był silny.

Przyjrzawszy mu się uważniej, zrozumiałam, że jego legendarna siła to przeszłość. Strasznie wychudł, spod skóry sterczały suche kości.

– Lukrasto! – zawołałam; a on uniósł głowę, w świetle pochodni ujrzałam jego twarz. Miał te same długie wąsy, tyle że poplamione krwią, i rdzawe smugi na brodzie. Zaszyto mu wargi.

Oszołomiony patrzył na mnie okrągłymi oczami, wykrzywiony niczym szaleniec. Czyżby męczarnie doprowadziły go do obłądka,

czy może po prostu oszołomiło go moje pojawienie się w celi? Bez wątpienia jako jedna z umarłych odwiedzających ziemię wyglądałam przerażająco.

I wtedy zobaczyłam ślady na szyi Lukrasty, najróżniejsze blizny: niektóre stare, inne bardzo świeże; z jednej czerwonej dziury wciąż kapały krew i płyn. Z maga wysączano krew. Czy stanowiło to część męczarni, czy też sprawdzano tak jego zdolności? Cóż, przynajmniej wciąż żył, zastanawiałam się jednak, czy nie jest za późno, abyśmy mogli go wykorzystać. Jak ten cień człowieka miałyby przydać się nam w walce z Talkusem i jego magami?

Po kolei zerwałam łańcuchy krępujące mu szyję, nogi i ciało. Lukrasta tymczasem przyglądał mi się szalonymi oczami. Próbował coś powiedzieć, ale brzmiało to niczym skowyt zranionego zwierzęcia. Nie wiedziałam, czy chce mi coś rzec, czy też to tylko odgłosy cierpienia. Sięgnęłam zatem po krótki nóż, rozciąłam szwy i uwolniłam mu usta.

– Jakąż mroczną istotą jesteś? – wykrzyknął wykrzywiony grozą. I wtedy zrozumiałam, że były to krzyki strachu.

Zamiast odpowiedzi zgasiłam pochodnię na ścianie i wyssałam gorąco z żarnika, tak że po sekundzie pozostał w nim tylko zimny popiół.

Potem odwróciłam się i podeszłam do maga.

– Jestem Grimalkin! – syknęłam mu do ucha. – Zamilcz, a zabiorę cię stąd.

Pomogłam mu wstać, cały jednak dygotał i ledwie starczyło mu sił, by utrzymać się na nogach. Wiedziałam, że w każdej chwili mogą zjawić się strażnicy, więc nie tracąc czasu, zarzuciłam go sobie na ramię, tak jak stracharz niosący wiedźmę, nogami do przodu. Okazał się zdumiewająco lekki.

Ja mogłam przeniknąć przez drzwi, ale on nie. Teraz, gdy ukończyłam trudniejszą część zadania – odnalezienie Lukrasty w celi – nie obawiałam się już, że zaalarmuję wroga. Mogłam wywalczyć sobie drogę, mocno uderzyłam drzwi otwartą dłonią, zamieniając je w stos drzazg.

Przeszłam przez dziurę na korytarz, dźwigając brzemię. Hałas

ściągnął strażników, którzy wypadli z ciemności. Na swe nieszczęście, znaleźli się pomiędzy mną a portalem. Z łatwością się ich pozbyłam. Nawet nie zobaczyli, co ich zabiło.

Wciąż niosąc Lukrastę, z ociekającą krwią klingą w lewej dłoni, przeszłam przez purpurową bramę i wróciłam w Mrok.

ROZDZIAŁ

16



WODNA WIEDZMA

THOMAS WARD

Sądziłem już, że nadeszła moja ostatnia chwila na tym świecie. Nim jednak skelt mnie dosięgnął, coś uderzyło go mocno, odrzucając gwałtownie.

To była Krew, suka wilczarza.

Teraz skelt leżał na grzbiecie, wymachując wściekle w powietrzu nogami o wielu stawach. Pies dzielnie próbował złapać go za gardło, ale zagrażały mu odnóża, próbujące zacisnąć się wokół jego ciała. Nie tracąc ani chwili, zerwałem się na równe nogi i dobyłem Gwiazdnej Klingi. Ciało skelta dzieliło się na dwa segmenty; z całych sił uderzyłem w miejsce, gdzie łączyły się ze sobą.

Miecz przeciął twardy pancerz, przepoławiając stwora. Przednią częścią wstrząsnęły konwulsje, gdy suka rozszarpała mu gardło, obryzgując siebie i skelta krwią.

Jenny podbiegła do mego boku. Jej oczy przepełniał strach. Szybko schowałem miecz i zabrałem jej laskę i torbę. Zacmokałem na Krew, która posłusznie podbiegła mi do nogi.

– Grzeczny pies. – Pogłaskałem ją po łbie, a ona zlizywała ze swych szczęk krew skelta.

Pokonała wcześniejsze obawy i właśnie uratowała mi życie.

Zerknąłem na Jenny.

– W pobliżu mogą czaić się inne. Musimy iść, i to szybko! – oznajmiłem, kierując się wzdłuż strumienia w stronę kanału.

Większość stworów wciąż tłoczyła się wokół szczeliny w ogrodzeniu; może okrążały też ogród, ale jeśli mieliśmy odrobinę szczęścia, w pobliżu krył się tylko ten, którego zabiliśmy. Teraz mieliśmy szansę uciec.

Wkrótce gramoliliśmy się już w górę zbocza na zachodni brzeg kanału. Pospieszyliśmy na południe ścieżką holowniczą. Nasze kroki zgrzytały na żwirze. Wiedziałem, że kilka mil dalej na wschód linia mocy biegnie równoległe do kanału. Bezpieczniej byłoby podążać wzdłuż niej, jednakże przecinała rowy i płoty farm, a to mocno by nas opóźniło. Brzeg kanału pozwalał na szybszy marsz, a pierwszy odcinek drogi wolałem pokonać jak najprędzej, żeby zostawić w tyle ścigające nas skelty.

Tu, nad kanałem, przecinającym pola, mgła kłębiła się tak gęsto, że sięgałem wzrokiem najwyżej trzy, cztery stopy przed siebie. Jednak nad naszymi głowami niebo było czyste; lśniły na nim księżyc i gwiazdy.

Wiedziałem, że szanse, by mgła opadła, są niewielkie, dopóki nie dotrzemy daleko na wschód za Caster, oddalając się od morza. Maszerowałem w morderczym tempie, kiedy nagle zza pleców dobiegł mnie krzyk, a potem donośne szczekanie.

Zaniepokojony, odwróciłem się i zobaczyłem, jak Jenny szarpie się desperacko. Upadła, jedna z jej nóg tkwiła w wodzie. Krew stała u jej boku, ujadając na coś w kanale. Jenny dźgała wodę kijem. Sprawiała wrażenie przerażonej.

Kiedy podbiegłem do niej, ujrzałem dłoń ściskającą kostkę dziewczyny; ostre szpony świadczyły o tym, że to wodna wiedźma. Twarz stwora kryła się tuż pod powierzchnią wody, długie włosy zwijały się niczym macki. Z kanału spojrzały na mnie drapieżne oczy.

Istoty te były kiedyś zwykłymi kobietami, lecz przez długie wieki zmieniły się i teraz bardziej przypominały bestie. Kierowały się raczej instynktem niż rozumem i wyróżniały niewiarygodną zawziętością i siłą – mogły wciągnąć człowieka pod wodę i wyssać z niego krew, zanim zdążyłby się utopić, albo też zedrzeć z niego skórę i rozplatać ciało do kości, odcinając kończyny równie szybko,

jak Grimalkin swymi nożyczkami kciuki.

Jenny usiłowała odpędzić wiedźmę kijem. Pies próbował pomóc, ale kostka dziewczyny i szponiasta dłoń zniknęły pod wodą.

W tej sytuacji najlepszą broń stanowiły jarzębinowe laski. Chwyciłem własną oburącz, wypuściłem ukrytą klingę i dźgnąłem mocno wprost w twarz wiedźmy. Jenny jęczała z bólu, ale wciąż atakowała czarownicę. Jedna z naszych kling musiała ją zranić, bo po sekundzie woda pociemniała od krwi, a wiedźma wypuściła dziewczynę i odpłynęła.

Odciągnąłem Jenny na bok i szybko ukląknę, aby obejrzeć jej kostkę. Ku swej zgrozie przekonałem się, że szpony w dwóch miejscach przebiły skórę.

Rany zadane przez wodne wiedźmy łatwo ulegają zakażeniu. Gdyby była tu Alice, użyłaby ziół, aby zażegnać niebezpieczeństwo. Po uważnym badaniu odkryłem jednak, że rana nie jest głęboka, oczyściłem ją zatem najlepiej, jak umialem, i starłem krople krwi.

– Dasz radę iść dalej? – spytałem, pomagając uczennicy wstać. – Czy wolisz trochę odpocząć?

Zmarszczyła czoło.

– Chciałabym iść, ale czy musimy trzymać się blisko kanału? Ta czarownica może wrócić. Może czeka gdzieś przed nami. Może są też inne.

– Początkowo zamierzałem powędrować kanałem niemal do Caster, ale zmieniłem zdanie. Masz rację, to stanowczo zbyt niebezpieczne. Przeprowimy się przez następny most i ruszymy na wschód, w kierunku linii mocy.

W głębi ducha nie wątpiłem, że skelty napuścili na nas nasi kobalocy wrogowie, lecz co do wodnej wiedźmy nie miałem pewności. Zawsze czaiły się w pobliżu wody. Wiedźma łapiąca za kostkę to jedno z najczęstszych zagrożeń podczas wędrówki ścieżką holowniczą w tej okolicy. Jednak bogowie, demony i inne stwory z Mroku bez wątpienia sprzymierzały się z Talkusem, lepiej więc opuścić kanał, na wypadek gdyby dotyczyło to także wodnych wiedźm z Hrabstwa; w każdej chwili mogły zjawić się następne.

Kanał przecinało mnóstwo mostów i wkrótce dotarliśmy na

przeciwległy brzeg, a potem rolnym traktem skierowaliśmy się na wschód. Po pięciu minutach ujrzelśmy w dali farmę. Powitało nas szczekanie psów. Jednakże Krew, świetnie wytresowana, nie zareagowała.

Ominęliśmy stodołę i dom, maszerując polami; nasze tempo mocno spadło. Czasami udawało nam się skorzystać z furtki albo z przełazu, ale najczęściej musieliśmy wspinać się na ogrodzenia albo przeciskać przez żywopłoty.

Teraz musiałem ocenić, kiedy dotrzemy do linii mocy – w którym momencie powinniśmy podążyć za nią na południe. Podobne linie przecinają kościoły, kamienne monolity i inne charakterystyczne punkty orientacyjne. Na przykład druga, o której wspominała Jenny, biegnąca z północy na południe przez kościoły w Priestown i Goosnargh, przecinała też dwór Chingle, cieszący się sławą najbardziej nawiedzonego domu w Hrabstwie. Na liniach mocy działy się dziwne rzeczy, one same były jednak niewidzialne, toteż liczyłem na to, że ponad nisko wiszącą mgłą dostrzegę kościelną dzwonicę. Cieszyłem się, że mój mistrz, John Gregory, wbijał mi kiedyś do głowy ogromne znaczenie znajomości całego Hrabstwa. Pod jego okiem godzinami studiowałem mapy, więc teraz znajomość okolicy podpowiadała, że wkrótce powinniśmy zobaczyć kościół Świętego Michała. I rzeczywiście, niedługo potem na północnym wschodzie wypatrzyłem jego wieżę.

– W którym kierunku idziemy, Jenny? – spytałem.

– Na wschód – odparła natychmiast.

– Skąd wiesz?

– Bo sam mi tak powiedziałeś! – wykrzyknęła bezczelnie. – Ale mogę to też ocenić po położeniu gwiazd.

– Owszem, podpowiadają nam, że nadal zmierzamy na wschód. Kiedy więc dzwonnica kościoła Świętego Michała znajdzie się akurat po naszej lewej, skrećimy w prawo na południe. To prymitywna metoda, ale najlepsza w tym momencie. Nawet jeśli nie będziemy wędrowali wzdłuż samej linii, to znajdziemy się w pobliżu, i gdybym musiał wezwać Kratcha, znajdzie nas albo poprowadzi ku sobie.

Wkrótce istotnie maszerowaliśmy już na południe. Odwróciłem się do Jenny.

– Jak się teraz czujesz? – spytałem.

– Kostka mi pulsuje, ale bywało gorzej.

Szliśmy dalej pod osłoną nocy. O świcie zarządziłem dziesięciminutowy postój. Byliśmy głodni, ale pozostało mi tylko trochę kruchego sera z Hrabstwa. Zwykle Jenny skrzywiłaby się na jego widok, lecz teraz zjadła swoją działkę bez słowa skargi. Biedna suka też była głodna, nie mogłem jednak pozwolić jej zapolować, bo nie chciałem, żeby zwróciła na siebie czyjąś uwagę.

Staliśmy tak, przeżuając i nie mogąc usiąść na mokrej ziemi. Kuliliśmy się pod głogowym żywopłotem obok rowu z cuchnącą, zamuloną wodą.

– Gdzie teraz jesteśmy? – spytała dziewczyna.

– Gdzieś na północny wschód od Caster, ale idziemy dłuższą trasą. Jak mówiłem, podążanie wzdłuż linii mocy to nie zawsze najszybsza droga do celu – wyjaśniłem.

– Przynajmniej mgła zaczyna rzednąć – zauważyła.

Rozejrzawszy się, odkryłem, że istotnie podnosi się i rozplywa: w szarym świetle sięgałem już wzrokiem do połowy niewielkiego pola. Wkrótce w mroku pojawiły się pierwsze drzewa. Ich bezlistne gałęzie przypominały potworne, powykrzywiane ręce. Nie wiał nawet najslabszy wietrzyk. Nic się nie poruszało.

Nagle w rowie coś błysnęło. Podszedłem bliżej i zerknąwszy w szarą wodę, przekonałem się, że niewielki fragment rozmiarów dłoni jest jaśniejszy od całej reszty. Wkrótce pojaśniał jeszcze bardziej i szybko pojawił się w nim obraz.

To była twarz Alice.

Serce zatrzepotało mi z radości na widok owych pięknych, piwnych oczu, choć miały bardzo poważny wyraz i nie dostrzegłem nawet cienia powitalnego uśmiechu.

Czarownice porozumiewają się na odległość za pomocą lusterek, ale tylko najpotężniejsze mogą użyć do tego powierzchni wody. Co więcej, Alice w jakiś sposób wiedziała, gdzie ma nas szukać.

Zaczęła wymawiać swoją wiadomość. Nic nie słyszałem, ale do

tej pory nieźle nauczyłem się już czytać z ruchu warg.

Nie były to dobre wieści.

– *Powrót do Chipenden nie jest bezpieczny, Tomie. Zasadzili się na was. Przyjdźcie do Pendle i walczcie razem z nami. Kobalosc magowie i wojownicy zaatakowali i spalili Goldshaw Booth. Schroniliśmy się w wieży Malkinów. Tu stawimy im opór. Proszę, dołączcie do nas. Tęsknię za tobą, Tomie.*

Nie brzmiało to dobrze. Wioska Goldshaw Booth należała do Malkinów, najpotężniejszego klanu w Pendle, a jednak nawet oni nie zdołali jej obronić. Czy tylko Malkinowie schronili się w wieży, czy wpuścili tam też inne klany? Czy Alice zdołała zawrzeć sojusz z czarownicami z Pendle? Potrzebowaliśmy ich połączonej magii, by zneutralizować moc kobaloskich magów. Zastanawiałem się, jak liczny oddział przysłali.

Nagle pojąłem, iż Alice grozi straszne niebezpieczeństwo i że muszę jak najszybciej dotrzeć do wieży. Nie byłem w stanie znieść myśli, że mogłoby ją spotkać cokolwiek złego. Jeżeli czarownice musiały się wycofać, to znaczy, że nieprzyjaciel miał ze sobą bardzo silnych magów – może nawet Balkaia, najpotężniejszego członka Triumwiratu.

Ukląknęłam bardzo blisko lśniącej wody, chcąc wypytać Alice, ale nie zdążyłem tego zrobić, bo jej twarz już zniknęła.

– Co powiedziała Alice? – spytała Jenny i marszcząc brwi, zerknęła na rów.

Podniosłem się z ziemi i powtórzyłem jej słowa przyjaciółki.

– Ruszamy wprost do Pendle – dodałem, nerwowo krążąc tam i z powrotem. Serce waliło mi niespokojnie, żołądek ścisnął się na myśl, że Alice może grozić niebezpieczeństwo.

– Tam też będą na nas czekać! – wykrzyknęła Jenny. – Tyle że teraz będzie ich jeszcze więcej.

– Możliwe, ale dobrze znam Pendle. Znajdziemy jakiś sposób, by ich uniknąć.

– Alice musi wiedzieć, gdzie konkretnie jesteśmy, inaczej nie zdołałaby tego zrobić. – Jenny pokazała palcem rów. – Jakim cudem nas znalazła? Jeśli ona to wie, istnieje spora szansa, że

kobalosczy magowie także, a zwłaszcza Balkai. Nigdy nie dotrzemy do tej wieży.

– Istnieje tajny tunel, który do niej prowadzi – poinformowałem ją. – Nie raz z niego korzystałem.

– Ale czy wciąż pozostaje tajny?

Spojrzałem na Jenny i odetchnąłem głęboko, by się uspokoić.

– Miejmy nadzieję – rzekłem z uśmiechem. Było to całkiem rozsądne pytanie. – Teraz tunel mógł zostać odkryty. Kobalosczy magowie mogli go odkryć i zastawić zasadzkę.

Jednakże nadal byłem zdecydowany udać się do Pendle. Musiałem pomóc Alice, nie bacząc na koszty.

Wezwanie na pomoc bogina Kratcha mogło okazać się teraz trudne – szlak wzdłuż linii mocy nie wiódł wprost do Wieży Malkinów.

– Pomaszerujemy dalej na południe, Jenny, i przejdziemy na zachód od Chipenden, skręcając wzdłuż linii, o której wspominałaś. Biegnie na południe, przez Wzgórze Sygnałowe w stronę Priestown. Zejdziemy z niej jednak znacznie wcześniej. W wiosce Goosnargh skierujemy się wprost na wschód, kolejną linią. Ta doprowadzi nas niedaleko Pendle.

– Z każdym krokiem zbliżamy się do niebezpieczeństwa. – Jenny zmarszczyła czoło. – Mam bardzo złe przeczucie.

Nie odpowiedziałem. Oczywiście mówiła prawdę, ale nie miałem wyboru.

ROZDZIAŁ

17



PALĄCE ŚWIATŁO

GRIMALKIN

Thorne kucała na ziemi obok kotła Hekate. Oczy miała zamknięte, brwi zmarszczone w skupieniu. Próbowwała posłać duszę poza ciało, lecz bez powodzenia.

Słyszając łopot skrzydeł, dobyłam klingi. Trzy kruki wylądowały na gałęzi nad nami i przycupnęły, przyglądając mi się uważnie.

Wybrałam kolejny nóż, tym razem do rzucania, ale Thorne złapała mnie za rękę.

– To Obserwatorzy, Grimalkin – przypomniała. – Istoty, które potrafią przeszukiwać ziemię i donosić o tym, co znalazły.

– Ale ci tutaj służyli przeciw Hekate. – Zastanawiałam się, co myślą o zabójczyni swojej pani.

– Służymy tej, która włada kotłem – wychrypiał ostry, szorstki głos znad naszych głów. Słowa zabrzmiały aż nadto wyraźnie.

– Zatem służycie mnie – odparłam.

– Przynosimy wieści. Widzieliśmy niebezpieczeństwo grożące stracharzowi nazwiskiem Ward, temu, który jest twoim sojusznikiem.

– W takim razie powtórzcie mi wszystko, co wiecie – poleciłam, chowając przygotowane klingi.

– Ward zmierza na południe ze swą uczennicą. Zbliżają się do Wzgórza Sygnałowego, lecz zastawili tam na nich zasadzkę zabójcy Shaiksa. Jeden z nich rzuci mu wyzwanie, pozostała trójka

zaatakuję z tyłu strzałami. Nie ma czasu do stracenia. Żeby go ocalić, musisz się wtrącić, ale tym samym narazisz się na wielkie niebezpieczeństwo.

– Nie obawiam się kobaloskich zabójców! – odparowałam gniewnie.

– Zagroza ci znacznie groźniejszy przeciwnik: nieustępliwe promienie słońca – wychrypiął kruk. – Już prawie świta.

Pojęłam, że muszę interweniować natychmiast, inaczej Tom Ward zginie. Przez długie lata razem zmagaliśmy się z Mrokiem, a teraz Tom ze swoją odwagą, doświadczeniem – i Gwiazdą Klingą, którą dla niego wykułam – był cennym sojusznikiem. Nie mogliśmy sobie pozwolić, by go stracić.

Wiedziałam jednak, że nie przeżyję kontaktu z promieniami słońca.

Po przybyciu na miejsce przykucnęłam, przyciskając głowę do pnia drzewa. Moje wnętrzości skręcały się, miałam wrażenie, że krew wrze w żyłach – ale nie mogłam sobie pozwolić na czekanie, aż ból ustąpi. Na niebie nie było chmur, między drzewami dostrzegłam płonąca na wschodzie pomarańczową lunę. Za parę minut wszędzie słońce.

Byłam pewna, że zdołam pokonać zabójców... ale czy uda mi się to w tak ograniczonym czasie? Przemieniłam się w kulę i pomknęłam między pniami. Wkrótce w dole ujrzałam pierwszego zabójcę. Obserwator użył słowa „zasadzka”, lecz Shaiksa nie ukrywał się, gotów rzucić wyzwanie. Zamierzał pomścić brata zabójcę, którego Tom pokonał nad rzeką.

Już on sam był bardzo groźny, choć wiedziałam, że Tom w starciu zwycięży. Ale gdzie się podziewała pozostała trójka?

Zaczęłam przeszukiwać okolicę, póki ich nie znalazłam.

Schowali się wśród gałęzi trzech różnych drzew, ustawionych w trójkąt. Tak jak mówił Obserwator, mieli przy sobie łuki i strzały. Gdy Tom ruszy naprzód, by walczyć z zabójcą, łucznicy znajdą się za nim. Strzelą mu w plecy.

Co za zdradziecki plan! Wcześniej uważałam bractwo Shaiksa za honorowe, a jednak to zachowanie pokazywało, w jaką wpadli desperację: bali się Toma i nie wierzyli we własne zwycięstwo. Shaiksa gromadzili w swych szeregach najgroźniejszych wojowników spośród Kobalosów. Zawsze musieli pomścić śmierć jednego ze swoich. Jednakże w Tomie znaleźli aż nadto godnego przeciwnika. Chcieli zatem po prostu się go pozbyć i zlikwidować zagrożenie dla sprawy Kobalosów. Tym razem będą pewni zwycięstwa.

Podpłynęłam do najbliższego z trzech ukrytych zabójców. Musiałam uderzyć szybko i bezszelestnie, tak by nie spłoszyć pozostałych. W sekundę później odzyskałam ludzką postać, siedząc na gałęzi dokładnie za jego plecami. Zabiłam go szybko własnym nożem, potem starannie ułożyłam trupa na konarze, z łukiem na plecach, aby nie spadł. Wiedziałam, że po śmierci skontaktuje się z braćmi, ale potrzebowałam odrobinę czasu, nim znajdę drugiego z Shaiksów.

Schowałam nóż, szykując się do rozprawy z kolejnym zabójcą. Najpierw jednak zerknęłam w stronę horyzontu.

Był jaśniejszy. Lada moment wstanie słońce.

Z drugim zabójcą nie poszło tak łatwo. Pierwszy, wydając ostatnie tchnienie, posłał mu wieści – choć nie rozpoznał zabójcy. Za szybko zginął.

Mój drugi cel wzmógł czujność i zobaczył, jak przyjmuję własną postać za jego plecami, przycisnęłam mu jednak dłoń do ust, by nie mógł krzyknąć. Jego także zabiłam, szykując się do starcia z trzecim łucznikiem.

Ten stał na konarze, oczy miał szeroko otwarte – szukał celu, napinając łuk. Zaatakowałam go od razu, lecz w chwili, gdy uskoczyłam przed łukiem i uniosłam klingę, poczułam na twarzy straszliwy błysk palącego światła.

Wstało słońce.

Teraz po raz pierwszy od przejścia w Mrok znów ogarnął mnie strach. Śmiertelnie bałam się utraty wzroku, jak bez niego mogłabym funkcjonować jako zabójczyni?

Czułam, jak skóra twarzy zaczyna mi syczeć i pokrywa się pęcherzami. Po policzkach ściekały gorące, piekące łzy. Czyżby topiły mi się oczy?, pomyślałam z lękiem.

Cierpiałam katusze.

Oślepiłam.

ROZDZIAŁ

18



SHAIKSA Z ŁUKIEM

THOMAS WARD

Podażaliśmy wzdłuż nowej linii mocy, kierując się w stronę Wzgórza Sygnałowego. Widziałem już w dali jego porośnięte drzewami zbocza. Niebo było czyste, a tuż przed nami, na wschodzie, pojawiły się pierwsze łuny brzasku.

Przed nami rozciągał się las – świetne miejsce dla wrogów, gdyby chcieli się przyczaić i zastawić zasadzkę. Zastanawiałem się, czy nie okrążyć go od zachodu. Oznaczałoby to jednak zejście z linii mocy, a być może i tak będę musiał wezwać bogina.

Maszerując zatem przodem, zagłębiłem się między drzewa. Kiedy po pięciu minutach wzeszło słońce, oświetlając czubki gałęzi, dotarliśmy na polanę. Natychmiast ujrzałem czekające pośrodku niebezpieczeństwo: uzbrojoną postać w pancerzu, z trzema warkoczykami charakterystycznymi dla zabójcy Shaiksa.

To nie była pułapka, tylko otwarte wyzwanie.

– Oni nigdy się nie poddają! – zawołała Jenny.

Każdy konający Shaiksa posyłał swe myśli do innych członków bractwa, przyzywając ich, aby pomścili jego śmierć. Zabiłem jednego z nich na brzegu rzeki w Polyzni, walczyłem z drugim, którego zasztyletowała Alice. Co więcej, powiodłem armię przez rzekę Shanna na ich ziemie. Bez wątplenia uważali mnie za zagrożenie, które należy usunąć raz a dobrze.

Jenny nie myliła się: ich mściwy pościg nigdy się nie skończy,

zadowoli ich tylko moja śmierć.

Krew warknęła i ruszyła naprzód, jeżąc futro na karku; z jej pyska ściekała ślina. Zacmokałem, a suka zatrzymała się i spojrzała na mnie. Gdyby była człowiekiem, uznałbym, że w jej oczach dostrzegam zawód.

– Zajmij się psem, Jenny. Krew nie ma szans w starciu z takim przeciwnikiem; porąbałby ją na kawałeczki – poleciłem.

– Wezwij bogina, Tomie! Nie narażaj znów życia – błagała Jenny, kładąc dłoń na grzbiecie Krwi, by ją uspokoić.

– Chyba powinienem zachować go na coś gorszego. – Odłożyłem torbę i kij. – Powinienem sobie poradzić z tym tutaj.

– Gorszego? Co może być gorsze niż walka z zabójcą? Pamiętaj, co się stało poprzednio! Możesz znów zginąć, ale tym razem już nie powrócisz! – jęknęła.

Nic nie odrzekłem – nie miałem nic do powiedzenia. Podjąłem już decyzję. Będę walczył; uczciwe starcie rozstrzygnie o wszystkim, a wiedziałem, że mogę je wygrać.

Zrzuciłem płaszcz, by zyskać większą swobodę ruchów, a potem sięgnąłem do pochwy na ramieniu i dobyłem Gwiazdnej Klingi. Dzierżąc ją oburącz, ruszyłem w stronę przeciwnika.

Zbroja Shaiksy była czarna, najwyższej jakości, zrobiona z zachodzących na siebie płyt, tak by nie pozostawić żadnego odsłoniętego miejsca. Wokół szyi zabójca nosił naszyjnik z kości. Grimalkin, wiedźma zabójczyni, zawsze przywdziewała nanizane na grubą dratwę kości kciuków; w każdej z nich przechowywała magiczną moc martwego właściciela i w razie potrzeby mogła z nich czerpać. Z tego naszyjnika natomiast zwisały pomniejszone czaszki pokonanych wrogów Shaiksy. Nie kryła się w nich magia – to była tylko przechwałka, dowód męstwa i zręczności. Bez wątpienia zamierzał dołączyć do nich także moją.

Zabójca nie nosił hełmu, widziałem jego wilczą twarz i bezlitosne oczy. Pomyślałem, że tu przynajmniej jest otwarty na ciosy. Warto o tym pamiętać. Patrzył na mnie arogancko, w obu dłoniach ścisnął po szabli.

Kiedy zatrzymałem się sześć stóp od niego, usłyszałem za

plecami jakiś dźwięk. Odwróciłem się gwałtownie i odkryłem, że Jenny przyszła za mną.

– Wracaj! – warknąłem, odpychając ją lekko, tak że zachwiała się na nogach. – Nie możesz mi pomóc! Nie narażaj się!

Oczekiwałem, że zaprotestuje, ona jednak przytaknęła i wycofała się z zalęknioną miną.

Postąpiłem jeszcze parę kroków w stronę Shaiksy, po czym przystanąłem. Wolałem, by to on zaatakował pierwszy – broniąc się, mogłem ocenić jego siłę i słabości i ustalić, jaka strategia doprowadzi mnie do zwycięstwa.

Czy jednak faktycznie zdołam ponownie pokonać takiego zabójcę? Nagle słowa Jenny o wezwaniu bogina wydały mi się całkiem dobrym pomysłem. Potem jednak przypomniałem sobie, co mówiła Grimalkin po tym, jak zwyciężyłem w pojedynku w Lenklewthem, wysokim magiem kobaloskim.

Zupełnie jakby jej głos znów zabrzmiał mi w głowie.

Myślę, że Gwiazdna Klinga staje się coraz silniejsza. To kolejna cecha, jaką w nią wbudowałam – miecz wchłania to, kim jesteś i czym się stajesz.

Tak! Mogłem to znów zrobić. Długa choroba, na którą cierpiałem po śmierci na brzegu rzeki, to już przeszłość. W pełni doszedłem do siebie, odzyskałem zarówno siłę, jak i szybkość. Bez dalszego wahania zapomniałem o ostrożności, przejąłem inicjatywę i zaatakowałem.

Zabójca odparował mój pierwszy cios lewą szablą i jednocześnie pchnął prawą, ja jednak umknąłem na bok, rozpoczynając skomplikowaną serię piruetów, kroków naprzód, pozwalających znów przypuścić atak, i uników, tworzących morderczy taniec śmierci, którego nauczyła mnie Grimalkin.

Narastał we mnie gniew, nie przypominał jednak czerwonej mgiełki berserkerskiej furii, ograniczającej zdolność myślenia i taktykę. Taki sposób walki to zawsze błąd. Ten gniew był niczym paliwo rozlewające się po ciele, by podsyć szybkość i siłę. Jak ten Shaiksa śmiał rzucać mi wyzwanie tu, w Hrabstwie, w moim domu?, pomyślałem z oburzeniem. Jakie miał prawo zagradzać mi

drogę do Pendle, stawać między mną a Alice? Jeden zardzewiały miecz przeciwko dwóm lśniącym szablom. Ale Gwiezdna Klinga, którą dzierżyłem w dłoniach, kryła w sobie najlepszą, najmocniejszą magię Grimalkin. Wiedziałem, że się nie złamie i że przetnie każdą zbroję. Wiedźma już nie żyła, pozostawiła jednak po sobie to dziedzictwo, a ja zamierzałem dobrze je wykorzystać. Wciąż ściskając oburącz rękojeść, zamachnąłem się i ciąłem z całych sił z prawej w lewo.

Miecz wbił się głęboko w lewe ramię zabójcy, przecinając pancerz. Kobalos zachwiał się i poleciał w tył. Dotąd nie wypuścił szabel, lecz ta w lewej ręce zwisała ostrzem ku ziemi; z ręki bryzgała mu krew.

Nie marnując czasu, wykorzystałem przewagę i znów zaatakowałem lewy bok przeciwnika. Nie mógł podnieść szabli, by odparować ciosy, i klinga zadała drugą ranę, tuż pod pierwszą. Tym razem zabójca upuścił broń, zanim jednak wylądowała na ziemi, zawirowałem w drugą stronę i głęboko ciąłem go w górną część prawego ramienia.

Zaczął się cofać. Śmignąłem za Kobalosem, raz po raz rozrąbując jego zbroję. W końcu przyparłem go do pnia drzewa i zasypałem gradem ciosów, z których każdy docierał do celu. Nie wiem, który w końcu go zabił, lecz po kilkunastu sekundach Shaiksa leżał już bez ruchu u moich stóp.

Stałem tam, patrząc na niego z góry i próbując złapać oddech. Ledwie uświadomiłem sobie, że Jenny podeszła do mnie. Kiedy na nią zerknąłem, patrzyła na drugą stronę polany i wskazywała palcem drzewo po naszej prawej.

– Tam na trawie leży trup – oznajmiła.

Podeszliśmy bliżej i przekonaliśmy się, że to drugi zabójca Shaiksa. Leżał martwy jak głaz, gardło miał poderżnięte. Tuż obok ujrzałem łuk.

– Kto mógł go zabić? – Jenny rozejrzała się, jakby oczekując kogoś jeszcze.

Pokręciłem głową. Nie miałem pojęcia. Nigdy wcześniej nie widziałem Shaiksy uzbrojonego w łuk. Czyżby jednak była to

zasadzka? Czy zamierzali zabić mnie z daleka albo w czasie walki?

– Pogrzebiemy ich? – Jenny obejrzała się na pierwszego zabójcę.

Pokręciłem głową.

– W innych okolicznościach zrobiłbym to, ale niebezpiecznie jest się tu kręcić. Tak czy siak, po śmierci poinformowałem swych braci zabójców, co go spotkało i gdzie zginął. Przyjdą po niego.

Przez cały ranek maszerowaliśmy dalej. Późnym popołudniem odpoczęliśmy w kolejnym lesie, milę od Goosnargh. Musieliśmy dotrzeć do centrum wioski i podążać wzdłuż linii mocy na wschód.

Jenny nałapała królików, abyśmy się posilili – i my oboje, i pies. Potem trochę się zdrzemnęliśmy. Byłem pewien, że Krew obudzi nas, gdyby ktokolwiek się zbliżył. Prawdziwy Bill Arkwright dobrze ją wytresował.

Jakąś godzinę po zachodzie słońca znów ruszyliśmy w drogę, kierując się do wioski.

To wtedy zauważyłem, że Jenny kuśtyka.

– Czy dolega ci kostka? – spytałem.

– Tak, trochę boli, ale nie martw się, mogę chodzić.

– Pokaż...

Ukląknęłam i obejrzałam jej nogę. Księżyc skrył się za chmurami, światło było kiepskie, lecz pod dotykiem czułam rozpaloną skórę i spuchnięty staw. Słusznie martwiłam się skaleczeniami od szponów wodnej wiedźmy – rzeczywiście rana uległa zakażeniu. Podobne obrażenia bywały bardzo niebezpieczne.

Nie chciałam niepokoić Jenny, więc po prostu poprowadziłam ją nieco wolniej w stronę wioski. Wkrótce ujrzelśmy ją przed sobą.

– Coś jest nie tak, Tomie – ostrzegła, szarpiąc mnie za rękę.

Miała rację. W żadnym z domostw nie płonęło światło, choć z pewnością o tak wczesnej porze większość ludzi jeszcze nie spała. Wokół panowała zbyt wielka cisza. Nagle poczułam w powietrzu dym.

Przyłożyłam palec wskazujący do ust, nakazując Jenny milczenie, potem ostrożnie ruszyliśmy dalej. Krew dreptała tuż

przy nas. Prawie dotarliśmy do pierwszego domu, kiedy księżyc wyłonił się zza chmury, zalewając okolicę srebrnym blaskiem.

Gdy dotarło do mnie, co widzę, szybko pociągnąłem dziewczynę w cień pod ścianą.

Większość domów nie miała dachów, z części pozostały tylko dwie czy trzy ściany. Otaczały nas wypalone, puste mury. Pośrodku błonia wznosił się wysoki stos. Z początku moje oczy odmówiły przyjęcia tego, co widzę, ale nagły wietrzyk przyniósł ku nam nową woń – jeszcze silniejszą niż dym.

To był odór śmierci.

Przed nami piętrzyła się sterta trupów. Wszyscy wieśniacy zginęli.

A potem za stosem ujrzałem masywną postać, krążącą tam i z powrotem, jakby pełniła wartę. W płomieniach księżycza zabłysła kolczuga. Był to kobaloski wojownik.

Zaczęliśmy się cofać, ukryci wśród cieni; wiedziałem, że w pobliżu czai się więcej nieprzyjaciół.

Mogliśmy uniknąć niebezpiecznego starcia, ale wymagało to zmiany planów. Teraz będziemy musieli okrążyć Goosnargh i tym samym opuścić linię mocy. Kto wie, ilu Kobalosów kryło się w okolicy? Niebezpiecznie będzie maszerować dalej na wschód, istniała jednak druga linia, wiodąca do Pendle, i musieliśmy ruszyć na południe w jej stronę. Była to linia przecinająca niesławny, nawiedzony dwór Chingle.

Zostawiliśmy za sobą Goosnargh i nie napotkawszy kolejnych Kobalosów, nadal szliśmy na południe. Jenny kuśtykała coraz mocniej, słyszałem, jak zachłystuje się z bólu. Krew zaczęła obwachiwać jej kostkę, skomląc cicho.

– Chcesz chwilę odpocząć? – Złapałem dziewczynę za rękę i zatrzymałem.

– Nie, idźmy dalej – odparła.

Ja jednak z każdym krokiem coraz bardziej się martwiłem. Gdyby tylko była tu Alice, z pewnością umiałyby zneutralizować

działanie jadu. Kiedy dotrzemy do Pendle, będzie mogła pomóc, zaczynałem jednak wątpić, by moja uczennica zdołała dojść tak daleko.

Nagle Jenny krzyknęła cicho i osunęła się na kolana. Kiedy do niej podbiegłem, dyszała ciężko.

– Przepraszam, Tomie. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam...

A potem upadła na twarz. Przekręciłem ją na bok: straciła przytomność, oddychała ciężko. Kostkę miała paskudnie spuchniętą. Jad najwidoczniej rozlewał się po całym ciele. Ogarnął mnie lęk. Co mogę zrobić? Jak mam jej pomóc?

Zarzuciłem ją sobie na ramię i pomaszerowałem najszybciej, jak mogłem. Dźwigałem nie tylko Jenny, ale oba nasze kije i torby.

Na szczęście nie musiałem iść daleko. Nieopodal wznosił się dwór Chingle. Mogłem tam zajrzeć i poprosić o pomoc.

Wcześniej odwiedzałem to miejsce kilka razy z moim mistrzem. Na prośbę dziedzica Robinsona odesłał w Światło kilkanaście duchów, choć inne wciąż się pokazywały.

Teraz jednak bardziej interesował mnie fakt, że jedna ze służących znała się nieźle na medycynie. Zazwyczaj bywa tak w wielkich rezydencjach szlachty. Takie umiejętności czasem decydują o życiu i śmierci. Zdarza się, że wezwany medyk dociera na miejsce dopiero po kilku godzinach.

Służąca, o której myślałem, miała na imię Nora. Sporo wiedziała o ziołach – oczywiście nie tak dużo jak Alice, ale uznałem, że warto spróbować. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Wiedziałem, że zatrucie jadem wodnej wiedźmy może prowadzić do śmierci. Byłem zdesperowany; pozostała mi tylko nadzieja, że Nora nadal tam pracuje.

ROZDZIAŁ

19



DWÓR CHINGLE

THOMAS WARD

Budynek stał pośród gąszczy drzew. Wyglądał posepnie i niegościnnie, ale widok światła płonących w dwóch oknach na parterze zachęcił mnie. Ktoś tu mieszkał i najwyraźniej nie położył się jeszcze spać.

Miałem nadzieję, że zastanę dziedzica Robinsona. Był to uparty, rozsądny człek, który nie dał się wystraszyć duchom i nie opuścił rodzinnego domu. Znał mnie też z widzenia, co pozwoli mi szybciej uzyskać pomoc dla mojej uczennicy.

Odłożyłem torbę i laski na stopień i posadziłem ostrożnie Jenny, opierając ją plecami o mur. Potem zastukałem głośno do drzwi. Po paru chwilach usłyszałem zbliżające się kroki i zgrzyt odsuwanych rygli.

Drzwi otwarły się i znalazłem się twarzą w twarz z wysoką, chudą służką o niemiłej, ostrej twarzy. Z wyraźną pogardą zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Jestem jejmość Hesketh, gospodyni dziedzica Robinsona. Mój pan wyjechał – oznajmiła wyniosłym tonem. – Jak śmiesz stukać do drzwi frontowych! Wejście dla służby i dostawców jest z boku!

Potem popatrzyła z góry na Krew, jakby zamierzała ją kopnąć, choć osobiście nikomu bym tego nie doradzał. Suka odpowiedziała nieprzyjaznym spojrzeniem i warknęła głucho.

Technicznie rzecz biorąc, zaliczałem się do grona dostawców:

stracharz to także rzemiosło, a niektórzy utytułowani zamożni ludzie spodziewali się, że rzeźnicy, domokrażcy, cieśle i pozostali będą używać bocznych wejść. Zasady tej części przestrzegali snobistyczni służący niż ich pracodawcy; dziedzic Robinson zawsze przyjmował mego mistrza i mnie uprzejmie, wpuszczając nas przez drzwi frontowe. Jednak teraz, kiedy wyjechał, wyraźnie obowiązywały inne zasady.

– Moja uczennica jest ciężko chora. – Gestem wskazałem Jenny.
– Została otruta. Chciałbym zobaczyć się z Norą, mam nadzieję, że zdoła jej pomóc. To bardzo pilne.

– Boczny wejściem! – warknęła jejmość Hesketh i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Podniosłem Jenny, a także torby i laski, i pomaszerowałem do wejścia dla służby. Bardzo długo czekałem, nim otworzyła.

– Możesz wejść, ale najpierw wytrzyj o wycieraczkę brudne stopy! – poleciła gospodyni.

Zatupałem kilka razy, strząsając błoto, po czym przeniosłem Jenny przez próg.

– Pies zostanie na dworze! – warknęła jejmość Hesketh.

Kiwnąłem ręką.

– Krew, waruj! – poleciłem, patrząc, jak pies sadowi się przy drzwiach.

Gdy gospodyni zatrzasnęła je za nami, rozejrzałem się szybko. Niewielki, chłodny, wykładany kamiennymi płytami hol nie miał okien. Stał w nim tylko jeden mebel: ława pod ścianą. Bez wątplenia dostawcy musieli tu czekać, aż jejmość Hesketh raczy ich przyjąć.

Nagle po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz, ostrzeżenie, które odbiera siódmy syn siódmego syna, gdy w pobliżu czai się coś z Mroku. Najwyraźniej we dworze pojawiły się duchy, będą jednak musiały zaczekać do następnego razu.

– Możecie zostać tutaj, póki Nora nie wróci – rzuciła gospodyni. – Wyszła nazbierać ziół.

Ponownie przygwoździła mnie wzgardliwym spojrzeniem, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Ostrożnie ułożyłem Jenny na boku na twardej ławie, po czym zdjąłem płaszcz i wsunąłem go jej pod głowę zamiast poduszki. Cały czas głośno chwytiała powietrze, jakby walczyła o każdy oddech, czoło miała rozpalone gorączką. Szybko obejrzałem kostkę i nie spodobało mi się to, co ujrzałem. Prócz opuchlizny zobaczyłem fioletowe żyły, biegnące w górę nogi aż do kolana.

Miałem nadzieję, że Nora zdoła jakoś pomóc. Cieszyła się sławą zręcznej uzdrowicielki; mistrz wspomniał kiedyś, iż podejrzewa, że to zacna wiedźma. Fakt, iż wyszła po zmroku, by nazbierać ziół, tylko wzmocnił te podejrzenia. Niektórzy wierzyli, że zioła i korzonki zebrane w blasku księżyca nabierają większej mocy. Może zatem faktycznie zdoła pomóc Jenny?

Z początku krążyłem niecierpliwie tam i z powrotem, czekając na powrót Nory. Wkrótce jednak ogarnęło mnie silne znużenie. Usiadłem na ławie, niemal dotykając prawym kolaniem głowy Jenny i z trudem walcząc z sennością. Oczy same mi się zamykały, ale gdy tylko morzył mnie sen, budziłem się z nagłym szarpnięciem.

I nagle coś się zmieniło. W półśnie nie potrafiłem określić co. I nagle zrozumiałem.

Było zbyt cicho... Jenny przestała oddychać!

Potrząsałem delikatnie jej ramieniem. Z początku nie zareagowała, potem nagle nabrała niepewnie powietrza, ale minęło dużo czasu, nim znów odetchnęła. Wciąż żyła, lecz oddychała bardzo nieregularnie.

Zastanawiałem się rozpaczliwie, gdzie się podziewa Nora. Czemu to trwa tak długo?

W końcu w dali usłyszałem ujadanie psa. Otworzywszy drzwi, by sprawdzić, co się dzieje z Krew, i odkryłem, że zniknęła. Zdziwiło mnie, że odeszła, choć kazałem jej zostać – psy tresowane przez Billa Arkwrighta zawsze były bardzo posłuszne. Co mogło ją odciągnąć?

Zamknąłem drzwi i znów usiadłem obok uczennicy. Coraz bardziej niepokoił mnie jej nierówny oddech. Wkrótce potem na zewnątrz usłyszałem kroki. Drzwi otwarły się i do środka weszła

Nora, niosąca niewielką płócienną torbę pełną ziół.

Wyglądała tak, jak zapamiętałem ją z ostatniej wizyty we dworze: niska, opiekuńcza niewiasta o rumianych policzkach, życzliwej twarzy i siwiejących włosach.

– Co to? Co to? – zawołała, podbiegając do Jenny i kładąc jej dłoń na rozpalonym czole.

Wyjaśniłem szybko, co się stało.

– Musimy położyć ją do łóżka, ale najpierw trzeba poprosić o zgodę jejmość Hesketh. – Otworzyła szybko wewnętrzne drzwi i zniknęła, zamykając je za sobą.

Niecierpliwiłem się, że tyle to trwa. Co ją zatrzymało? W końcu wróciła, przytrzymując drzwi.

– Przynieś ją! – zawołała. – Oddam jej swój pokój.

Dźwigając Jenny, podążyłem za Norą korytarzem do pokoiów służby. Izba była niewielka – mieściło się w niej pojedyncze łóżko, krzesło i mała komódka na ubrania. Ostrożnie położyłem Jenny na łóżku i usiadłem obok, trzymając ją za rękę. Nora wróciła kilka chwil później z miską wody i gąbką. Delikatnie opłukała twarz dziewczyny, a potem zbadła jej kostkę.

Kiedy skończyła, spojrzała na mnie.

– Ty musisz być nowym stracharzem. Słyszałam, że stary John Gregory zmarł. Pamiętam, że tu przychodziłeś. Był z ciebie wtedy mały chudzielec, od tego czasu bardzo urosłeś – rzuciła.

– Jenny to moja pierwsza uczennica. Dasz radę jej pomóc? – spytałem.

– Nastawiłam już zioła, ale lękam się, że może być za późno. – Nora pokręciła głową. – Jad rozchodzi się po ciele w stronę serca. Dołożę wszelkich starań, wierz mi... Cóż, póki życia, póty nadziei.

Jej słowa wypełniły mnie rozpaczą. Zaryzykowałem, zmierzając do Wieży Malkinów. Teraz zrozumiałem, że powinienem był znaleźć dla Jenny pomoc natychmiast po ataku. Serce zaciążyło mi w piersi.

Patrzyłem, jak Nora próbuje zachęcić dziewczynę, by przełknęła ziołowy napar. Jenny krztusiła się i pluła; większość płynu znalazła się na poduszce. Moja desperacja jeszcze wzrosła.

Nagle poczułem zapach, słaby, lecz wyraźny – woń kwiatów, których odmiany nie umiałem określić. Pojąłem, że dochodzi od strony Jenny, i przypomniałem sobie, gdzie i kiedy go już czułem: na początku terminu odwiedziłem farmę; tato był wówczas ciężko chory i jego izba pachniała tak samo.

Wspomniałem o tym mamie, a ona wyjaśniła, że to jeden z darów odziedziczonych nie po tacie, choć byłem siódmym synem siódmego syna, lecz po niej. Później dowiedziałem się, że była pierwszą lamią. Nazwała ów dar „zwiastowaniem śmierci”, mnie bardziej przypominał przekleństwo. Gdy spotykaliśmy kogoś wydzielającego ów osobliwy zapach, wiedzieliśmy, że wkrótce umrze.

Niedługo potem tato faktycznie umarł – straszliwy dar słusznie przepowiedział jego koniec. Teraz zapowiadał śmierć Jenny. Wiedziałem, że cokolwiek Nora jej podała, nie działa. Musiałem jej pomóc, i to już. I mogłem zrobić tylko jedno.

– Muszę rozprostować nogi – oznajmiłem Norze, która znów siadła obok Jenny, przemywając jej czoło.

Wróciłem do niewielkiego holu, który wydawał się jeszcze zimniejszy niż wcześniej. Szybko pogrzebałem w torbie i wyciągnąłem przechowywane tam lustro. Przysunąłem je blisko twarzy, przyłożyłem palce po lewej stronie i wyszeptałem imię Alice.

Teraz tylko ona mogła ocalić moją uczennicę...

Nic się nie wydarzyło, toteż chuchnąłem w taflę i napisałem palcem wskazującym:

Jenny umiera, Alice, zatruta przez wodną wiedźmę. Proszę, pomóż.

Kiedy para zniknęła, zabierając ze sobą moje słowa, lustro pojaśniało i przez ułamek sekundy wydało mi się, że widzę twarz Alice. Potem jednak zniknęła, więc uznałem, że tylko ją sobie wyobraziłem.

Czy udało mi się nawiązać kontakt? Czy Alice zrozumiała? Czy mogła użyć swej magii, by przenieść się do przestrzeni między

światami, a stamtąd do tego domu? Ale być może miała na głowie inne problemy – ostatecznie Kobalosi oblegali zapewne Wieżę Malkinów. Być może potrzebowała całych swoich mocy, by utrzymać na odległość ich magów i wojowników?

Gdyby czarownice z Pendle przegrały tę walkę, Hrabstwo pozostałoby bezbronne. Nasi żołnierze, dysponujący jedynie działami i mieczami, nie poradziłiby sobie z mroczną magią wroga.

Odwróciłem się, zamierzając zajrzeć do Jenny i sprawdzić, jak się czuje. Nim jednak zdążyłem cokolwiek zrobić, w holu zjawiała się Nora i stanęła naprzeciw, nie patrząc mi w oczy.

Serce ścisnęło mi się boleśnie.

– Co się stało? – spytałem.

Z jej zachowania domyślałem się, co zaraz usłyszę.

– Naprawdę mi przykro, ale Jenny właśnie umarła. W żaden sposób nie mogłam jej uratować. – Pokręciła głową.

Gapiałem się na nią, niezdolny cokolwiek rzec. Rozpacz ścisnęła mnie w gardle, więżąc tam wszystkie słowa.

– Chciałbyś ją zobaczyć? – spytała, po raz pierwszy unosząc wzrok. Kąciki jej ust uniosły się w lekkim uśmiechu – pewnie miała to być oznaka współczucia, pomyślałem, marszcząc czoło. – Lepiej zrobić to teraz, kiedy jest jeszcze ciepła – ciągnęła Nora – żeby zostało ci po niej dobre ostatnie wspomnienie. Stygnięcie krwi i ciała sprowadza paskudne zmiany. Śmierć bywa bardzo brzydka.

Nie do końca docierało do mnie to, co mówiła – byłem w szoku – ale jej słowa wydały mi się dość niestosowne. Potulnie podążyłem za nią do pokoju, gdzie leżała Jenny.

Ukląknąłem obok łóżka, przysuwając się blisko. Do oczu napłynęły mi łzy. Nie oddychała, gdy jednak ująłem jej dłoń, wydała mi się ciepła. Wyglądała bardzo spokojnie, jakby spała, tyle że się nie poruszała. Szybko sprawdziłem puls – najpierw na przegubie, a potem na szyi. Niczego nie wyczułem.

Jenny nie żyła.

Jak przez mgłę uświadomiłem sobie, że Nora staje tuż za mną, poczułem, jak coś ociera mi się o ramię. Ledwo jednak to zarejestrowałem, bo całą uwagę skupiałem na Jenny. Pierś

ściskała mi obręcz wzruszenia.

Gdy uświadomiłem sobie, że Nora wysuwa z pochwy Gwiazdną Klingę, było już niemal za późno.

Zerwałem się z ziemi i zobaczyłem, że w prawej dłoni trzyma miecz.

Kącikiem oka dostrzegłem coś migoczącego przy drzwiach. Z kształtu przypominało człowieka, tyle że masywniejszego, jak Kobalos. Coś zaczynało się tam materializować.

Skoczyłem naprzód i zacisnąłem dłoń wokół ręki Nory, dotykając koniuszkami palców miecza. Nagle zrozumiałem.

Nora była tulpą. Miała albo mnie zabić, albo odebrać mi klingę, bym stracił ochronę przed mroczną magią.

Obejrzałem się na drzwi – migotanie ustało, nie wątpiłem jednak, że gdyby tulpa zdołała utrzymać miecz z dala ode mnie jeszcze przez parę sekund, pojawiłby się kobaloski mag i użył przeciw mnie mrocznej magii.

Walczyłem, by wyrwać Gwiazdną Klingę z uchwytu Nory. Okazała się niewiarygodnie silna, mną jednak kierowała rozpaczliwa desperacja i zdołałem wyrwać jej miecz. Cofnąłem się i uniosłem go, gotów zadać śmiertelny cios.

Nagle jednak zawahałem się. Ta kobieta wyglądała identycznie jak Nora, którą pamiętałem. Jak mogłem zabić ją z zimną krwią?

To nie kobieta, upomniałem się w duchu. To tulpa. Bez wątpienia pozwoliła Jenny umrzeć, żebym ukląkł przy jej łóżku, dając okazję do kradzieży klingi. Nagle stwór wyglądający jak Nora wydał z siebie przerażający krzyk i ukrył twarz w dłoniach – sądziłem, iż to dlatego, że przeraził się, że zaraz uderzę go mieczem.

Mylłem się jednak.

– Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam? – krzyknęła, opuszczając ręce i patrząc na mnie przerażonymi oczami. – Zabiłam swoją panią. Ale dlaczego?

Wypadła z pokoju, a ja podążyłem za nią korytarzem do innej sypialni. Gospodyni leżała na łóżku z wybałuszonymi oczami, białka pokrywała sieć popękanych żyłek. Została uduszona.

– Biedna jejmość Hesketh! – zawodziła tulpa. – Surowa z niej

była pani, ale zawsze traktowała mnie sprawiedliwie. Dlaczego jej to zrobiłam?

– Zrobiłaś to, ponieważ kierował tobą ktoś inny – rzekłem cicho.
– Nie jesteś Norą. Pewnie zabiłaś Norę, nim zajęłaś jej miejsce. Jesteś tulpą.

Przemiana zaczęła się natychmiast. Tym razem dezintegracja postępowała jeszcze szybciej niż u tulpy uważającej się za Billa Arkwrighta. Ta kobieca postać była dość pulchna – teraz jej brzuch napuchł groteskowo, potem zsunął się nisko, tworząc jakby fartuch i pękł z obrzydliwym, wilgotnym młasnieniem. Z ust popłynął śluz, zęby wypadły, rozsypując się po dywanie.

Dość już działałem. Nie mogłem zrobić nic więcej dla zamordowanej pani Hesketh, inni będą musieli się tym zająć. Musiałem opuścić to miejsce, choć nie mogłem zostawić tu ciała Jenny. Zabiorę je ze sobą i pogrzebię gdzie indziej.

Wróciłem do małej izdebki i nagle przypomniałem sobie, że muszę zrobić coś jeszcze. Muszę sprawdzić, czy jej dusza nie pozostała w ciele, niezdolna do odejścia. Zdecydowanie nie chciałem, aby dołączyła do innych duchów, nawiedzających dwór Chingle.

– Jenny! Jenny! Jesteś tutaj? – zawołałem miękko.

Powtórzyłem to pytanie jeszcze dwukrotnie, żeby się upewnić. Jej duch się nie zjawił, więc zadowolony zacząłem szykować się do odejścia.

Postanowiłem zabrać ze sobą tylko własną torbę i kij. Otworzyłem torbę Jenny, przyglądając się zawartości, otepiały z żalu. Przełożyłem kilka przedmiotów do własnej: niewielki worek z solą i żelazem i jej osobisty dobytek, w tym notatnik. Matka i ojciec dziewczyny nie żyli, z przybranymi rodzicami nie była blisko. Mimo to postanowiłem pewnego dnia zwrócić im jej rzeczy.

Zdjąłem z łóżka prześcieradło i ułożyłem na podłodze. Potem uniosłem ciało Jenny i położyłem delikatnie na środku. Pocałowałem ją w czoło i zawinałem w prześcieradło, najlepiej jak umiałem, zawiązując końce.

Wyszedłem drzwiami dla służby i dźwigając zwłoki Jenny na

ramieniu, a torbę i laskę w lewej dłoni, ruszyłem na wschód, w stronę linii mocy, która zawiedzie mnie niemal do Wieży Malkinów.

Przeszedłem najwyżej sto kroków, gdy natknąłem się na truchło Krwi. Odniosła ciężkie obrażenia – bez wątpienia z ręki tulpy. Była ostatnim z psów Billa Arkwrighta, a ja nie mogłem nic zrobić, musiałem ją tu zostawić i iść dalej. I tak opłakiwałem już śmierć nieszczęsnej dziewczyny, którą dźwigałem na ramieniu. Wiedziałem, że niedaleko mogę znaleźć inne koszmary: prawdziwa Nora zapewne zginęła tak samo jak suka.

Idą, myślałem, co począć ze zwłokami. Przypomniałem sobie, że na liniach mocy można znaleźć kościoły; wiedziałem, że jeden, Świętego Wilfreda, leży przede mną. Nigdy go nie odwiedzałem, ale musiałem zaryzykować – może ksiądz pozwoli pogrzebać uczennicę stracharza obok własnego cmentarza. Na nic więcej nie mogłem liczyć: niektórzy księża uważali stracharzy za nie lepszych od czarownic czy mrocznych magów.

Ten nazywał się ojciec Greenalgh i okazał się człkiem przyzwoitym.

– Przykro mi, że nie mogę jej pochować na poświęconej ziemi; gdybym to zrobił, biskup poleciłby ją wykopać. Ale na wschód od cmentarza jest bardzo ładne miejsce – oznajmił.

– Dziękuję, ojcze, o nic więcej nie proszę.

Wschodziło słońce, gdy wspięliśmy się na pagórek pod rozłożystym cisem. Ojciec Greenalgh dźwigał dwa szpadle. Ku memu zdumieniu pomógł mi wykopać grób.

Następnie odmówił kilka modlitw, a ja skłoniłem głowę, starając się powstrzymać łzy.

– Zechcesz powiedzieć kilka słów? – poprosił.

Przytaknąłem i zebrałem myśli. Gdy się odezwałem, głos drżał mi ze wzruszenia.

– Dobrze wybrałem, przyjmując Jenny na swą pierwszą uczennicę. Była dobrą, dzielną i uzdolnioną dziewczyną i zostałyaby świetną stracharką. To okropne, że odebrano ją nam, nim w pełni rozwinęła swoje talenty. Będzie mi jej brakowało...

Zamierzałem powiedzieć coś jeszcze, ale głos załamał mi się z żalu.

Ojciec Greenalgh poklepał mnie po ramieniu. Razem opuściliśmy ciało w głąb grobu i zasypaliśmy.

– Raz jeszcze dziękuję za pomoc i wsparcie – rzekłem do niego. – Nie mam przy sobie zbyt wiele pieniędzy, ale kiedy znów tu trafię, złożę datek na kościół i zapłacę za kamień, by oznaczyć grób Jenny.

Ksiądz przytaknął.

– Dokąd teraz zmierzasz?

– Do Pendle, mam tam sprawę.

– Zanim wyruszysz w długą drogę, wróć na plebanię, na śniadanie.

– Dzięki raz jeszcze, ojcze, ale to bardzo pilna sprawa i muszę już iść. Chciałbym jednak zostać na chwilę sam, by pomodlić się przy grobie.

– Oczywiście...

Ojciec Greenalgh zabrał łopaty i pomaszerował w stronę kościoła. Odczekałem, aż znalazł się poza zasięgiem słuchu, a potem zrobiłem to, co musiałem.

– Jenny! Jenny! Jesteś tutaj? – zawołałem cicho.

Nie wiał nawet najłżejszy wiatr, a ptaki umilkły. Nasłuchiwałem uważnie.

Trzykroć wypowiedziałem te słowa, nie doczekałem się jednak odpowiedzi – i dobrze. W przypadku gwałtownej śmierci duchy czasami zostają tam, gdzie do niej doszło, co już sprawdziłem, większość jednak kręci się przy grobie. Jednakże stracharze znają się na duchach i żaden z nas nie chciałby zostać jednym z nich. Po śmierci odchodzą w Światło; Jenny z pewnością uczyniła to samo.

Już jej tu nie było.

Podniosłem torbę i laskę, mrużąc oczy, spojrzałem w słońce i z ciężkim sercem ruszyłem na wschód, wzdłuż linii mocy, w stronę Pendle.

Gdy tak maszerowałem, moje myśli pełne były Jenny. Nigdy już jej nie zobaczę. O, jakże chciałem, żeby szła koło mnie i rzucała

bezczelne uwagi!

Utrata ucznia jest czymś okropnym, wiedziałem jednak, że ponad jedna trzecia chłopców, których szkolił mój mistrz, zginęła gwałtowną śmiercią, walcząc z Mrokiem.

Będę musiał do tego przywyknąć.

Jeszcze nieraz tak się stanie.

ROZDZIAŁ

20



PLAN LUKRASTY

GRIMALKIN

Jaskinia zamigotała mi przed oczami. Dobrze było ją widzieć. Po tym, jak zaskoczyło mnie słońce, bałam się, że już na zawsze pozostanę ślepa. Ciężkie powietrze krążyło leniwie, rozgrzane żarem, promieniującym niczym rozpalony oddech olbrzyma z wylotu ognistej kuźni.

Zafascynowana, patrzyłam, jak bóg Hefajstos przykuca nad kowadłem, rzucając na skalną ścianę za plecami potworny cień. Napięte mięśnie jego nagiego torsu lśniły od potu, wyłupiaste oczy w całkowitym skupieniu wpatrywały się w jedno miejsce. Należał do grona naszych sojuszników, teraz wypełniał prośbę Pana.

Trzy olbrzymie miechy poruszały się kolejno, pompując powietrze w głąb węgla, by rozjarzyły się najpierw na czerwono, a potem na białą. Nie potrafiłam stwierdzić, czy poruszała nimi magia, czy może naciskały je niewidoczne dłonie.

Pod ścianą stały olbrzymie młoty, lecz ten w dłoniach Hefajstosa był raczej nieduży. Bóg uderzał nim szybko i delikatnie. Pracował nad kulą stopu srebra, kształtując pierwszą z dłoni, które miały zastąpić te odcięte Lukraście przez kobaloskich katów.

– Niesamowite – szepnęłam do Thorne. – Jak wiesz, dziecko, nieźle sobie radzę w kuźni i zawsze sama wykuwałam sobie broń. Ale w porównaniu z tym, co teraz oglądamy, moje umiejętności to nic.

– To do ciebie niepodobne, Grimalkin, tak się nie doceniać – odparła. – Owszem, Hefajstos jest świetnym kowalem, ale tobie też niczego nie brakuje. On wykuł miecze bohaterów, którymi zabiliście Złego, ale ty stworzyłaś Gwiazdną Klingę, a czyż to nie potężniejsza broń?

– Tak sądzisz? – spytałam z uśmiechem. – Czas pokaże.

– Czy ból osłabł? – spytała, patrząc zatroskanym wzrokiem na moje oczy.

– Goją się, dziecko. Nie mam wyjścia, muszę znieść ten ból.

Twarz istotnie miałam uszkodzoną. Gdy padło na nią palące słońce, świat przed moimi oczami pociemniał – choć określiłam już położenie trzeciego Shaiksy i zdołałam go zabić i uciec przed kolejnymi morderczymi promieniami.

Po powrocie w Mrok twarz pokrywały mi wielkie ropiejące pęcherze i byłam ślepa. Pan jednak sprowadził mi uzdrowiciela, jednego z nielicznych współpracujących z nami Starych Bogów. Na imię miał Asklepios, nosił w dłoniach pręt, wokół którego owinał się wąż. Wysoki i wychudzony, miał bujne białe włosy i bardziej przypominał bladego ducha niż potężną, żywą istotę.

Dał mi wybór.

– Masz dwie możliwości – oznajmił. – Którą wolisz: uzdrowienie powolne i bezbolesne czy też szybkie i sprawiające wielki ból?

– To drugie – odparłam.

Asklepios więcej się nie odezwał, jedynie dotknął mych oczu i położył na policzkach chłodne dłonie. W końcu postukał mnie trzy razy w czoło swoim prętem i usłyszałam syczenie węża.

A potem zaczęły się męczarnie.

Dopiero teraz ból powoli słabł, twarz jednak zagoiła mi się bez blizn i odzyskałam dawny wzrok. Asklepios zajął się też Lukrastą, ale to zadanie okazało się dużo trudniejsze. Miał nadzieję odtworzyć odcięte dłonie, lecz stwierdził, iż wykracza to poza jego możliwości.

Jednakże z pomocą Hefajstosa mag wkrótce uzyska srebrne ręce, nawet lepsze niż poprzednie. Wówczas będzie musiał wrócić na ziemię. Żywy człowiek niedługo może pozostać w Mroku, nawet

jeśli dysponuje mocą maga bądź czarownicy.

Zastanawiałam się, dokąd się uda. Z powrotem do wieży w Cymru, gdzie spędzał czas z Alice?

Pan siedział wśród korzeni naszego drzewa-domu. Na gałęzi nad jego głową przycupnął samotny kruk, bez wątpienia był to jeden ze służących mu Obserwatorów. Sam bóg sprawiał wrażenie bardziej ożywionego. Oczy miał zamknięte, gestem jednak nakazał Lukraście mówić.

Stałyśmy z Thorne z boku, słuchając, jak czarownik przedstawia swój plan. Miał na sobie szatę z kapturem – ktoś, kto nie wiedział, że to mag, mógłby go wziąć za stracharza. Mówiąc, gestykulował nowymi dłońmi. Były doprawdy cudowne – palce poruszały się jak pokryte elastyczną, wrażliwą skórą ciało i kość, a nie stop srebra.

– Musimy zaatakować ich boga, Talkusa – oznajmił. – Jeśli go usuniemy, praktycznie wygramy wojnę z Kobalosami. To on na nich wpływa, to on jest źródłem potężnej mocy magów.

– Co proponujesz? – Pan otworzył jedno oko, w jego głosie dźwięczało znużenie. Wciąż był bardzo słaby, dyszał niczym pies w upalne popołudnie i wyglądał na wyczerpanego. Byłam pewna, że zgodzi się na wszystko, co zasugeruje Lukrasta.

Mag natomiast sprawiał wrażenie silnego i przepełnionego energią. Doszedł już całkowicie do siebie po strasznych przeżyciach w kobaloskim więzieniu. Jego gęste włosy lśniły, opadając pukłami spod kaptura na ramiona. Wargi, częściowo zasłonięte przez wąs, napęczniały od krwi. Uratowałam wychudzonego, złamanego człowieka, teraz sprawiał zaś wrażenie młodzieńca, żwawego i pełnego wigoru. To ogromna zmiana jak na tak krótki czas – bez wątpienia doprowadziła do niej uzdrowicielska moc Asklepiosa w połączeniu z jego własną magią.

– Zamierzam zwabić Talkusa do mojej wieży w Cymru. Dzięki zgromadzonej tam magii mogę przenosić budynek w czasie. Spętam go, a następnie przeniosę do epoki, w której nie będzie się czuł dobrze, i tam zostawię. Jednak by to osiągnąć, Alice raz

jeszcze musi złączyć ze mną swoje moce.

– Czy Alice nie ma tu nic do powiedzenia? – wtrąciłam.

– Natychmiast dostrzeże potrzebę odnowienia sojuszu. – Lukrasta spojrział na mnie gniewnie. – Poza tym byliśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi i z pewnością zechce trwać dalej w tym związku.

– Teraz jest z Tomem Wardem – zauważyłam chłodno. – Myślę, że nie w pełni rozumiesz obecną sytuację.

Pan otworzył już drugie oko. Zerknął na mnie, potem na Lukrastę.

– To, co proponujesz, może doprowadzić nas do zwycięstwa, warto zatem spróbować. Rozkażę Alice, żeby była ci posłuszna – oznajmił.

Z pozoru można by sądzić, że Alice i Lukrasta faktycznie powinni zjednoczyć siły i spróbować zniszczyć Talkusa. Ale wyczuwałam w tym coś niewłaściwego... coś, czego nie umiałam określić. Miałam bardzo złe przeczucie.

– Ty też masz do odegrania ważną rolę w moim planie zwabienia Talkusa do wieży, Grimalkin. – Lukrasta uśmiechnął się do mnie wyniośle.

– W takim razie powiedz jaką – odparłam zimno. Miałam okropną ochotę dobyć noża i wyciąć mu z twarzy ten uśmiech.

– W Polyzni jest zamek, spędziłaś w nim trochę czasu. Uczennica Toma Warda odwiedziła tam strych na jednej z wież i znalazła portal wiodący do kryjówki Talkusa. Chcę, żebyś udała się tam i sprowokowała wroga, tak by cię ścigał. Doprowadź go do mojej wieży, gdzie przygotowuję się na jego przyjęcie.

– Tego portalu strzeże potężny demon. Uczennica Toma, Jenny, ledwie uszła z życiem – przypomniałam.

– Z pewnością dla ciebie to żadna przeszkoda, Grimalkin. Kiedy demon wyskoczy z portalu, przemknij obok niego i wtargnij do królestwa Talkusa. Słyszałem, że lubisz wyzwania, w których się sprawdzasz. Czy istnieje większe wyzwanie niż złapać boga za ogon?

– Czemu sądzisz, że będzie mnie ścigał? Dlaczego niby miałyby to

zrobić?

– Bo odbierzesz mu coś, co bardzo sobie ceni: większą część jego duszy!

– A w jaki sposób mam to uczynić?

– Część jego duszy kryje się w ciele, tej nie możesz dotknąć. Ale większość wciąż pozostaje w cielesnym worku podłączonym do niego rurką. Przypomina to dziecko w łonie matki czerpiące strawę poprzez pępowinę. Kiedy Talkus wchłonie całą swą materię duszy, odzyska pełnię sił, chwilowo jednak jest osłabiony. Zabierz mu worek, a będzie musiał pójść za tobą. Zwab go do mojej wieży, ja dokonam reszty.

Marszcząc brwi, odwróciłam się do Pana.

– Jeśli podąży za mną, z pewnością przejdzie przez twoje królestwo. Pozwolisz na to?

– Pójdzie za tobą do wieży Lukrasty, ale inną drogą – odparł bóg.
– Nie odważy się zapuścić tutaj.

Przytaknęłam, pojmując, że nie ma sensu protestować. Nie dostrzegałam żadnych słabych stron tego planu: jeśli zdołam zwabić boga do wieży Lukrasty, a on zrobi, jak zamierzał, zwyciężymy. Pozbawieni boga, Kobalosi i ich magowie stracą swoje nowe moce.

Milczałam zatem i po godzinie Lukrasta opuścił Mrok, wyruszając na spotkanie Alice. Potem mieli udać się wprost do jego wieży w Cymru.

– To mi się nie podoba, Grimalkin – mruknęła Thorne, gdy zostałyśmy same. – Łatwo mu gadać, ale to ty będziesz się narażać. Bardzo bym chciała ci pomóc, trudno mi jednak opanować tę szamanistyczną magię. Wciąż muszę nad nią popracować.

– Nie poddawaj się. W końcu ci się uda. Ja jednak muszę podjąć się tego zadania sama, dziecko. Gdybym знаła lepszy sposób, to bym go przedstawiła. Musimy postarać się jak najlepiej.

ROZDZIAŁ

21



W DIABELSKIM TRÓJKĄCIE

THOMAS WARD

Maszerowałem na północ zachodnią częścią Pendle. Zamierzałem przejść obok wioski Downham – tę właśnie trasę zawsze wybierał mój mistrz.

Do tej pory smutek po stracie Jenny zamienił się we wściekłość. To takie niesprawiedliwe. Czemu do tego doszło? Wciąż zastanawiałem się, czy mogłem postąpić inaczej. Wraz z narastającym gniewem pojawiło się ciężące mi nieznośnie poczucie winy. Trzeba było poważnie potraktować jej ranę. Znałem co najmniej dwóch uzdrowicieli pracujących na północ od Caster. Powinienem był zabrać ją do nich bezzwłocznie.

Ale nie: pragnąc jak najszybciej dotrzeć do Wieży Malkinów i do Alice, doprowadziłem do śmierci Jenny. Wrogowie zapłacą mi za ten błąd. Wciąż nosiłem na plecach Gwiazdną Klingę. Jeśli znajdę kobaloskiego boga Talkusa i zbliżę się do niego, zabiję go tym mieczem. Gdy już połączę siły z Alice, to będzie mój główny cel. Musiał istnieć sposób, by go osiągnąć... a ja ten sposób odkryję.

Z początku ledwie widziałem Wzgórze Pendle, potem jednak na wschodzie pojawił się księżyc i nagle, gdy w końcu dotarłem do nabrzeża wioski, znalazło się przede mną niczym wielka, złowieszcza bestia.

Mój mistrz, John Gregory, zauważył kiedyś, że jego kształt przypomina niektórym ludziom wyrzuconego na brzeg wieloryba –

ponieważ nigdy żadnego nie widziałem, nieszczególnie mi to pomogło. Inni porównywali je do wywróconej łodzi. Gdybym jednak miał podać jedno słowo opisujące Pendle, brzmiałoby ono: złowrogie.

To nie przypadek, że większość klanów czarownic z Hrabstwa osiedliła się w pobliżu wzgórza. Niektóre części ziemi mają własną, naturalną moc i idealnie nadają się do używania mrocznej magii. Pendle najwyraźniej do nich należało.

Wieża Malkinów stała na leśnej polanie na wschód od wzgórza. Z jej blanków, wyrastających wysoko ponad otaczające ją drzewa, widać było lasy i masyw Pendle. Większa część pomieszczeń kryła się jednak pod ziemią. Były tam lochy, w których Malkinowie torturowali swych nieprzyjaciół. John Gregory odwiedził kiedyś wszystkie cele, jedną po drugiej, odsyłając zmarłych do Światła.

Nie zamierzałem przechodzić przez samą wieś Dowhnam: mogli się w niej kryć Kobalosi albo ich szpiedzy. Najlepiej, żeby nikt nie wiedział o mojej obecności. Kiedyś Downham było wolne od czarownic; srogi ksiądz, ojciec Stocks, chronił tę wieś, teraz jednak nie żył i sytuacja mogła zmienić się na gorsze.

Klany nieustannie skakały sobie do gardeł, dlaczego miałyby to ulec zmianie? Całkiem prawdopodobne, że część z nich mogła stanąć po stronie Kobalosów. Istniały wiedźmy tak bardzo zachłanne na mroczną magię, że zdolne były zrobić wszystko, byle ją zdobyć, a kobaloscycy magowie mieli wiele do zaoferowania.

Wiedziałem, że im dalej na południe się zapuszczę od wschodniej strony wzgórza, tym zrobi się niebezpieczniej. Czarownice zazwyczaj trzymały się nieco dalej, w tak zwanym Diabelskim Trójkącie, obejmującym trzy główne wsie: Bareleigh, Roughlee i Goldshaw Booth. Ostatnia została już zaatakowana i spalona – bez wątplenia zastałbym tam Kobalosów, a może także ich miejscowych sojuszników.

Po jakiejś półgodzinie zerknąłem na wschód, gdzie Księżyc oświetlał wierzchołki drzew niewielkiego lasu w dolinie. Był to Wiedźmi Jar – jedno z najniebezpieczniejszych miejsc w całym okręgu. Mieszkało w nim wiele martwych czarownic. Większość,

słaba, mogła jedynie pełzać powoli, chwytać myszy, zjadać ślimaki i robaki. Ale nieliczne zachowały pełnię sił i często wypuszczały się nocą na łowy. Miałem nadzieję, że wybiorą sobie za ofiarę nie mnie, lecz kobaloskich wojowników – nie chciałem, by cokolwiek mnie tu zatrzymało. Gdyby jednak jakiś stwór z Mroku stanął mi na drodze, byłem gotowy.

W końcu dostrzegłem cel – ciemną sylwetkę Wieży Malkinów, wyrastającą z polany w sercu Wroniego Lasu. Jej widok przywołał tak wiele wspomnień, w większości niestety złych. Przypomniałem sobie Agnes Sowerbutts, ciotkę Alice, zabita przez naszych wrogów niedaleko wieży. Ostatnio spotkałem ją w Wiedźmim Jarze – dołączyła do grona tamtejszych martwych wiedźm. Czy wciąż tam była? Czarownice nie pozostają w jarze wiecznie; powoli rozkładają się i gniją.

Gdy się zbliżyłem, poczułem woń dymu i ujrzałem na skraju lasu ogniska. To mogły być czarownice: może nawet wrogie Kobalosom. Ale Alice wspomniała, że nasi sojusznicy zamknęli się w wieży. Uznałem, że zbyt niebezpiecznie byłoby podchodzić do ognisk, oddaliłem się zatem, wybierając dłuższą trasę.

Wkrótce znalazłem się na opuszczonym cmentarzu, zarośniętym gąszczem krzaków i młodych drzewek. Wiedziałem, że istnieje przejście, pozwalające uniknąć największej gęstwiny. Miejsce to niewiele się zmieniło od czasu mojej ostatniej wizyty: nagrobki pochylały się pod dziwnymi kątami, większość ukryta wśród rozbuchanej, dzikiej roślinności. Między drzewami dostrzegłem ruiny kościoła – pozostały z niego zaledwie dwie niskie ściany.

Podszedłem do niewielkiego budynku naprzeciwko. Przez jego dach przebił się rozłożysty jawor. Cztery lata temu, gdy pierwszy raz odwiedziłem to miejsce, drzewo było młode, ledwie wyrosnięte; teraz wznosiło się wysoko nad murami. Ruina ta była kiedyś grobowcem, zbudowanym dawno temu dla bogatego rodu; część ich kości wciąż tu leżała. Będę musiał wdrapać się na jedną z półek i przecisnąć przez krawędź do tunelu.

Nagle przypomniałem sobie słowa nieszczęsnej Jenny. Ciekawe, czy tunel wciąż pozostawał tajemnicą? A może wrogowie zastawili

tam na mnie zasadzkę?

Przed wejściem do grobowca wyjąłem z torby lampę i zapaliłem ją, ustawiając przesłony tak, by rzucała światło jedynie na ziemię. Potem pogrzebałem w torbie w poszukiwaniu specjalnego klucza, wykutego przez brata Johna Gregory'ego, ślusarza, i wsunąłem go do lewej kieszeni portek.

Przekonałem się jednak, że pierwsze drzwi jak zwykle stoją otworem. Wszedłem do środka, przestawiając przesłony lampy, która częściowo oświetliła ossuarium. W powietrzu wisiał tu smród zgnilizny i rozkładu. Na większości kamiennych półek spoczywały całe szkielety, ale na jednej kości były poprzekładane. Najpierw wsunąłem w szczelinę torbę, potem laskę i je upuściłem. Nie spadały z wysoka – pierwszy odcinek tunelu był bardzo niski.

Ledwie przecisnąłem się przez otwór, ale nie ryzykowałem zdjęcia z pleców Gwiezdnej Klingi – w ciemności mogło się czaić wszystko. Najniebezpieczniejsza będzie chwila, gdy utknę w przejściu. Trzeba było liczyć się tam z zagrożeniem zarówno ze strony zębów, jak i mieczy – choć Gwiezdna Klinga ochroni mnie przynajmniej przed kobalorską magią.

Wczołgałem się na zimną kamienną półkę i pozostawiając za sobą lampę, zeskoczyłem do tunelu głową naprzód, odruchowo przyjmując postawę obronną. W chwilę później klęczałem już na dole, próbując opanować przyspieszony oddech. Uniósłszy wzrok, spojrzałem w owal żółtego światła w górze. Sklepienie wisiało nisko, nie zostawiając dość miejsca, abym mógł wstać.

Sięgnąłem przez szczelinę i powoli wsunąłem do tunelu lampę, trzymając ją tak, bym widział to, co leży przede mną. Na razie nie dostrzegłem żadnego zagrożenia – może tunel dotąd nie został odkryty? Pozostawało mi tylko na to liczyć.

Ściskając w lewej dłoni laskę i lampę, a w prawej torbę, popęzłem naprzód. Nigdy nie lubiłem pierwszej części tajnego przejścia: nic nie podtrzymywało sklepienia, czułem nad sobą ogromny ciężar ziemi. W każdej chwili wszystko mogło się zawalić, przygniatając i dusząc tego, kto znalazł się w dole.

W końcu tunel doprowadził mnie do komory, dość wysokiej,

abym mógł wstać. Następny odcinek wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem: dość wysoki, żeby dało się przejść swobodnie, i zabezpieczony solidnymi, drewnianymi stemplami. Z początku bardzo wąski, stopniowo rozszerzał się, tworząc owalną jaskinię z niewielkim zatęchłym jeziorkiem pośrodku.

W jeziorku tym mieszkał kiedyś utopiec, stwór stworzony przez czarownice, które uwięziły duszę utopionego marynarza w jego rozdętym ciele. Miał strzec tunelu, ale zabiła go lamia. Teraz mogłem przeprowić się bezpiecznie.

Ścieżka okrążająca jeziorko od lewej była błotnista i śliska, więc stapałem ostrożnie. Nagle woda obok mnie pojaśniała i ujrzałem patrzącą na mnie twarz Alice. Marszczyła czoło, bezdźwięcznie wypowiadając wiadomość.

Grozi ci niebezpieczeństwo, Tomie. Uważaj, proszę, pomoc jest w drodze.

Potem zniknęła, a ja pozostałem, wbijając wzrok w powierzchnię jeziorka. Czyżby czaiły się tam skelty albo nawet wodne wiedźmy? To przecież możliwe, wiedziałem, że woda jest bardzo głęboka i może ukrywać niejedno zagrożenie.

Odsunąłem się od niej zatem w wąski tunel, unosząc wysoko lampę w prawej dłoni, w lewej trzymając torbę i laskę. Zdążyłem postąpić zaledwie kilkanaście kroków, kiedy przede mną coś się poruszyło.

Na pierwszy rzut oka postaci wydawały się ludzkie, nie kobaloskie; zmierzały ku mnie i wkrótce je rozpoznałem.

Były niewiarygodnie chude, o długich rękach i nogach, z ich ust kapiała ślina, po otwarciu odsłaniały długie, ostre jak szpilki zęby...

ROZDZIAŁ

22



STOS CIAŁ

THOMAS WARD

Chociaż nigdy nie widziałem zantich, czytałem no tatki Grimalkin na temat tych stworzeń.

Były to jedne z istot, które wiedźma zabójczyni wyhodowała z próbek znalezionych w ukrytym wewnątrz drzewa domku zabitego przeze mnie haizdana. Eksperymentowała na nich, próbując ustalić ich mocne i słabe strony. Kobalosc magowie używali do walki z ludźmi wielu podobnych stworów bitewnych.

Ich czoła i policzki porastały czarne łuski, niewielkie oczka miały szeroko rozstawione. Owe łuski były bardzo twarde. Zanti, znacznie mniejsze od varteków, także wyhodowanych do bitwy, służyły do walki wręcz.

Zbliżając się, przekrzywiały głowy z boku na bok szybkimi, urywanymi ruchami, jak u ptaków. Wyglądało na to, że jest ich najwyżej siedem, może osiem, ale inne mogły kryć się pośród cieni. Te, które widziałem, ścisnęły w rękach długie noże i krótkie topory – choć tunel był bardzo wąski, zmuszając je, by atakowały pojedynczo. To przechyliło szalę na moją korzyść.

Odłożyłem na ziemię lampę, torbę i laskę, a potem ruszyłem szybko naprzód, dobywając z pochwy Gwiazdnej Klingi.

Zaatakowałem idącego na czele stwora. Okazał się szybki i odparował toporem moje pchnięcie. Niewiele widziałem, ale ciałem ponownie, odrąbując mu chudą lewą rękę tuż przy

ramieniu. Wrzasnął i odskoczył. Jego miejsce natychmiast zajął kolejny.

Szybko się z nim rozprawiłem, tnąc na odlew z lewa w prawo. Z satysfakcją poczułem, jak ostrze wbija się głęboko. Zaatakował mnie trzeci, potem czwarty, ale zadawałem śmierć każdemu stworowi, który śmiał stanąć naprzeciw mnie.

I nagle pozostałe przy życiu zanti jednocześnie zawróciły i uciekły. Mimo to wciąż czułem niepokój. Stwory zbyt łatwo się poddały – bez wątpienia wysłano je tylko na zwiad. Teraz wracały, by wezwać posiłki; pewnie wybiorą lepsze miejsce do walki, takie, w którym w pełni odczuję ich przewagę liczebną.

Alice jednak mówiła, że pomoc jest już w drodze. Za mną, przy wejściu w tunelu i na cmentarzu czaili się wrogowie, z pewnością stamtąd nie nadejdzie wsparcie. Gdzież indziej mogło czekać niż w wieży nade mną? Instynkt nakazywał mi iść dalej.

I wtedy wyczułem ruch z tyłu. Odwróciłem się i uniosłem lampę, dostrzegając charakterystyczny kształt kolejnej istoty. Miałem rację, nieufnie okrążając jeziorko – w głębinie istotnie kryło się niebezpieczeństwo. Stąpając na wielu nogach zbliżał się ku mnie skelt; inne biegły za nim tunelem, unosząc groźnie kościane rury.

Zanim wyłoniły się z wody, zaczekały na mój ruch, by móc odciąć mi drogę. Tkwiłem w pułapce; teraz zagrożenie miałem zarówno przed, jak i za sobą.

Wsunąłem miecz do pochwy, chwyciłem laskę, torbę i lampę i pobiegłem naprzód tunelem. Przede mną drzwi wiodące w górę wieży stały otworem. Wyglądało to niemal jak zaproszenie – bez wątpienia po drugiej stronie czyhały zanti.

Nie bacząc na nic, przebiegłem przez próg i uniosłem lampę, by rozświetlić ciemność. Widziałem przejście przed sobą i cele ciągnące się po obu stronach. To tu Malkinowie trzymali kiedyś więźniów. Czyżby w środku ukrywały się zanti, gotowe na mnie skoczyć?

Zamknąłem za sobą drzwi i wyciągnąwszy z kieszeni portek klucz, wsunąłem go do zamka. Musiałem chwilę pomajstrować, zanim się obrócił, ale rzadko mnie zawodził. Teraz drzwi były

zamknięte i nie wątpiłem, że są dość mocne, by powstrzymać skelty. Jedno miałem już z głowy, ale ile zantich czekało na mnie w ukryciu?

Ostrożnie ruszyłem w głąb korytarza, kolejno sprawdzając cele. Przy pierwszych dwóch przystanąłem, unosząc laskę, i rozejrzałem się w lewo, potem w prawo. Były puste. Dostrzegłem tylko kości tych, którzy zmarli w niewoli. Podszedłem zatem do następnej, także pustej...

Ale czwarta...

Najpierw ostrzegł mnie smród krwi, potem zajrzałem do środka i ujrzałem stertę trupów. Były to martwe wiedźmy – ich ślepe oczy patrzyły szeroko w pustkę, zeszywniałe twarze wykrzywiały grymasy bólu i grozy, pokrywała je krew tworząca wokół czerwoną fosę. Uświadomiłem sobie, że zginęły bardzo niedawno – krew wciąż kapłała im z ran.

Przyjrzawszy się bliżej, odkryłem, że należały do więcej niż jednego klanu z Pendle. Dwa z nich niczym szczególnym nie odróżniały się od siebie, po samym stroju i broni nie da się stwierdzić, czy czarownica należy do klanu Malkinów, czy Deane'ów. Ale Mouldheelowie zawsze chodzili na bosaka, a zauważyłem, że część martwych czarownic nie nosi szpiczastych trzewików. Nie pogubiły ich też w walce – widziałem stwardniałe, pożółkłe podeszwy. I wtedy rozpoznałem jedną z nich. To była Beth, siostra Mad Mouldheel. Spojrzałem na nią z góry.

Czy to właśnie pomoc, która wysłała mi na spotkanie? Czyżby zanti zmasakrowały czarownice? Jeśli tak, ile tych stworów czeka na mnie w wieży?

I nagle do głowy przyszła mi nieznośna myśl.

A jeśli Alice także zginęła? Co, jeśli jej ciało to część tego kopca umarłych? I nagle dostrzegłem coś tak strasznego, że zachwiałem się na nogach i o mało nie upadłem. Jedna z nóg sterczących ze stosu nosiła znajomy szpiczasty trzewik.

Wyglądał jak but Alice.

ROZDZIAŁ

23



SCHRONIENIE WIEDŹM

THOMAS WARD

Zacząłem gorączkowo ściągać trupy ze stosu, zsuwając je na ziemię i odgarniając tak, by dotrzeć do stopy w trzewiku. Kiedy mi się udało, odetchnąłem ciężko z ulgą, cały rozdygotany. But bardzo przypominał trzewik Alice, ale nie należał do niej.

Nadal ściągałem czarownice ze sterty, uważnie oglądając każdą martwą twarz – szukałem Alice z rozpaczliwą nadzieją, że jej nie znajdę.

W końcu skończyłem ponurą robotę i odczekałem chwilę, by mój oddech się uspokoił.

Przyglądałem się rozrzuconym po całej celi trupom i nagle poczułem łzę, ściekającą po policzku. Zadrżałem ze wzruszenia. W końcu odetchnąłem głęboko i zdołałem zapanować nad ciałem. Zabrałem kij, torbę i lampę i wyszedłem na korytarz. Po drodze ostrożnie zaglądałem do kolejnych cel. Prócz kilku szkieletów i pojedynczych kości nie było w nich jednak nic.

Wkrótce dotarłem do wielkiej, okrągłej sali pośrodku piwnic. Słyszałem kapanie wody – starożytną wieżę otaczała przeciekająca fosa, a to pomieszczenie leżało głęboko pod nią. Nasłuchiwałem jednak innych dźwięków: wszystkiego, co mogłoby sugerować, że w pobliżu czają się zanti.

Komora wyglądała mniej więcej tak, jak ją zapamiętałem.

Wysokie sklepienie podtrzymywało pięć filarów, obwieszonych łańcuchami i kajdanami. Brakowało jednak dwóch rzeczy: drewnianego stołu z narzędziami tortur i metalowego żarnika, w którym czarownice rozgrzewały swoje noże, szczypce i kleszcze.

Może Malkinowie przestali torturować nieprzyjaciół... Natychmiast jednak odrzuciłem tę myśl – mało prawdopodobne, by aż tak się zmienili. Z pewnością otwarty konflikt pomiędzy klanami nie zniknął. Powróciłem myślami do sterty trupów, na której spoczęły czarownice ze wszystkich trzech klanów. Z pewnością oznaczało to, że Alice się udało, zdołała zawiązać sojusz między nimi, a one zgodziły się walczyć ze wspólnym wrogiem – choć jeśli tak, nie udało im się zwyciężyć.

Powiodłem wzrokiem po kamiennych stopniach, biegnących spiralą wzdłuż muru wieży – wiodły do klapy dającej dostęp na wyższe poziomy. Klapa stała otworem. Czyżby zanti przeszły przez nią? A może wciąż przebywały na tym poziomie? Były tu też inne korytarze i cele; mogły ukryć się w którejś z nich.

Kierując się instynktem, tak jak nauczył mnie mój mistrz, postanowiłem wspiąć się na wyższe piętra wieży. Z pewnością gdzieś tam czekała Alice. Przy klapie zajrzałem w górę, ale ujrzałem tylko nieprzeniknioną ciemność; mogło się tam przyczaić wszystko. Odłożyłem laskę i torbę i uniosłem lampę, przytrzymując ją w wejściu, póki nie ujrzałem wilgotnej krzywizny ściany za nią.

Nic się nie poruszało. Słyszałem tylko kapanie wody. Wystawiłem z dziury głowę i ramiona, potem jeszcze wyżej uniosłem lampę. Schody wspinały się spiralą w górę, były jednak opuszczone; poza odgłosem kapania wszędzie zalegała cisza.

Odstawiłem szybko lampę, torbę i laskę na kamienną posadzkę przy przejściu i przecisnąłem się przez otwór. I wtedy natychmiast usłyszałem dźwięk dochodzący z góry – brzęk metalu.

Zamarłem w miejscu, czekając, ale dźwięk się nie powtórzył. Powiodłem wzrokiem wzdłuż wąskich, krętych schodów, które znikwały w ciemności. Sprawiały wrażenie bardzo śliskich – zielony śluz porastający ściany w końcu skolonizował schody. Bez

wątpienia przez kamienne dno fosy przeciekało coraz więcej wody. Im wyżej się wespnę, tym większe grozić mi będzie niebezpieczeństwo: jedno poślizgnięcie może mnie kosztować życie.

Przypomniałem sobie, że Jenny nie przepadała za wysokością. Te śliskie stopnie z pewnością by ją wystraszyły, choć była odważna i tak by się na nie wspięła. Tak dobrze byłoby mieć ją teraz obok siebie! Co dwie głowy, to nie jedna, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi ocena zagrożenia. Tęskniłem za nią.

Zabrałem rzeczy i zacząłem powoli się wspinać, mocno przyciskając prawe ramię do ściany i próbując nie patrzeć w dół. Wzdłuż schodów także ciągnęły się cele, musiałem więc uważać. Gdzieś mogły ukryć się zanti.

Było zimno, mój oddech parował w powietrzu. Kiedy dotarłem do pierwszej celi, uniosłem wyżej światło, by zajrzeć do środka. Ziała pustką, podobnie pozostałe. W końcu dotarłem do tej, którą zapamiętam na całe życie. Czarownice więziły tam mojego brata Jacka, jego żonę i córeczkę, sprowadzonych do Pendle przez wiedźmy, które napadły na farmę. Ta cela także była pusta.

Wspinałem się dalej, moje kroki odbijały się echem od kamieni. Byłem już blisko szczytu, jeszcze trochę i... Co tam zastanę? Chciałem, by Alice czekała na mnie, ale niezbyt na to liczyłem. Serce ze zgrozą tłukło mi się w piersi, nie mogłem znieść myśli o tym, że mógłbym ją znów stracić. Pomoc, którą przyrzekła, nie przybyła – a potem znalazłem mnóstwo martwych czarownic. Gdyby wszystko poszło dobrze, Alice z pewnością wiedziałaby, że się zbliżam, i zeszlaby mi na spotkanie. Fakt, iż się nie pojawiła, nie wróżył niczego dobrego.

Zastanawiałem się, co mogłoby powstrzymać kogoś władającego tak potężną magią. Może przeważające siły wroga – hordy zantich albo Kobalosów? A może Balkai, najpotężniejszy mag z Triumwiratu? To on bez wątpienia stworzył niebezpieczne tulpy, na które się natknąłem, ale sam dotąd się nie pokazał.

Istniała tylko jedna gorsza możliwość: bezpośrednie działanie Talkusa.

Kłapa na szczycie schodów stała otworem: pomyślałem, iż to

dziwne, że nie jest zamknięta i strzeżona. Przeszedłem przez nią do magazynu pełnego zapasów – worków kartofli, marchwi, rzepy i brukwi – skąd ruszyłem dalej do większego pomieszczenia. Tam właśnie mieszkali Malkinowie i tam pracowali nad swymi zaklęciami. Na chwilę zatrzymałem się, wodząc dokoła wzrokiem. Pomieszczenie było pełne czarownic.

Zgromadziło się tam co najmniej dwieście wiedźm z Pendle, choć poza chrapaniem kilkunastu z nich w sali panowała cisza. Większość kobiet spała. W powietrzu wisiała woń potu i jedzenia. Gdzie tylko spojrzałem, dostrzegałem worki, materace i brudne talerze.

W najdalszym kącie trzynaście wiedźm usiadło na podłodze, krzyżując nogi. Nie odzywały się, ale twarze miały skupione, nieruchome. Jedną czy dwie rozpoznałem. Coś migotało w powietrzu nad nimi. Pojąłem, że to krąg Malkinów, tworzący magiczne zaklęcie.

Teraz w moją stronę zaczęły zwracać się kolejne głowy – bez wątpienia kłapa pozostała niestrzeżona, bo sądziły, że na dole czuwają wiedźmy. Nikt jeszcze nie wiedział, że zginęły.

Dwie czarownice stojące z boku podeszły do mnie natychmiast. Pierwszej nie znałem: wysoka i groźna, marszcząc brwi, spoglądała na mnie jak na śmiertelnego wroga. Za pasem nosiła siedem długich noży, na łańcuszku na szyi powiesiła cienką, drewnianą rurkę. Trochę przypominała Grimalkin. Czyżby to była nowa zabójczyni klanu Malkinów?

Drugą wiedźmę, bosonogą, znałem natomiast aż za dobrze. To była Mab, młoda przywódczyni Mouldheelów. Miała długie, jasne włosy, zielone oczy i całkiem ładną twarz, choć wiedziałem, że nie mogę jej ufać; była wiedźmą krwi i czasami z ust cuchnęło jej gorzej niżli z pyska psa.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Dobrze cię widzieć, Tomie. No, no, ależ wyprzystojniałeś! Gdzie jest Beth, moja paskudna siostra? Cieszę się, że cię znalazła i sprowadziła tu bezpiecznie – dodała, patrząc mi przez ramię, jakby spodziewała się lada moment ujrzeć siostrę.

Nie istniał łatwy sposób przekazania jej nowin. Druga siostra Mab zginęła, walcząc po naszej stronie w bitwie o Kamień Strażniczy. Teraz dołączyła do niej bliźniaczka.

– Przykro mi, Mab, ale mam złe wieści. Twoja siostra nie żyje, zanti zabiły ją oraz wszystkie inne wiedźmy, które posłałyście mi z pomocą, jeszcze przed moim przybyciem. Znalazłem ich ciała w celach na dole.

Mab krzyknęła przesywajaco i ukryła twarz w dłoniach. Druga czarownica zacisnęła palce wokół rękojeści jednego z długich sztyletów; wyglądała, jakby miała ochotę wyciąć mi serce.

– Gdzie jest Alice? – spytałem, nie zwracając uwagi na jej wrogą minę.

– Ktoś po nią przyszedł – oznajmiła ze złośliwym uśmiechem. – Ma na głowie ważniejsze rzeczy niż siedzenie tu i czekanie na ciebie. Odeszła z magiem Lukrastą.

ROZDZIAŁ

24



MAKRILDA, WIEDZMA ZABÓJCZYNI

THOMAS WARD

Gapiłem się na nią, próbując zrozumieć, co powie działa. Jak Alice mogła odejść z Lukrasta, który nie żył?

I w tym momencie nagle opadły mnie wątpliwości. Czy naprawdę nie żył? Tak twierdziła Alice, ale może kłamała? Fakt, iż pospieszyłem ku niej, kosztował Jenny życie. Nie mogłem znieść myśli, że mnie zdradziła.

Nie, bardziej prawdopodobne, że to stojąca przede mną czarownica kłamie, uznałem.

– To prawda? – spytałem, kierując na nią cały swój gniew.

– Uważaj, stracharzu, niebezpiecznie nazywać mnie kłamczynią – syknęła. – Jestem Makrilda, wiedźma zabójczynie klanu Malkinów. Twoje kciuki świetnie uzupełniłyby mój zbiór kości, więc nie dawaj mi pretekstu, bym je odcięła!

Przepełniała mnie wściekłość tak ogromna, że straciłem panowanie nad sobą. Zamiast odetchnąć głęboko i opanować się, wystąpiłem naprzód i uderzyłem ją mocno w prawe ramię otwartą dłonią. Poleciała chwiejnie do tyłu, szybko jednak odzyskała równowagę.

W chwilę później trzymała już noże.

Makrilda zaatakowała. Okazała się szybka...

Ale ja byłem szybszy.

Kiedy skoczyła ku mnie, trzepnąłem ją kolejno w przeguby

końcem laski, wytrącając jej broń z rąk. Potem wysunąłem kij, ustawiając go za lewą kostką czarownicy. Tej sztuczki nauczył mnie Bill Arkwright.

Kiedy nasze ramiona się zetknęły, poleciała do tyłu. Stałem, patrząc na nią z góry. Wiedziałem, że Grimalkin nigdy nie powaliłbym tak łatwo.

Ale walka jeszcze się nie skończyła. Makrilda podniosła się na kolana, sięgając po kolejne klingi.

W tym momencie między nas wbiegła Mab.

– Co za głupota! – wykrzyknęła. – Mamy ze sobą współpracować!

Przytaknąłem i zawstydzony opuściłem laskę. Nie powinienem był tak zareagować, ale ostatnio zdarzyło się zbyt wiele złego i nie byłem sobą.

– Posłuchaj, nie chciałem sugerować, że kłamiesz – rzekłem do dźwigającej się z ziemi wiedźmy zabójczynie. – Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Po prostu bardzo trudno mi w to uwierzyć. – Próbowałem zachować spokój. – Sądziłem, że Lukrasta nie żyje.

– Ależ żyje, Tomie, bez wątpienia. – Mab otarła mokrą od łez twarz grzbietem dłoni. – Ma ręce wykute ze srebra, jednak nasycone życiem, poruszają się zupełnie jak ciało, kość i skóra. Bardzo długo rozmawiał z Alice, a potem oboje zniknęli bez słowa. Niewątpliwie mają do zrobienia coś ważniejszego niż pomaganie nam tutaj. Moja siostra zginęła, próbując cię ocalić: to Alice prosiła, by poprowadziła te wiedźmy z odsieczą. A potem nie została nawet, aby przekonać się, czy nic ci się nie stało!

Alice opowiadała, że Kobalosi odrabali Lukraście dłonie, toteż historia o srebrnych rękach potwierdzała słowa Makrildy. Pewnie zastąpił je nowymi dzięki swej potężnej magii. Zalała mnie cała fala sprzecznych uczuć, przeważała wśród nich zazdrość.

Alice znów odeszła z Lukrastą. Powtarzałem sobie jednak w duchu, że jako ziemna wiedźma służy Panu. Jeżeli bóg nalegał, mogła nie mieć wyboru.

Drugim uczuciem był strach.

W mojej głowie pojawiła się niepokojąca myśl. Przypomniałem sobie dwie napotkane już tulpy. Za każdym razem całkowicie w nie

uwierzyłem. A co, jeśli Lukrasta także był tulpą?

Istniała jeszcze jedna niepokojąca możliwość. Otóż kobaloscy magowie świetnie umieli tworzyć złudzenia i oszukiwać. A jeśli Balkai przybrał postać ludzkiego maga? Ostatecznie w północnej Polyzni Lenklewth, inny kobaloski mag, także udawał kiedyś Lukrastę. Złudzenie okazało się wystarczająco realne, by oszukać mnie i Grimalkin. Całkiem możliwe, że naszym wrogom udało się schwytać Alice.

Między mną a Makrildą panował kruchy rozejm. Wciąż zerkała na mnie gniewnie i wiedziałem, że pewnego dnia poszuka zemsty za to, co zrobiłem. Nie wszystkie czarownice spały, a krąg także oglądał nasze starcie. Makrilda została pokonana przez stracharza, z pewnością ucierpiała na tym jej duma. Mogła odzyskać twarz jedynie, gdyby mnie zabiła.

Ja jednak miałem na głowie większe zmartwienia.

Krąg Malkinów zdecydował, że najlepszą formą obrony jest atak. Zamiast odnaleźć i odpędzić zanti, które wtargnęły na niższe poziomy wieży, zablokowali i zamknęli dolną klapę, by nie mogły wydostać się spod ziemi. Teraz zamierzali zaatakować wrogów za murami, począwszy od odbicia tego, co zostało z Goldshaw Booth, wioski Malkinów.

Wkrótce staliśmy już przed wielkimi głównymi wrotami wieży. Usłyszałem brzęk i szcęk łańcuchów, gdy więdźmy uruchomiły mechanizm zwodzonego mostu. Powoli opadł na fosę, szcęknięty rygle, odblokowując drzwi.

Makrilda poprowadziła atak. Czarownice Malkinów wypadły na przeciwległy brzeg – groźne, odziane w czarne suknie niewiasty, ściskające w dłoniach noże, niektóre przywiązane do długich tyczek. Za nimi podążała Mab i Mouldheelowie, następnie kilka więdźm z klanu Deane'ów i ja. Byłem gotów walczyć, ale zachowywałem czujność. W tym ataku wyczułem cień desperacji.

Przybyłem do Wieży Malkinów nie tylko po to, by być z Alice, ale by pomóc bronić jej przed Kobalosami. Trudno by im było przebić

się przez umocnienia. Czy atak istotnie stanowił najlepsze wyjście? Kto wie, jakie siły staną naprzeciw nas? Nie byłem gotów poświęcić życia, marnując je w niemądrej, skazanej z góry na niepowodzenie szarży – choć tkwienie w pułapce wewnątrz wieży też nie miało sensu. Czarownice zostawiły niewielki oddział, by jej bronił, na dole jednak zapewne wciąż czaiły się zanti; jeśli atak się załamię, w końcu wyważą klapę.

Wieża Malkinów leżała na obrzeżach Diabelskiego Trójkąta. Jego północny wierzchołek tworzyła wioska Bareleigh, dom Mouldheelów; na południowym wschodzie leżało Roughlee, wieś Deane'ów; my zmierzaliśmy na południowy zachód, w stronę Goldshaw Booth, tworzącej trzeci czubek mrocznego trójkąta. Wkrótce zostawiliśmy za sobą drzewa Wroniego Lasu; kiedy się obejrzałem, wciąż widziałem wyrastającą nad nimi wieżę.

Klan Malkinów pędził przez polanę między kolejne drzewa, wymachując bronią, wrzeszcząc i wydając bojowe okrzyki. Czarownice spodziewały się bitwy, lecz ukryci tam wrogowie już się wycofali. Zwolniliśmy zatem kroku, drepcząc po podmokłej ziemi w stronę Goldshaw Booth. Oddziałem wciąż dowodziła Makrilda, ja tymczasem trzymałem się na tyłach głównej grupy czarownic.

Księżyc zdążył już zająć, niebo na wschodzie powoli jaśniało. Z prawej strony masyw wzgórza Pendle przesłaniał większą część nieboskłonu. Ocenilem, że wkrótce dotrzemy do wioski. Przed sobą nie widzieliśmy żadnych ognisk, ale w powietrzu wisiał dym, czułem jego smak w głębi gardła.

W dali słyszałem coś przypominającego głucho grzmoty, dobiegało od strony Burnley... może to ogień osiemnastofuntowego działa? W Burnley mieściły się koszary. Może żołnierze z Hrabstwa walczyli z Kobalosami?

Zbliżywszy się do wioski, ujrzeliśmy zaścianające ziemię ciała – tak wiele, że musieliśmy lawirować między nimi. To był czarownice Malkinów, które zginęły, broniąc osady. Wkrótce jednak uświadomiłem sobie, że widzę też co najmniej tyle samo kobaloskich wojowników i jeszcze więcej zantich.

Magowie Kobalosów pragnęli wyeliminować czarodziejskie zagrożenie ze strony wiedźm z Pendle i po części spełnili swój zamiar. Liczba wiedźm w klanie Malkinów – przynajmniej tych umiejących walczyć i władać mroczną magią – zdecydowanie zmalała, nadal jednak przy życiu pozostał trzynastoosobowy krąg.

I wtedy przed nami rozległy się krzyki i charakterystyczne odgłosy bitwy. Przednia straż Malkinów natknęła się na wroga.

Zacząłem przepychać się naprzód przez tłum wiedźm. Gdy dotarłem do walczących, odłożyłem na ziemię torbę i laskę i wyciągnąłem z pochwy Gwiazdną Klingę – akurat by stawić czoło pierwszemu z zantich. Zacząłem ciąć mieczem i zadawać pchnięcia – z morderczym skutkiem.

Wkrótce zatraciłem się w walce, zadając i parując ciosy, nieustannie posuwając się naprzód. Uszy wypełnił mi brzęk broni oraz krzyki rannych i umierających. Zobaczyłem Makrilde z przodu, po lewej: walczyła bardzo sprawnie, pełna furii. Wątpiłem, czy kiedykolwiek dorówna Grimalkin, ale nie mogłem zaprzeczać, że wróg cofał się przed nią. Kto wie, co z czasem osiągnie?

Najpierw jednak musiała przeżyć tę bitwę.

Z początku wyglądało na to, że wygrywamy; napieraliśmy i krok za krokiem pchaliśmy Kobalosów i zantich do tyłu. Potem jednak wszystko się zmieniło.

Nagle kończyny zaciążyły mi jak ołów, ledwie byłem w stanie odetchnąć. Natychmiast pojąłem, że ktoś używa przeciw nam mrocznej magii. Przypominało to lawinę pędzącą górskim zboczem, grożącą wszystkiemu na drodze zmiążdżeniem i powaleniem.

Doświadczyłem czegoś podobnego w bitwie o Kamień Strażniczy. Użyto wówczas przeciw nam tak potężnej magii, że przez jakiś czas żaden z członków naszych oddziałów, w tym wiele czarownic, nie mógł postąpić nawet kroku naprzód. Ale siódmi synowie siódmych synów dysponują pewną odpornością na magię Mroku i mój mistrz John Gregory pierwszy zdołał oprzeć się zakłęciu. Wkrótce dołączyła do niego Grimalkin. Walczyli ramię w ramię, dopóki nie zginął. Tymczasem rozdzielił nas tłum, nie widziałem

nawet, jak pada.

Teraz wyglądało to podobnie: czułem odpychające mnie w tył uderzenie mrocznej magii. Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, bo ścisnąłem w dłoni Gwiazdną Klingę, ale rozejrzałem się i ujrzałem wykrzywione w napięciu twarze czarownic. Niektóre próbowały mamrotać przeciwzaklęcia, lecz oczy wychodziły im z orbit, a skóra napinała się mocno na policzkach, jakby stawiała czoło huraganowi.

Odkryłem, że Makrildzie grozi poważne niebezpieczeństwo. Napierał na nią potężny wojownik, odziany w pełną zbroję, pozbawioną tylko hełmu. Wciąż była w stanie walczyć, ale zadawała tylko ospałe, słabe ciosy. Wiedziałem, że skrepowana przez magię Kobalosów wkrótce padnie ofiarą wirujących szabel.

I nagle zrozumiałem, że stojący przed nią Kobalos to ktoś więcej niż zwykły wojownik. Twarz miał wygoloną: był magiem; sądząc z postaci na pewno jednym z wysokich.

Zastanawiałem się, czy to Balkai. Czy to z niego promieniowała moc, która zatrzymała nasze natarcie?

ROZDZIAŁ

25



PORTAL

GRIMALKIN

Stojąc obok Thorne, ponownie połączyłam moc kotła z tą ukrytą wewnątrz mnie. Cztery ścieżki zaczęły obracać się powoli; wkrótce wirowały tak szybko, że ledwie je rozróżniałam. Przez jakiś czas było ich znacznie więcej. Nigdy dotąd nie próbowałam czegoś tak trudnego. Tym razem musiałam uzyskać dostęp do dwóch miejsc.

W końcu mi się udało. Przed sobą na końcu ścieżki widziałam zamek w Polyzni. Gdy odwróciłam się, by spojrzeć w przeciwną stronę, między drzewami zobaczyłam mroczną wieżę w Cymru.

Raz jeszcze obróciłam się na pięcie i ruszyłam ścieżką w kierunku zamku.

Tym razem dotarcie na ziemię okazało się łatwiejsze. Niemal nie czułam bólu – jedynie lekki dyskomfort, który minął po paru sekundach. Zastanawiałam się, czy to dlatego, że tak długo uodparniałam się na wszelki ból. Za życia zdołałam nawet zignorować nieustanne cierpienia, zadawane przez srebrną śrubę łączącą strzaskane kości nogi. Może siła ta towarzyszyła mi w Mroku? Jeśli tak, treningi na coś się jednak przydały.

Tak czy inaczej, skutki okazały się pozytywne. Wcześniej chwila lądowania na ziemi była dla mnie bardzo niebezpieczna ze względu na osłabienie. Teraz mogłam pojawić się i natychmiast zaatakować nieprzyjaciół, niezależnie od sytuacji.

Dotarłam na skraj lasu i zatrzymałam się, patrząc na zamek, należący kiedyś do księcia Stanisława. Sam książę już nie żył – zginął w bitwie, a jego twierdza znalazła się teraz w rękach Kobalosów.

Była ciemna, pochmurna noc: ani gwiazd, ani księżyca. Jednakże zielonkawy blask sprawiał, że wciąż widziałam wyraźnie każdy szczegół, ostrzej nawet, niż gdy oglądałam je za życia. Z tego, co pamiętałam, zamek nie bardzo nadawał się do obrony. Służył za rezydencję myśliwską, książę Stanisław przyjmował tu szlachtę. Gdy pierwsi Kobalosi przekroczyli Shannę, siły księcia opuściły tę budowlę.

Nie widziałam zbyt wielu nieprzyjaciół – pół tuzina wojowników strzegło głównego wejścia. Oczywiście front znajdował się setki mil dalej na południu i większość żołnierzy tam właśnie stacjonowała. Pewnie zakładali, że zamek leżący daleko na tyłach jest bezpieczny i nic mu nie zagraża.

Teraz spróbuję wcielić w życie plan Lukrasty.

Mój cel stanowiła najwyższa z wież – to tam krył się portal, wiodący do kryjówki Talkusa. Szybko zamieniłam się w kulę i poszybowałam nad drzewami w stronę wieżyczki. Przenikając przez wiekowe kamienie, znalazłam się na szczycie spiralnych kamiennych schodów, naprzeciw ciężkich dębowych odrzwi. Ku memu zdumieniu stały otworem, zwisając na zawiasach; ktoś wyważył je, by dostać się do środka. Wiedziałam, że Jenny zamknęła je po wyjściu. Kto zatem to uczynił?

Powróciłam do ludzkiej postaci, dobyłam długiej klingi i przekroczyłam próg. Znalazłam się w niewielkim przedpokoju. Stał tam stół i krzesła, pokryte grubą warstwą kurzu. Portal leżał za kolejnymi drzwiami, które także wyważono. Kiedy tam weszłam, przekonałam się, że oprócz dwóch ciał leżących na progu – bez wątplenia żołnierzy kobaloskich, którzy wdarli się tam w poszukiwaniu łupów – wszystko wygląda dokładnie tak, jak opisała Jenny. Ciała były suche i skurczone, miejscami spalone do kości. Targon, strażnik portalu, poraził intruzów.

Kiedyś mieściła się tu urządzona z przepychem komnata, ale

wilgoć wszystko zniszczyła. Woda ściekała z sufitu, nasiąknięte nią dywany ciemniały od pleśni. Cztery kanapy otaczały coś, co wyglądało jak ciemna studnia – to właśnie był portal wiodący do krainy Talkusa.

Jenny opowiadała o tym, jak kieliszek od wina stojący na kamiennym obramowaniu portalu sam zapełnił się czerwonym trunkiem, nawet bez udziału widmowych dłoni – lecz rozchodzący się w powietrzu smród uświadomił jej szybko, że to nie wino, lecz krew. Następnie upadł w mrok. Czekąca, aż usłyszy plusk... nigdy jednak nie dotarł do dna i wtedy pojęła, iż studnia stanowi przejście do kobaloskiej magicznej, mrocznej krainy. W chwilę później w pomieszczeniu zrobiło się cieplej i ujrzała straszliwego, mackowatego strażnika.

Teraz jednak nie czułam ciepła, tylko wilgotny ziąb. Może strażnik wykryje moją obecność i wyjdzie mi na spotkanie? Czekałam, ale nic się nie działo, więc precisnęłam się między kanapami i odwróciłam długi sztylet. Poskrobałam czubkiem o kamienie; zgrzyt wypełnił całą komnatę, odbijając się echem w głębi portalu.

I tym razem nie doczekałam się reakcji.

Przechyliłam się przez obramowanie i zajrzałam w ciemność. Potem zebrałam w ustach ślinę i splunęłam w mrok.

– Tu jestem! – zawołałam. – Chodź i staw czoło Grimalkin, jeśli się wazysz!

Coś poruszyło się daleko w dole, ciepło owiało mi twarz, po chwili zamieniło się w gorąco i kamienie zaczęły parować. Temperatura wzrastała gwałtownie. Coś zaczęło podnosić się w studni ku mnie. Teraz kamienie syczały, rozbryzgując wokół drobinki wilgoci. A potem stwór w dole odetchnął głęboko, wciągając powietrze w płuca niczym wielki miech w kuźni Hefajstosa.

Cofnęłam się odrobinę, bo wiedziałam, czego się spodziewać. Nad portalem pojawiła się potężna, lśniąca masa i zawisła w powietrzu nad nim. Długie macki rozwijały się i skręcały, płonące oczy spoglądały na mnie gniewnie. Targon cuchnął zgnilizną i rozkładem.

Znów się cofnęłam, powoli kierując się w głąb komnaty. Duch kobaloskiego maga nawiedzający którąś z wież wyjaśnił Tomowi i Jenny, że ów mroczny strażnik był tu uwięziony i nie mógł opuścić portalu, choć mackami sięgał z pewnością do najdalszego zakamarka pomieszczenia.

– Tu jestem, ty paskudna kupo śluzu! – rzuciłam drwiąco. – Tutaj!

Pomachałam nożem, a on zaczął sunąć w moją stronę, wyciągając macki. Gdy tylko mnie dosięgnął, schowałam klingę i ponownie zamieniłam się w kulę światła.

Poszybowałam nad nim i pomknęłam wąską szczeliną pomiędzy olbrzymim łuskowatym grzbietem i sufitem. A potem zanurkowałam w czerń portalu, kierując się do kryjówki Talkusa.

ROZDZIAŁ

26



DWIE WIEŻE

THOMAS WARD

Parłem naprzód, uniósłszy miecz w gotowości. Gdyby mag pokonał zabójczynię Malkinów, czarownice straciłyby serce i rozbiegły się, byłem tego pewien. Nadszedł krytyczny moment bitwy.

Z wielkim trudem przebijałem się do Makrildy. Już myślałem, że się spóźniłem – upadła na kolana, bezradna wobec opadających szabel rosłego maga. Jednak czystą siłą woli, bez wątpienia wspomagana wrodzoną odpornością na mroczną magię, zdołałem dotrzeć na miejsce i stanąć między magiem a czarownicą.

Dostrzegłem, jak Kobalos zerka na Gwiazdną Klingę, potem jednak zaatakował, wywijając młyńce bronią. Cofnąłem się o dwa kroki i ciąłem w dół, celując w jego lewe ramię. Z wprawą zablokował mój atak, lecz sama siła zderzenia sprawiła, że zachwiał się i odskoczył o krok.

Teraz mag wyprostował się na całą swoją wysokość, patrząc na mnie wyniośle i arogancko.

– Wiedziałem, że pewnego dnia się spotkamy. Przewidziałem też wynik naszego starcia: twoją śmierć – rzucił chełpliwie. – Przyszedłem na świat po to, by cię zabić.

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Czy zwą cię Balkaim? – spytałem, uświadamiając sobie, że bitwa wokół nas ustała: wszyscy czekali, co się teraz wydarzy. Mag

pokonał już Makrildę; gdybym i ja padł pod jego szablami, on i Kobalosi zwyciężyliby.

– Nie, mam na imię Kordo – odparł. – Balkai to największy ze wszystkich magów, władający znacznie większą magiczną i fizyczną mocą niż ta, o której ja mógłbym kiedykolwiek marzyć. Mimo to, to ja zakończę twoje życie. Ten miecz cię nie ochroni.

Przez moment poczułem rozczarowanie, odkrywając, że to nie Balkai. Zabicie najwyższego maga stanowiłoby znaczący krok na drodze do zwycięstwa. Jeśli jednak pokonam tego tutaj, odwrócę przynajmniej losy bitwy.

– To, czego nie przewidziałeś, to twój własny zgon – odparłem. – Na prorocत्वach nie można polegać; nawet najlepsi widzący nie potrafią ujrzeć własnej śmierci. Twierdzisz, że widziałeś moją? Cóż, dowiedz się tego, nim zginiesz. Z każdym kolejnym krokiem sami tworzymy swoją przyszłość. Nic nie jest z góry ustalone: zupełnie nic!

Tego nauczył mnie mój mistrz, John Gregory. I szczerze w to wierzyłem.

A potem zaatakowałem, odpierając Korda do tyłu. Dobrze walczyłem, wkrótce jednak przebiłem się przez jego zasłonę i miecz przeciął zbroję wysoko na lewym ramieniu przeciwnika.

Zbroje noszone przez kobaloskich wysokich magów przypominały długie kolczugi z zachodzącymi na siebie metalowych płyt; ich rąbek opadał poniżej kolan, chroniły nawet gardło. Jednak z jakiejś przyczyny magowie ci często walczyli bez hełmów. Nie wiedziałem, czy kieruje nimi niemądra odwaga, czy też ma to zachęcać przeciwnika, by skupił się na głowie, której obrony specjalnie się uczyli. Ale o dziwo fakt, iż Kordo nie nosił hełmu, sprawiał, że nie miałem ochoty atakować odsłoniętej części ciała.

Poza tym zbroja, choć imponująca, nie mogła ochronić go w pełni przed Gwiazdną Klingą. Przeciąłem już wcześniej podobny pancerz. Co więcej, kiedy przepełniała mnie wiara w siebie, moc Gwiazdnej Klingi rosła. Teraz czułem, jak reaguje na każde drgnienie mięśni, na każdy, nawet najlżejszy ruch rąk i nóg, jakby stanowiła przedłużenie mojego ciała.

W głębi duszy wiedziałem, że jestem wystarczająco zręczny i szybki, by zabić tego maga wojownika. Nigdy nie czułem większej pewności siebie. Wciąż napierałem na niego, zmuszając, by cofał się krok za krokiem. Teraz zacząłem odrąbywać kawałki pancerza: płytę nisko na lewym boku, kolejną wysoko na prawym ramieniu, z którego zaczęła sączyć się krew.

Uważałem, by nie popełnić żadnego błędu, sam bowiem nie nosiłem zbroi: jedno celne trafienie dwóch szabel mogło mnie okaleczyć albo wręcz zabić.

Gdybym jednak zaczął tracić przewagę, miałem w zanadrzu jeszcze jedną sztuczkę: dar, który w przeszłości kilkakrotnie ocalił mi życie. Potrafiłem spowalniać, a nawet zatrzymać bieg czasu. Trudno to zrobić i wiedziałem, że zdolność ta we mnie osłabła. Dary nie są stabilne, nie zawsze da się je łatwo przywołać.

Walczyłem zatem, polegając na znajomości szermierki, aż w końcu w oczach Korda dostrzegłem niepewność. Mimo najszczerzych wysiłków nie potrafił przebić się przez moją obronę; jego magia nie czyniła mi krzywdy. Im bardziej tracił pewność siebie, tym bardziej ja ją zyskiwałem.

Ostatnim wysiłkiem woli zebrał wszystkie siły, zmuszając mnie do odwrotu. Odpierałem każdy kolejny rozpaczliwy cios, cierpliwie czekając na okazję. Sam uderzyłem jeszcze tylko raz, ale to wystarczyło. Ciąłem w dół łukiem, odbijając w bok klingę maga i rozpruwając mu głęboko szyję. Runął na ziemię u moich stóp. Jego krew wsiąkała w piasek.

Miałem rację, że przegrana Korda zmieni losy bitwy: nieprzyjaciele z okrzykiem rozpaczły natychmiast uciekli.

Czarownice z klanu Malkinów pod wodzą Makrildy puściły się w pogoń, wrzeszcząc tryumfalnie i nie oglądając się na mnie.

Przez moment miałem ochotę pójść za nimi, wesprzeć je swoją siłą. Potem jednak zmieniłem zdanie. Dość już zrobiłem. Bez mojego udziału przegrałyby, niech zatem same dokończą. Wróciłem po laskę i torbę, po czym pomaszerowałem na południowy zachód.

Planowałem wydostać się z okręgu Pendle, choć nie zmierzałem do żadnego szczególnego celu. Rozpaczliwie pragnąłem znaleźć

Alice, lecz nie miałem pojęcia, gdzie jej szukać. Liczyłem, że znów nawiążę kontakt, ale wolałem na tym nie polegać. Odeszła tak nagle. Czy nie mogła zostawić dla mnie wiadomości u jednej z czarownic?, pomyślałem gniewnie. Jej zachowanie nie wróżyło niczego dobrego. Czyżby mnie zdradziła?

Postanowiłem przeprowić się przez rzekę Ribble i zawrócić w stronę Chipenden. A jeśli wciąż kryli się tam nieprzyjaciele, tym gorzej dla nich: nieważne, ilu ich jest, nadejdę wzdłuż linii mocy i nakarmię nimi Kratcha.

Maszperując, nadal słyszałem huki i grzmoty od strony Burnley. Teraz byłem przekonany, że to ogień armatni – toczyła się tam bitwa. Szedłem dość wolno, ale kiedy z zachodu napłynęły burzowe chmury, przyspieszyłem kroku.

Zaczęło zmierzchać, a ja wciąż jeszcze nie przeprowiłem się przez rzekę. Wiedziałem jednak, gdzie mogę schronić się na noc. W pobliżu stał zrujnowany dom; często korzystaliśmy z niego z mistrzem. Z budynku pozostał tylko jeden mur, ale pod nim kryła się spora piwnica; cuchnęło w niej zgnilizną, była jednak przynajmniej sucha i zapewniała ochronę przed ulewnym deszczem.

Zapaliwszy świecę, usadowiłem się wygodnie na zimnych, kamiennych płytach. Zmęczenie sprawiło, że zasnąłem niemal natychmiast.

Obudził mnie niepokojący dźwięk – jakby ktoś drapał o ścianę narzędziem czy może szponem.

Ostrożnie podniosłem się z ziemi i sięgnąłem po świecę. Nasłuchując uważnie, szybko odnalazłem źródło dźwięku: wysoko na tylnej ścianie. Odkryłem, że pojawiają się tam drobne pajęczne litery, wyryte w omszałym kamieniu. Czyżby w piwnicy był ktoś jeszcze, ktoś niewidzialny, i pisał na ścianie?

Uniosłem wyżej świecę i przeczytałem:

Tomie, tu Alice. Spotkamy się przy moście Samlesbury na wschód od Priestown. Dołącz tam do mnie najszybciej, jak zdołasz. Stamtąd musimy wyruszyć do wieży Lukrasty w Cymru.

Czekałem na wiadomość od Alice, ale zirytowała mnie jej treść. Nagle zacząłem się zastanawiać, czy to faktycznie ona jest autorką. Może ktoś chciał mnie zwabić w pułapkę?

– Słyszysz mnie, Alice? – spytałem ostro.

Nie uzyskałem odpowiedzi. Alice zapewne nie miała pod ręką wody ani lustra, których mogła użyć. Marnowałbym tylko czas, sięgając po lustro w torbie; najpewniej posłużyła się inną magią, by nawiązać kontakt. Może czar działał tylko w jedną stronę: najwyraźniej na razie nie mogłem jej powiedzieć, co myślę.

Kiedy Alice prosiła, bym pospieszył do wieży Malkinów, posłuchałem aż nadto chętnie. Odeszła jednak z Lukrastą, nim zdołałem dotrzeć do celu. Teraz spodziewała się, że wyruszę w jeszcze dłuższą podróż, do drugiej wieży – tej w Cymru. Czyżby ze mną igrała?

Dwie wieże – to o jedną za dużo!

Alice potrafiła korzystać z przestrzeni między światami, zastanawiałem się więc, dlaczego nie przyjdzie i nie pomówi ze mną osobiście. I po co właściwie byłem jej potrzebny w Cymru? Lukrasta to ostatnia osoba, jaką miałem ochotę oglądać!

Tylko jedna rzecz sprawiła, że zmieniłem zdanie. Spędziłem kilka dni z idealną kopią Billa Arkwrighta. Ten stwór wyglądał jak Arkwright, mówił jak Arkwright, był absolutnie przekonujący. Potem Nora także okazała się tulpą – bez wątplenia również stworzoną przez Balkaia. Zastanawiałem się, czy to znów się nie dzieje. Wierzyłem, że Lukrasta nie żyje... a co, jeśli faktycznie zginął i został zastąpiony? Alice mogło grozić wielkie niebezpieczeństwo.

Musiałem jej pomóc.

Wkrótce, nie zważając na ciemność i ulewny deszcz, maszerowałem już doliną rzeki Ribble. Tuż przed południem dotarłem do mostu Samlesbury. Deszcz nieco osłabł, ale wiszące nisko chmury zwiastowały kolejną ulewę.

Alice czekała na wschodnim brzegu. Wyglądała równie pięknie

jak zawsze, odziana w zieleń i brąz, barwy, które przyjęła, odkąd została ziemną czarownicą. Jej twarz miała poważny wyraz. Jakże pragnąłem objąć ją mocno i przytulić! Zatrzymałem się jednak parę kroków dalej, czekając czujnie, aż przemówi. Obawiałem się, że mnie zdradziła, choć wciąż przepełniała mnie miłość.

Nagle Alice uśmiechnęła się do mnie i w chwilę później trzymałem ją w ramionach. Spodziewałem się smutku i słów pociechy. Czy nie wiedziała, co spotkało Jenny?

– Wiesz, że Jenny nie żyje? – spytałem.

Jej oczy zaokrągliły się z niedowierzania.

– Nie żyje? O nie, Tomie! Jak do tego doszło? Staralam się obserwować was za pomocą magii, ale ostatnich kilka dni było bardzo trudnych i niebezpiecznych i coś innego mnie rozproszyło.

– Zatrzymała ją wodna wiedźma.

Alice przytuliła mnie mocniej.

– Tak mi przykro, Tomie! Biedna Jenny.

– Gdybyś tam była, może zdołałabyś ją ocalić – rzekłem z goryczą.

– Odpieraliśmy atak. Nie zdążyłabym dotrzeć na czas. Przykro mi, Tomie.

Alice westchnęła.

– Siostra Mab, Beth, też nie żyje. Zanti wyrzuciły wszystkie czarownice, które posłałaś mi z pomocą. Gdybyś nie odeszła tak nagle, może zdołałabyś pomóc. Przebyłem długą, określną drogę, by do ciebie dotrzeć. – W moim głosie dźwięczała nuta wyrzutu. – Nieźle mnie zwiodłaś! Wyjaśnij zatem, co się dzieje. Dlaczego odeszłaś z wieży z Lukrastą tuż przed moim przybyciem? Nie mogłaś poczekać?

Alice nie odpowiedziała. Odsunęliśmy się od siebie bez zwyczajowego pocałunku.

– Porozmawiajmy po drodze – zaproponowała. – Musimy jak najszybciej dotrzeć do Cymru.

– Dlaczego więc nie przejdziemy przez przestrzeń między światami? Zrobiłaś tak, gdy opuściłaś wieżę Malkinów z Lukrastą.

– To zbyt niebezpieczne, Tomie. O mało nas nie schwytali. Nie

mogę znów ryzykować. Ich magowie czają się tam w nadziei, że to właśnie zrobię. Są gotowi. Będziemy musieli iść pieszo.

– Ale po co w ogóle tam idziemy? – zastanawiałem się na głos.

– Powód jest prosty i najlepszy z możliwych, Tomie. Możemy użyć tej wieży, żeby zniszczyć Talkusa.

Gdy ruszyliśmy na północ, znów lunął deszcz i Alice zaczęła opowiadać mi, co zaszło.

ROZDZIAŁ

27



BÓG KOBALOSÓW

GRIMALKIN

W rozmowie z Tomem i Jenny duch kobaloskiego maga wspominał o bramach ognia; wkrótce nadal jako srebrna kula dotarłam do pierwszej z nich. Płonęła jaśniej niż słońce, choć przenikając przez płomień, nie czułam gorąca. W tej postaci nie miałam powiek, nie mogłam więc ochronić oczu, i świat wokół mnie pociemniał.

W sumie bramy były trzy. Pokonawszy trzecią, pomknęłam naprzód w nieprzenikniętą ciemność. Miałam wrażenie, że trwało to całe wieki. Zastanawiałam się, czy faktycznie jest ciemno, czy też na zawsze oślepiłam. Straciłam rachubę czasu. Czyżbym utkwiała uwieczona w portalu? Może to krąg, może pozostanę w tym tunelu na wieczność... Przynajmniej jednak strażnik z mackami nie podążał za mną.

W końcu ujrzałam nikły blask. Gdy wyłoniłam się z tunelu, dostrzegłam w górze purpurowe niebo. Unosiłam się nad kolistym płaskowyżem, zasłanym kamieniami. Ze wszystkich stron otaczały go wysokie urwiska. Wyglądał jak sucha pustynia, choć pośrodku bulgotało i parowało wrzące jezioro.

Wzleciałam wyżej, by lepiej się wszystkiemu przyjrzeć, i dostrzegłam stwory poruszające się na jego brzegu. Czyżby to były skelty, służące Talkusowi? Podpłynęłam bliżej, by to zbadać. Owszem, miałam rację: skelty przemykały po brzegu, jakby go strzegły.

Ale gdzie się podziewał Talkus? Gdzie się ukrywał?

I wtedy zrozumiałam. Przypomniałam sobie, że skelty są w stanie znieść wrzącą wodę, i to, jak kiedyś ukryły się w parującym basenie w kuladzie, wieży kobaloskiego maga, a potem mnie zaatakowały. Talkus z pewnością urządził sobie kryjówkę w głębinach wrzącego jeziora.

W postaci kuli mogłam bez szkody dla siebie przenikać przez kamienne ściany. Ogniste bramy też nie zrobiły mi krzywdy. Ale czy zdołam zanurkować pod wzburzoną powierzchnię?

Istniał tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Opadłam niżej i bez pluśnięcia zanurzyłam się w wodzie.

Jezioro wokół wrzało i burzyło się w kłębach szarobiałej mgiełki, więc niczego nie widziałam. Opadałam głębiej i głębiej – i nagle woda stała się krystalicznie czysta.

Podę mną leżała rozległa skalista równina, ale natychmiast ujrzałam swój cel: duży, okrągły, ciemny otwór, podobny do portalu w zamkowej wieży. Tego jednak miast czterech kanap strzegły cztery posągi skeltów, spoglądające w górę i na zewnątrz. Kościste rury unosiły się wysoko, grożąc tak mnie, jak i każdemu intruzowi, który odważył się podejść blisko.

Przez chwilę wydało mi się, iż poruszają się, gotowe zaatakować, lecz było to tylko wrażenie wywołane falowaniem wody. W chwilę później wyminęłam owe fale i znalazłam się w ciemnym tunelu – gdzie nagle woda ustąpiła miejsca powietrzu. Obejrzałam się na wiszącą w górze taflę: nie ściekała z niej nawet kropla. Widziałam natomiast własne odbicie – niewielką kulę, lśniąca niczym rtęć.

Poszybowałam głębiej, aż w końcu dotarłam do gigantycznej groty: siedziby Talkusa.

W dole ujrzałam kobaloskiego boga. Ku memu zdumieniu wcale nie przypominał skelta – z kształtu podobny do człowieka, był jednak ogromny, barczysty i muskularny. Ostre jak brzytwa kości wyrastały z ciała wzdłuż kręgosłupa aż do długiego, grubego ogona, zakończonego morderczym kościanym ostrzem. Zamiast skóry porastały go purpurowe łuski, lecz to jego rozmiar zaskoczył mnie najbardziej: na oko czterokrotnie przerastał rosłego człowieka.

Siedział z głową ukrytą w wielkich szponiastych łapach, oparty o ścianę groty. Ogólnie wyglądało to identycznie, jak opisał Lukrasta: worek, w którym tkwiła dusza boga, unosił się blisko gładkich ścian – czerwona, pulsująca, nieregularna masa tkanek, poprzecinana z wierzchu fioletowymi żyłami. Z brzuchem Talkusa łączyła go długa pępowina. Bóg stopniowo wchłaniał duszę do swego ciała. Wkrótce przepelni go moc i wyższa świadomość, ale proces nie dobiegł jeszcze końca; Talkus potrzebował materii duszy, zamkniętej w owym worku. Bez niej osiągnie jedynie ułamek swego potencjału.

Zrozumiałam, że Lukrasta miał rację: jeśli zabiorę materię duszy, bóg będzie musiał puścić się w pościg. Opadłam na ziemię i odmieniłam postać, odzyskując ludzkie kształty. Spojrzałam na ogromnego boga – oczy miał zamknięte; wyglądało, że nie wyczuwa mojej obecności.

I nagle, gdy się zbliżyłam, Talkus uniósł powieki. Spojrzał na mnie gniewnie, wykrzywiając twarz. Dźwignął się na kolana i sięgnął ku mnie ręką, jakby chciał chwycić za głowę i zmiażdżyć czaszkę. Jak na kogoś tak wielkiego, poruszał się zdumiewająco szybko.

Ja jednak byłam szybsza. Dobyłam klingi, chwyciłam grubą pępowinę i odciąłam ją tuż przy jego brzuchu. Trysnęła krew i bóg wrzasnął, jego rysy wykrzywił grymas cierpienia. Złapałam mocno śliski sznur, okręcając go wokół dłoni najciaśniej, jak się dało, a potem wsunęłam nóż do pochwy.

Gdy wściekły bóg znów sięgnął ku mnie, zmieniłam się z powrotem w kulę. Nie miałam pojęcia, czy zdołam ponieść cielesny worek – ostatecznie nie miałam teraz rąk – ale gdy odpłynęłam, ruszył ze mną, połączony z kulą pępowiną.

Wznosząc się, ujrzałam drugą kulę opadającą ku mnie: moje odbicie. A potem zderzyłyśmy się i znalazłam się w wodzie. W sekundę później wyprysnęłam z jeziora w głąb portalu. Wiedziałam, że gdzieś przede mną czeka demoniczny strażnik. Czy wyczuje moje nadejście i spróbuje zagrozić mi drogę? Czy Talkus zdoła go jakoś ostrzec? Przemknęłam przez trzy bramy, ponownie

tracąc wzrok. Stopniowo oczy znów zaczęły działać; obejrzałam się, ale nie dostrzegłam pościgu. Może Talkus nie mógł podążyć za mną w ludzkiej postaci, a w takim razie nie zdołam zwabić go do wieży. Jednak nawet jeśli ta część planu się nie powiedzie, z pewnością poważnie mu zaszkodziłam. Miałam coś, czego tak bardzo potrzebował.

Nagle zobaczyłam dokładnie przed sobą zwijające się macki strażnika. Spojrzało na mnie ośmioro złowrogich czerwonych oczu. Mała i szybka, błyskawicznie przemknęłam jednak obok łuskowatego ciała i dalej, za drzwi. Byłam wolna – choć teraz rozumiałam, że nie zdołam uciec przez kamienną ścianę wieży. Ja mogłam przez nią przeniknąć, ale worek nie. Jeśli nie znajdę wyjścia, będę musiała go zostawić, a wówczas niczego nie osiągnę.

Ruszyłam w dół, wlokąc za sobą zdobycz. Z boku otwierały się wąskie okna, dość szerokie, by wypuścić z nich strzałę, ale za małe jak na mój plan.

U stóp schodów ujrzałam drzwi. Szybko powróciłam do ludzkiej postaci i wolną ręką nacisnęłam klamkę. Ku memu zdziwieniu były otwarte, kiedy jednak pociągnęłam skrzydło, kobalowski strażnik zamachnął się na mnie szablą. W jego oczach ujrzałam strach.

Z łatwością uniknęłam niezgrabnego cięcia i wbiłam mu długi nóż prosto w gardło. Jego krzyk urwał się w bulgocie, gdy Kobalos runął do mych stóp. Natychmiast usłyszałam łoskot zbliżających się kroków, ale zdołałam już wydostać się z zamku. W sekundę później z powrotem przyjąłam postać kuli i poszybowałam wysoko, szukając promienia światła z kotła. Nadal nie widziałam ani śladu Talkusa.

Pomknęłam wzdłuż promienia, póki nie zmienił się w porośniętą drzewami ścieżkę. Już w ludzkiej postaci maszerowałam dalej aż do rozstajów. Thorne stała za kotłem; pomachała mi na powitanie.

– A cóż to za paskudztwo, Grimalkin? – wykrzyknęła, wpatrując się w fioletowo żyłkowaną masę tkanki, pulsującą niczym serce. Wyrastająca z niej pępowina była oślizgła i trudna do utrzymania, z odciętej końcówki kapała krew.

Uśmiechnęłam się ponuro.

– W tej bryle mięsa kryje się materia duszy Talkusa. Muszę ją dostarczyć do wieży Lukrasty.

– Na razie nie możesz pójść – ostrzegła Thorne. – Słońce jeszcze tam nie zaszło.

Powiodłam wzrokiem wzdłuż przeciwległej ścieżki i przekonałam się, że szczyt wieży zalewa pomarańczowy blask zachodzącego słońca, a podstawę skrywa cień. Wiedziałam, że nie będę musiała długo czekać.

– Gdy tylko będę mogła, wyruszę tam – oznajmiłam, mijając kocioł i stawiając stopę na drugiej ścieżce.

ROZDZIAŁ

28



SREBRNE PALCE

THOMAS WARD

Alice miała mi wiele do opowiedzenia. Pan nalegał, by podjęła współpracę z Lukrastą i wcieliła w życie jego plan zniszczenia Talkusa. Świadomość tego raniła me serce niczym nóż, ale rozumiałem, że Alice nie miała wyboru: trzeba było ich połączonych mocy, by pokonać boga.

– Grimalkin też pomoże. Nie jest uwięziona w Mroku, jak inne martwe czarownice. Może odwiedzać ziemię i atakować naszych wrogów, lecz tylko w ciemności.

Zdumiała mnie ta nowina, wkrótce jednak miałem usłyszeć jeszcze bardziej niewiarygodne rzeczy.

– Grimalkin wykradnie fragment duszy Talkusa i dostarczy do wieży Lukrasty w Cymru. Plan zakłada, że bóg ruszy za nią w pościg, a wtedy uwięzimy go tam naszą magią.

Zbliżał się kluczowy moment wojny. Gdyby udało im się tego dokonać, praktycznie zakończyliby ją. Pozbawieni boga, kobalosczy magowie straciliby większość swej mocy. Ale czy mag, nawet tak potężny jak Lukrasta, naprawdę potrafiłby dokonać czegoś takiego? Czy mógłby uwięzić boga?

– A jeśli Talkusa nie da się tam zatrzymać? – spytałem, maszerując w ulewnym deszczu w stronę wieży.

– To ryzyko, które musimy podjąć – odparła Alice. – Nie posiadł jeszcze pełni sił. Potrzebujemy materii duszy, którą ukradła

Grimalkin. Zdesperowany, Talkus może zapomnieć o ostrożności. Kiedy go uwięzimy, Lukrasta przeniesie więź w inne czasy i tam go porzuci.

– Zabierze go w przyszłość czy w przeszłość? – spytałem.

– W przyszłość byłoby trudno, bo jest niestabilna – wyjaśniła. – Jak wiesz, zmienia się z chwili na chwilę. I nawet gdybyśmy go tam porzucili, co się stanie, jeśli przeżyje? Nadal będzie zagrożeniem, a czas prowadzi nas wprost ku niemu. Za setki czy nawet tysiące lat nasi potomkowie być może znów musieliby stawić mu czoło. Nie, musi trafić w niezmienną przeszłość. Jeśli zdołamy go tam uwięzić, pozostanie w niej aż po kres samej ziemi. Lukrasta zamierza zrzucić go wprost w roztopione skały, które niegdyś pokrywały całą powierzchnię tej planety. Wówczas albo zginie na miejscu, albo też pozostanie na zawsze uwięziony w warstwie skalnej, gdy ta ostygnie.

– Ufasz Lukraście, Alice? – Wbiłem w nią wzrok.

– A dlaczego miałabym nie ufać? Pragnie tego samego co my, Tomie: zniszczenia Talkusa i klęski Kobalosów. Musimy współpracować. W przeciwnym razie wszyscy mężczyźni zostaną wymordowani, a kobiety trafią w niewolę. Lukrasta chce to powstrzymać. Jestem tego pewna.

– Skąd pewność, że to naprawdę on? A jeśli to tulpa, taka jak anioł, którego stworzyłaś?

– Tamta tulpa była tylko złudzeniem, oglądaliśmy ją głównie z daleka. Stałam blisko Lukrasty, wiedziałabym, gdyby to nie był on.

– Jesteś tego pewna, Alice? – nalegałem. – Lepiej zatem posłuchaj, co nas spotkało. Pamiętasz Billa Arkwrighta, który jak sądziliśmy, zginął w Grecji? Zjawił się w Chipenden, twierdząc, że przeżył. Chciał znów osiąść w młynie i podjąć dawną pracę. Był absolutnie przekonujący. Oboje z Jenny wierzyliśmy, że rozmawiamy z Billem Arkwrightem i maszerujemy z nim ramię w ramię. Ciebie też by oszukał. A jednak okazał się tulpą. Nauczył nawet Jenny walczyć kijem – dodałem.

– I co się stało? – W głosie Alice zadźwięczała troska.

– Chciał dostać w swe ręce Gwiazdną Klingę – oznajmiłem. – Gdyby ją zdobył, zabiłby nas oboje. A najstraszniejsze było to, że ten stwór naprawdę wierzył, że jest Billem Arkwrightem. Nie wiedział, że ma nas zabić. Kiedy zaczął wątpić w swoją tożsamość, nadszedł koniec. Nazwałem go tulpą, a on rozpadł się na naszych oczach. Coś podobnego zdarzyło się, kiedy próbowałem wyleczyć zatrucie Jenny. Służka, Nora, miała jej pomóc, ale ona też okazała się tulpą. Sądziła, że jest Norą, ale i tak zabijała ludzi. O mało nie odebrała mi Gwiazdnej Klingi.

Rozejrzałem się i przekonałem, że deszcz znów słabnie. Wiatr porwał chmury na wschód.

Alice odgarnęła z czoła mokre włosy.

– Martwi mnie, że ich magowie potrafią stworzyć coś takiego. Założmy jednak, że Lukrasta to tulpa: po co miałby obmyślać plan zranienia Talkusa? Jakiemu celowi mogłoby to służyć? To bez sensu, Tomie. Widzę, że masz powody do obaw, ale możesz odrzucić dręczące cię myśli. Uwierz mi, Lukrasta nie jest tulpą. Pan też tak uważa. Czy tulpa mogłaby oszukać boga? To niemożliwe. Skupmy się na tym, co musimy zrobić.

Pewność dźwięcząca w jej głosie nieco ukoiliła moje wątpliwości. Może faktycznie nie miałem podstaw do obaw, choć instynkt wciąż podpowiadał, że coś jest nie tak. A on rzadko się mylił.

Odpoczęliśmy chwilę, a potem podjęliśmy marsz na południe. Przeprowadziliśmy się przez Mersey i ominęliśmy warowne miasto Chester. Pokonawszy most na rzece Dee, skręciliśmy na zachód, do Cymru.

Nagle ogarnął mnie głęboki smutek: kiedy ostatni raz zawędrowałem w te strony, mój mistrz, John Gregory, wciąż żył. W drodze powrotnej do Hrabstwa otoczyły mnie wrogie czarownice. Omal nie zginąłem. Grimalkin uratowała mi wówczas życie, ale teraz ona też nie żyła. Jedno z nich było moim mistrzem i przyjacielem, drugie sojuszniczką i owszem, przyjaciółką. Teraz oboje odeszli. Poczulem się strasznie samotny, pusty w środku.

Dowiedziałem się jednak, że Grimalkin może opuszczać Mrok i odwiedzać ziemię. Może więc znów ją zobaczę? Ta myśl dodała mi

otuchy.

Przed zachodem słońca drugiego dnia po opuszczeniu Pendle w końcu ujrzeliśmy przed sobą wieżę. Zerknąłem na ruiny kaplicy na wzgórzu od wschodniej strony. Oba budynki wzniesiono na linii mocy.

Kiedy byłem tu ostatnio, walczyłem z wiedźmami na stopniach wiodących do wieży. Miały ogromną przewagę liczebną i z pewnością bym zginął, ale ponieważ działo się to na linii mocy, zdołałem wezwać bogina Kratcha, który zamienił się w wir ognia i wybił je wszystkie. Przypomniałem sobie falę krwi, spływającą po schodach i unoszącą ze sobą szpiczaste trzewiki – jedyne, co po nich pozostało.

Nie miałem pojęcia, co dzieje się teraz w wieży, ale w razie potrzeby znów mogłem wezwać bogina.

Oboje przyspieszyliśmy kroku. Gdy się zbliżyliśmy, spojrzałem na balkon. Kiedyś widziałem, jak Lukrasta całował na nim Alice. Teraz nie było tam nikogo. W żadnym oknie nie jaśniało światło. Wieża sprawiała wrażenie opuszczonej.

– Czy Lukrasta czeka na nas w środku? – spytałem.

– Jeśli nie, to wkrótce się zjawi – odparła Alice.

Sięgnąłem za plecy i pomacałem rękojeść Gwiazdnej Klingi, wystającą z pochwy na ramieniu, zupełnie jakby jej dotyk miał przynieść mi szczęście, choć tak naprawdę wiedziałem, że szukam otuchy, potwierdzenia, że nadal tam jest. Bez niej byłbym praktycznie bezbronny w starciu z mroczną magią.

Grimalkin nie żyła, pozostawiła mi jednak w spadku miecz. Możliwe, że to dzięki niemu zdołamy zatriumfować w walce z Kobalosami i ich bogiem.

Dotarliśmy do kamiennych stopni i uświadomiłem sobie, iż myliłem się, sądząc, że z czarownic pozostały jedynie szpiczaste trzewiki. Pod stopami chrzęściły nam drobne odłamki kości.

Uniosłem wzrok, zastanawiając się, co czeka na nas w wieży. Czy Lukrasta okaże się sprzymierzeńcem, czy wrogiem. Jeśli jego

sprzymierzeńcem jest magia, pomoże nam zniszczyć Talkusa. To ułatwiłoby zadanie.

Na szczycie schodów stanąłem i obejrzałem się przez prawe ramię na wzgórza i lasy Cymru. W dali połyskiwało morze. Pamiętałem jednak, że z tego samego miejsca oglądałem też inne widoki. Lukrasta potrafił przenosić swoją wieżę w czasie. Spoglądałem stąd na suchy krajobraz pod ogromnym czerwonym słońcem. Zawędrowaliśmy wtedy daleko w przyszłość, w ostatnie dni istnienia Ziemi.

Potem, przechodząc przez drzwi wewnątrz wieży, znalazłem się w jednej z wielu możliwych przyszłości: w tej, w której wioska Chipenden została zniszczona przez Kobalosów, a większość mieszkańców zginęła. W rzeczywistości nie doszło do tej katastrofy. Zdołałem ostrzec wieśniaków przed atakiem i ochronić ich.

Co ujrzę tym razem? Co czeka na mnie za tymi drzwiami?

Dobylem Gwiazdnej Klingi. Wolałem nie ryzykować.

Alice wystąpiła naprzód i nacisnęła klamkę. Pod jej dotknięciem drzwi otworzyły się bezszelestnie. Przekroczyła próg i wezwała mnie gestem.

– Schowaj ten miecz do pochwy, Tomie – rzekła. – Przez jakiś czas nie będziesz go potrzebował.

Podążyłem za nią do niewielkiej izby. Stały w niej dwie kanapy i stół. Na ścianie wisiały gobeliny. Ujrzałem czekające na nas półmiski zimnych mięs i owoców, jakich wcześniej nigdy nie oglądałem – z pewnością nie zebrano ich w Hrabstwie ani w Cymru.

– Poczęstuj się – zaprosiła Alice. – Ale nie masz zbyt wiele czasu. Grimalkin może odwiedzać nasz świat jedynie po zmroku. Za jakieś dziesięć minut zajdzie słońce. Gdy tylko wiedźma zabójczyni się zjawi, rozpęta się tu piekło.

Tak wiele zależało od tego, czy Grimalkin wykona trudną misję, którą jej powierzono. Tylko wtedy będziemy mogli odegrać swoje role.

Wraz z Alice posililiśmy się szybko. Od czasu przeprawy przez

Mersey jedliśmy tylko kilka kęsów kruchego sera. Po wieczerzy Alice skinęła na mnie. Ruszyłem za nią krótkim korytarzem. Przed nami stopnie wiodły w dół i w górę. Skierowaliśmy się w dół; zacząłem je liczyć – ponad dwieście – aż w końcu dotarliśmy do ogromnej cylindrycznej komory, na pierwszy rzut oka przypominającej podziemną część Wieży Malkinów. Jednak podczas gdy ściany tamtej wieży porastał mech, tu kamień pozostał nieskazitelnie czysty, a powietrze ciepłe i suche, zupełnie jakby nigdy nie wystawiono jej na działanie żywiołów. Tkwiące w uchwytach pochodnie płonęły jasno i w ich świetle przekonałem się, że w odróżnieniu od granitowych bloków tworzących zewnętrzną część budowli, tu wszystko wzniesiono z wapienia, tak jak jasną iglicę katedry w Priestown. Kamień lśnił w blasku pochodni.

Wewnątrz Wieży Malkinów przechodziliśmy z poziomu na poziom po spiralnych schodach; tu strome stopnie wiodły prosto w dół. W końcu znaleźliśmy się na wąskiej półce okalającej wewnętrzny mur. Mimo poręczy wciąż czułem lęk, że spadnę w otchłań – kiedy wyjrzałem ponad poręczą, nie dostrzegłem dna. Pośrodku pustki, dokładnie naprzeciw nas, na pojedynczym łańcuchu wisiała wielka metalowa klatka. Metal lśnił niczym srebro, podstawa klatki znajdowała się na poziomie naszej półki, a ona sama pięcio- czy sześciokrotnie przerastała dorosłego człowieka.

– To tu uwięzimy Talkusa. – Alice wskazała ręką. – Zrobiono ją ze stopu srebra, który nasyciliśmy naszą magią.

– Gdzie jest Lukrasta? – spytałem.

– W pobliżu, Tomie. Gdy tylko bóg znajdzie się w klatce, przybędzie, by zrobić, co do niego należy.

Nagle jej oczy się rozszerzyły. Trzy razy pociągnęła nosem. Wiedziałem, że zbiera informacje, szuka czegoś.

– Grimalkin zjawi się lada moment! – wykrzyknęła.

Gdy tylko się odezwała, pochodnie zaczęły migotać; nie zgasły do końca, ale ich blask osłabł. Teraz jarzyły się czerwono-niebieskim dogasającym żar ogniska. W mrocznym pomieszczeniu zrobiło się

zimno. Niespodziewanie jeszcze zimniejszy dreszcz przebiegł mi po plecach: ostrzeżenie właściwe siódmym synom siódmych synów, że w pobliżu znajduje się coś z Mroku.

Oczywiście mogło ono zwiastować przybycie Grimalkin: ostatecznie to martwa wiedźma zabójczyni z natury, osiadła w Mroku. Owo uczucie było jednak niezwykle mocne, znacznie wyraźniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Może ścigał ją Talkus?

Błysnęło srebro i nagle w powietrzu przed klatką zawisła świetlista kula – musiała przeniknąć przez kamienną ścianę wieży. Za sobą ciągnęła coś ciemnego. Ledwo zdążyłem ogarnąć wzrokiem całą sceną, gdy kula wleciała do klatki i natychmiast zmieniła się w Grimalkin. Czarownica trzymała w dłoni oślizgłą, umazaną krwią rurkę, przyczepioną do pulsującego worka fioletowo żyłkowanego ciała, dwukrotnie większego od ludzkiej głowy. Bez wątplenia to właśnie była materia duszy Talkusa. Czarownica opuściła ją na ziemię i pulsująca masa wylądowała na dnie klatki, wciąż drgając lekko.

Przyjrzałem się Grimalkin. Wyglądała nieco inaczej niż znana mi wiedźma zabójczyni. Włosy miała czarne niczym niebo o północy – znacznie ciemniejsze niż za życia – a pod jej oczami widniały ciemne kręgi. Ciało wciąż jednak przecinały krzyżujące się rzemienne pasy z pochwami, z których sterczały liczne noże, a kiedy otworzyła usta, żeby przemówić, ujrzałem mordercze szpiczaste zęby.

Zamiast jednak powitać nas przyjaźnie czarownica przygwoździła nas gniewnym spojrzeniem. Jej twarz wykrywił grymas wściekłości.

– Nie mogę wyjść z klatki! Coście zrobili? Uwolnij mnie, Alice! Uwolnij, nim będzie za późno! Lada moment zjawi się tu Talkus!

Grimalkin musiała szybko wydostać się stamtąd, niestety, zostawiwszy wcześniej worek w klatce. Z pewnością Alice nie powstrzymywała jej ucieczki.

Odwróciłem się wstrząśnięty i od razu dostrzegłem zdumienie i rozpacz na jej twarzy.

– Moja magia cię tam nie trzyma, Grimalkin! To nie moja

sprawka! Lukrasto! Lukrasto! – zawołała. – Co ty zrobiłeś?

Mag natychmiast pojawił się na półce naprzeciw nas. Spojrzał na klatkę i uśmiechnął się. Jego nowe srebrne dłonie połyskiwały u boków na tle ciemnej szaty. Jedną z nich wskazał Grimalkin.

– Teraz pozbędę się tej, która nawet za grobu miesza się w moje sprawy! – wykrzyknął.

– Cóż złego ci zrobiła, Lukrasto? To nasza sojuszniczka! – zaprotestowała Alice.

– Potrzebuję tylko jednej sojuszniczki – odparł. – Razem będziemy niczym bogowie. Pan i Golgoth osłabli po niedawnej bitwie i pozostaną tacy przez dziesięciolecia. Kiedy już zniszczymy Talkusa, kto zdoła nam się sprzeciwić? Zły przestał istnieć. Moc pozostałych Starych Bogów słabnie. Grimalkin jednak zagraża nam obojgu i tego zagrożenia muszę się pozbyć, zanim stanie się zbyt wielkie. Zabiła już Hekate i przechwyciła jej moc. Muszę z nią skończyć. Albo raczej pozwolę, by uczynił to Talkus!

Dreszcz przebiegający mi po plecach wzmógł się jeszcze i nagle wieża zatrzęsała się w posadach. Usłyszałem niski grzmot. Kamienie pod naszymi stopami zaczęły niepokojąco wibrować. Zbliżał się Talkus.

Alice uniosła ręce nad głowę, wskazując srebrną klatkę, która zamigotała i na moment jakby skręciła się i urosła. Moja towarzyszka, skrzywiona z wysiłku, próbowała uwolnić Grimalkin przed przybyciem boga.

Twarz Lukrasty wykrzywił grymas wściekłości. Mag puścił się pędem w naszą stronę. Alice, całkowicie skupiona na klatce, którą atakowała swą magią, nie zauważyła go, gdy biegł tak, wyciągając srebrne ręce, gotów ją udusić.

Skoczyłem naprzód, aby mu przeszkodzić, ale najpierw musiałem precyzyjnie przycisnąć się na wąskiej półce obok Alice. W dłoni trzymałem Gwiazdną Klingę. Zaatakowałbym, lecz Lukrasta okazał się dla mnie zbyt szybki. Wystarczyła sekunda, żeby pociągnął ku sobie Alice i oplótł srebrnymi palcami jej szyję.

– Cofnij się o trzy kroki albo poderżnę jej gardło! – warknął.

ROZDZIAŁ

29



SREBRNA KLATKA

THOMAS WARD

Nawet nie drgnąłem; obliczałem w myślach szanse zaatakowania Lukrasty bez zrobienia krzywdy Alice. Metalowe palce mogły przeciąć jej szyję jak nóż masło.

Lewą ręką obejmował jej ramiona, przyciskając mocno do swej piersi, srebrnymi palcami oplótł gardło. Mag był niemal o głowę wyższy od dziewczyny, wystarczyłby jeden porządny cios, aby go unicestwić, ale czy zdołam uderzyć, nim ją zabije? Gdy próbowałem oszacować prawdopodobieństwo powodzenia, poczułem, jak trzęsą mi się ręce.

– Sądziłem, że Alice ma zostać twoją sojuszniczką! – zadrwiłem. Mój głos aż ociekał ironią. Rozpaczliwie próbowałem zyskać na czasie. – Tak naprawdę nie dbasz o nikogo oprócz samego siebie!

– Zrób trzy kroki w tył! Ale już! Nie będę powtarzał! – warknął Lukrasta.

Napiąłem mięśnie, gotów zaatakować. Cios musiał być zadany idealnie. Wiedziałem, że jestem dość szybki i zręczny, aby tego dokonać, ale mag mógł ją zabić nawet wstrząsany przedśmiertnymi drgawkami.

Cofnąłem się o trzy kroki, a Lukrasta się uśmiechnął.

– Tak lepiej – rzucił. – A teraz połóż miecz na ziemi u swych stóp.

– Nie wypuszczaj miecza! – krzyknęła z klatki Grimalkin.

Wpatrywałem się w Lukrastę, ściskając w dłoni rękojeść Gwiazdnej Klingi. Kiedy ją odłożę, stracę wszelką ochronę przed jego magią. Natychmiast mnie zabije. Może też zabije Alice, co oznaczałoby, że niczego nie zyskałem.

– Zrób to! – warknął gniewnie.

Nagle uszy wypełnił nam ryk, jakby skały zgrzytały o siebie. Wieża zadrżała w posadach. Przez ścianę przeniknęła czerwona kula i zawisała wprost przed srebrną klatką – to z pewnością Talkus. Był znacznie większy od kuli Grimalkin; czy w ogóle zmieści się w klatce?

Czarownica stała naprzeciw niego z dobytą bronią, ale co zdoła działać w starciu z bogiem?

Gdy czerwona kula wpłynęła do klatki, odmieniła swój kształt: stała się ogromna, o sylwetce podobnej do ludzkiej, tyle że z długim, ciężkim ogonem, zakończonym zakrzywionym ostrzem, kościanymi wypustkami wzdłuż kręgosłupa i purpurową łuską zamiast skóry. Zdziwił mnie wygląd Talkusa – spodziewałem się, że będzie przypominał raczej ogromnego skelta o wielu nogach i kościanej rurze.

Teraz rzucił się na Grimalkin, wymachując szponiastą dłonią. Ona jednak uniknęła ciosu i pchnęła nożem, rozpruwając mu rękę. Łuski bez wątpienia były twardsze od skóry, ale nie mogły się równać z ostrymi nożami wiedźmy zabójczyni. Czarna krew pociekła na dno klatki.

Talkus spróbował przechwycić żyłkowany worek, lecz Grimalkin okazała się za szybka. Kopniakiem odrzuciła go poza zasięg boga i zajęła pozycję między nimi. Ponownie raniła Talkusa, tym razem w drugą rękę tuż przy przegubie.

Bóg ryknął z bólu i popędził ku niej, próbując ją pochwycić. Była jednak zbyt zręczna – prześliznęła się pod nim i chlasnęła go nożem po żebrach. Talkus wrzasnął w agonii. Znów zaatakował, biorąc zamach niebezpiecznym ogonem. Ostrze pomknęło wprost ku głowie wiedźmy.

Walka Grimalkin i Talkusa zahipnotyzowała mnie, lecz kącikiem oka obserwowałem także Lukrastę i Alice. Dziewczyna patrzyła

wprost na mnie; mag skupił uwagę na pojedynku w srebrnej klatce.

Czy to najlepszy moment, by uderzyć? Nagle podjąłem decyzję. Lukrasta się zdekoncentrował. Lepsza sposobność się nie nadarzy. Zginie, zanim w ogóle się zorientuje, zanim zdoła zrobić krzywdę Alice.

Postąpiłem trzy kroki naprzód, skupiłem się i zamachnąłem mieczem z lewa w prawo, celując w głowę maga. Ale Gwiazdna Klinga nie dotarła do celu, bo Lukrasta i Alice zniknęli.

Serce uciekło mi w pięty. Mag mógł zabrać Alice dokądkolwiek. Być może nigdy jej już nie zobaczę.

I wtedy zauważyłem, że klatka zaczyna kołysać się w przód i w tył niczym wahadło: wielkie cielsko Talkusa miało się tam i z powrotem, ogon smagał srebrne pręty, gdy bóg próbował dopaść Grimalkin.

Klatka huśtała się coraz mocniej, coraz bliżej półki. Odsunąłem się pod samą ścianę, podążając wzdłuż jej krzywizny. W mojej głowie zaczynały się kształtować zarysy desperackiego planu.

Pojałem, iż Grimalkin sama nie zdoła pokonać Talkusa. Zamierzałem spróbować jej pomóc – rozpaczliwie potrzebowałem wiedzy zabójczynie. Sam nigdy nie zdołałbym odnaleźć Alice. Lukrasta mógł ją zabrać w przestrzeń między światami. Stamtąd mogli się udać do jakiegokolwiek miejsca na ziemi. Jednak Grimalkin, która umiała powracać z Mroku, z pewnością ich znajdzie. Była moją jedyną szansą.

Wsunąłem do pochwy Gwiazdną Klingę i wdrapałem się na poręcz naprzeciwko klatki. Pomknęła ku mnie i znów się oddaliła. Z każdym kolejnym ruchem przysuwała się coraz bliżej. Gdy znów ruszyła w moją stronę, zakołysałem się lekko i skoczyłem w pustkę.

Uderzyłem o klatkę, usiłując się jej złapać. Z sercem w gardle poczułem, że spadam, ale moja dłoń znalazła jeden z pionowych prętów i przywarła do niego. Klatka miała utrzymać znacznie większego ode mnie Talkusa, mogłem zatem przynajmniej wsunąć do środka nogi.

Bóg nadal stał naprzeciw Grimalkin, zwrócony do mnie plecami. Liczyłem, że nie zauważył mojego przybycia.

Przeliczyłem się.

Odwrócił się z głośnym warknięciem i rzucił się na mnie. W ostatniej chwili sięgnąłem ręką za plecy, dobyłem Gwiazdnej Klingi z pochwy i wraziłem mu ją w pierś.

Próbowałem cofnąć miecz, żeby zadać kolejne pchnięcie, ale ku mej rozpaczy, gdy tylko go wyszarpnąłem, Talkus oburącz chwycił klingę. Ostre krawędzie skaleczyły go do kości, z jego dłoni popłynęła krew, nie puszczał jednak. Mogłem manewrować rękojeścią tylko lewą ręką, prawej potrzebowałem, by przytrzymać się klatki.

Talkus raz po raz tłukł głową o pręty. Jego kły dzieliło od mojej twarzy zaledwie kilka cali, cuchnący oddech omiatał mi głowę. Cały czas szarpał też za miecz, który stopniowo wysuwał mi się z palców. I wtedy właśnie, gdy już miałem stracić broń, Grimalkin skoczyła na niego od tyłu, wbijając mu sztylety w potężne plecy. Talkus wypuścił miecz i rzucił się na nią. Unikając jego ataku, podniosła worek, raz po raz rozpruwając go nożem. Strzępy ciała przeleciały przez pręty, w powietrze wzniosła się drobna szara mgiełka i rozplynęła szybko.

Nagle usłyszałem dziwny dźwięk – zwielokrotniony żałosny jęk, pozbawiony widocznego źródła. Czy mógł to być chóralny okrzyk rozpaczy kobaloskich magów w przestrzeni między światami; magów, którzy pojawiliby się w tej wieży, gdybym tylko wypuścił Gwiazdną Klingę? Może uświadomili sobie, że Talkus już nigdy nie uzyska pełni mocy – bez materii duszy nie rozwinie w pełni swoich możliwości.

Teraz bóg wpadł w ślepy szał. Zamiast atakować Grimalkin, wyładowywał furie na klatce, tłukąc w nią pięściami, ogonem, a także głową. Pręty ze stopu srebra zaczęły się wyginać, sama klatka kołysała się coraz gwałtowniej. Za każdym razem, gdy jej dno waliło o kamienną półkę, rozpaczliwie przywierałem do prętów, bo każde kolejne zderzenie metalu ze skałą wstrząsało całym moim ciałem, grożąc upadkiem w otchłań.

Nagle poczułem z dołu gorąco; uszy wypełnił mi bulgoczący huk. Zaniepokojony, zerknąłem w przepaść. Wcześniej podstawę wieży skrywała ciemność, teraz ujrzałem tam ognistą czerwień, chaotyczną burzę stopionych skał, kipiących i przelewających się w dole.

Pojałem, że Lukrasta przeniósł wieżę w czasie. Sam budynek osłaniała moc maga, ale pod nami szalał ognisty chaos odległej przeszłości. Przenieśliśmy się w czasy u zarania świata – w czasy, gdy był on tylko kulą rozżarzonej lawy.

Teraz mag zamierzał zrzucić Talkusa w ów ogień. Jeśli nawet go nie pochłonie i nie zniszczy, skała w końcu ostygnie i stwardnieje, więząc boga w swym sztywnym uścisku do dnia, gdy nadejdzie koniec Ziemi i wszystkiego, co się na niej znajduje.

Jak jednak Lukrasta sprawi, żeby klatka spadła? Wisiała na pojedynczym łańcuchu, był to z pewnością jej słaby punkt.

Talkus znów uderzył o pręty. Spory fragment klatki odpadł, znikając w ognistej otchłani. Grimalkin na-tychmiast zamieniła się w srebrną kulę i śmignęła przez wąską szczelinę. Cios Talkusa uszkodził nie tylko klatkę, ale i więzącą go tam magię. Grimalkin zdołała to wykorzystać; lecz bóg był zbyt wielki, aby uciec przez tę samą dziurę. Dlaczego on także nie zmienił kształtu?

Ja również musiałem uciec, ale klatka kołysała się tak szaleńczo, że nie byłem w stanie przygotować się do skoku. Potem jednak ujrzałem Grimalkin: stała na skalnej półce, z powrotem w ludzkiej postaci.

– Skocz, a ja cię złapię! – zawołała.

Wsunąłem miecz do pochwy, szykując się, żeby to uczynić. Serce podeszło mi do gardła: wydawało się, że ten skok to pewna śmierć, ale stanowił moją jedyną szansę.

Klatka rąbnęła o kamienie u stóp Grimalkin. Gdy zaczęła się oddalać, wyprysnąłem ku wiedźmie, świadom kipiących w dole stopionych skał. Poczułem zimne ręce, oplatające mnie mocno – a potem stałem już bezpiecznie na półce obok czarownicy.

Klatka uderzyła o przeciwległą ścianę. Talkus wciąż tłukł się w środku, rozpaczliwie usiłując się wyrwać. Ponownie zderzyła się

z półką – i nagle łańcuch, na której wisiała, pękł – a może zerwała go magiczna siła Lukrasty?

Czyżby czał się gdzieś w pobliżu, niewidzialny?

Przez moment klatka zdawała się wisieć w powietrzu. Potem runęła w otchłań.

Spadając w nią, bóg ryknął ogłuszająco.

Ledwie klatka dotknęła czerwonej bulgoczącej magmy, w górę wystrzeliły płomienie, ogarniając ją całą.

Talkus nie stanowił już zagrożenia. Ludzki świat był bezpieczny. Ja jednak nadal musiałem ocalić Alice.

Uświadomiłem sobie, że serce wali mi w piersi. Z trudem chwytalem oddech, kręciło mi się w głowie. Próbowałem się uspokoić, oddychając głęboko, i w końcu zdołałem coś powiedzieć.

Spojrzałem na Grimalkin.

– Zawdzięczam ci życie – rzekłem – ale muszę prosić o jeszcze jedno. Możesz znaleźć dla mnie Alice?

– Zostań wewnątrz wieży – poleciła. – Zobaczę, co da się zrobić.

Natychmiast zamieniła się w srebrną kulę i przeniknęła przez ścianę.

Teraz była moją jedyną nadzieją. Bez niej nigdy nie zobaczę Alice.

ROZDZIAŁ

30



PRAWDZIWE OBLICZE ALICE

THOMAS WARD

Niecierpliwie czekałem na powrót Grimalkin, przechadzając się tam i z powrotem po półce. Daleko w dole podstawę wieży znowu spowiła ciemność i byłem pewien, że ponownie przesunęliśmy się w czasie – ale w które miejsce linii łączącej przeszłość z przyszłością? To Lukrasta wszystko kontrolował. Do jakiej ery zabrał nas teraz?

Po jakimś czasie wspiałem się po stopniach wiodących z podziemia na korytarz. Wróciłem do pokoju, w którym zjedliśmy posiłek, i do drzwi wejściowych.

Otworzyłem je i wyrzałem. Na zewnątrz wciąż panowała noc. Nad horyzontem wisiał sierp półksiężyca. W jego świetle zobaczyłem zarys wzgórza i lasu Cymru oraz ruiny kaplicy; w dali ciągnęło się morze. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętałem. Byłem pewien, że powróciliśmy do naszych czasów.

W głowie wciąż widziałem palce Lukrasty, zaciśnięte na gardle Alice. Czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę? Ogarnęła mnie rozpacz. Wyglądało na to, że sam wrócę do Chipenden.

Kiedy się odwróciłem, obok mnie stała Grimalkin. Jej twarz miała osobliwy wyraz. Nie potrafiłem go odczytać. Poczulem gwałtowny lęk.

– Co się stało? Znalazłaś Alice? – spytałem.

– Wciąż jest tu, w wieży. Chce z tobą porozmawiać. Mówi, że być

może po raz ostatni – dodała Grimalkin.

Na te słowa serce zatrzepotało mi boleśnie.

– Wciąż jest z Lukrastą?

– Wyglądało na to, że jest sama. Gdybym spotkała Lukrastę, dołożyłabym wszelkich starań, by go zabić. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby pozbyć się człowieka, który chce zająć miejsce boga i rządzić innymi. Wdrap się na wewnętrzne schody. Alice czeka w izbie na szczycie wieży – tej z balkonem. Ale najpierw muszę zadać ci dwa pytania. Po pierwsze: czy kochasz Alice?

– Tak – odparłem. – Szczerze ją kocham.

Grimalkin pokiwała głową. Jej twarz znów przybrała nieprzenikniony wyraz.

– A czy ufasz Alice? – spytała następnie.

Tym razem zawahałem się. Owszem, z całą pewnością kochałem Alice, to nie ulegało wątpliwości, ale nie byłem pewien, czy w pełni jej ufam. W przeszłości kilkakrotnie mnie oszukiwała, ale za każdym razem miała po temu wystarczający powód. Nawet wtedy, gdy odeszła z Lukrastą, nie panowała nad sytuacją – spełniała żądanie Pana. Mimo wszystko spędzone blisko niej lata pozostawiły we mnie ślad niepewności.

– Wahasz się – zauważyła Grimalkin. – Przemyśl to i postaraj się sam zdecydować. Ale udzielę ci jednej rady: bez zaufania miłość nie przetrwa.

– Co zrobisz teraz, gdy Talkus został zniszczony? – spytałem.

– Myślę, że Kobalosi wycofają się do swej stolicy, Valkarky, ja jednak będę ich ścigać przez całą drogę. Postaram się też pomóc ludzkim kobietom, które przetrzymują tam w niewoli. Moje zadanie jeszcze się nie skończyło.

To rzekłszy, zamieniła się w srebrną kulę i zniknęła, przenikając przez ścianę.

Myśląc o tym, co powiedziała, pomaszerowałem na koniec korytarza i rozpocząłem wspinaczkę po stopniach wiodących na szczyt wieży Lukrasty. Drzwi do komnaty stały otworem, ujrzałem przez nie Alice czekającą w środku. Stała u stóp łoża, które niegdyś dzieliła z Lukrastą.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Talkus nie żyje. To oznacza koniec wojny z Kobalosami, Tomie – rzekła. – Ich magowie z pewnością stracili już moc.

– Gdzie jest Lukrasta? – spytałem ostro. – Nie możemy pozostawić go przy życiu. Widzieliśmy, co planuje: chce stać się bogiem tyranem i uczyni to, jeśli mu na to pozwolimy. Zagroza Hrabstwu i całemu światu.

– Zabicie Lukrasty nie będzie łatwe – mruknęła Alice. – Użyc mi miecza. Pozwól, że ja to zrobię.

Popatrzyłem na nią zdumiony. Gdybym oddał jej Gwiazdną Klingę, pozostałbym bezbronny wobec magii Lukrasty.

Pokręciłem głową.

– Sam mogę go zabić. Już raz pokonałem go w walce. Mogę to powtórzyć.

– Nie zdołasz go zabić, jeśli go nie znajdziesz, Tomie. A on nie pokaże się tutaj, dopóki masz ten miecz. Oddaj mi go, a zjawi się w mgnieniu oka.

Znów usłyszałem w głowie pytanie Grimalkin: czy naprawdę ufałem Alice?

– O co chodzi, Tomie? Nie ufasz mi? – spytała, jakby czytała mi w myślach.

Wiedźma zabójczyni miała rację – jak mógłbym twierdzić, że kocham Alice, gdybym jej nie wierzył?

Dobylem zatem Gwiazdnej Klingi z pochwy na ramieniu i wyciągnąłem ją ku Alice rękojeścią naprzód. Wzięła ją z uśmiechem, po czym cofnęła się o trzy kroki od łóżka.

W komnacie natychmiast pojawił się Lukrasta. Na widok jego zadowolonej miny serce ścisnęło mi się boleśnie.

– Jakimż głupcem jesteś, chłopcze! Ufasz wiedźmie takiej jak Alice! – wykrzyknął mag, stając u jej boku i obejmując ją prawym ramieniem. – Nie potrafisz ogarnąć umysłem, jak bardzo jesteśmy sobie bliscy! Pasujemy do siebie idealnie: mag i czarownica. Ty nie wyobrażasz sobie nawet podobnej więzi. Pozbawiła cię broni, tak jak jej poleciłem. A teraz zabije cię twoim własnym mieczem!

Alice patrzyła na mnie uważnie. W jej oczach dostrzegłem

wszystko oprócz miłości.

– Teraz poznałeś prawdziwe oblicze Alice! – chełpił się Lukrasta.
– Jest absolutnie bezlitosna i bezwzględna. Dla własnego bezpieczeństwa zrobi wszystko. Zawsze najpierw myśli o sobie, potem chroni tych, których kocha.

Miał rację. Jakimż byłem głupcem! Mistrz też miał rację, gdy ostrzegał mnie, żebym nigdy nie ufał dziewczynie w szpiczastych trzewikach. Sam nigdy nie wierzył wiedźmie. Powinienem był go posłuchać. Odepchnąłem jednak od siebie te myśli. Wiedziałem, że nadszedł mój koniec, lecz choć sytuacja wydawała się beznadziejna, nie potrafiłem się poddać. Szkolenie Johna Gregory’ego, moje doświadczenie w roli ucznia i stracharza nauczyły mnie, że póki życia, póty nadziei. Nawet w ostatniej chwili wszystko może się zmienić.

Próbowałem podejść do Lukrasty, lecz moje stopy nawet nie drgnęły. Rzucił na mnie zaklęcie. Unieruchomił mroczną mocą. Walczyłem z tym – ostatecznie byłem siódmym synem siódmego syna, ale na próżno. Choć przywołałem całą siłę woli, wciąż nie zdołałem się poruszyć.

– Zabij go, Alice! Zarżnij jego własnym mieczem! – rozkazał Lukrasta. – Zrób to teraz!

Z ponurą miną stanęła między nami, celując mi w gardło.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. W rozpaczę próbowałem posłużyć się darem, który wcześniej często ratował mi życie: panowaniem nad upływem czasu. Wiedziałem jednak, że moc we mnie osłabła, choć oczy Alice rozszerzyły się, gdy wyczuła, jak próbuję użyć jej przeciw niej.

Twarz dziewczyny natychmiast wykrzywił grymas furii. Uniosła Gwiezdną Klingę, odsuwając ją od mojej szyi i napięta jak sprężyna dzierżyła miecz wysoko, jakby zamierzała odrąbać mi głowę.

Nie zamknąłem jednak oczu. Nie zamierzałem dać jej tej satysfakcji i pokazać po sobie strachu: popatrzyłem prosto na nią.

Wtedy poruszyła się i klinga przecięła powietrze, mknąc ku mojej szyi. Jednak w ostatniej chwili Alice postąpiła krok w lewo.

Miecz minął me gardło o włos, poczułem na twarzy chłodny powiew.

Nie chybił natomiast gardła Lukrasty.

Gwiezdna Klinga gładko obcięła mu głowę.

– Myślałeś, że cię zabiję, prawda, Tomie?

Przytaknąłem. Wciąż byłem w szoku, cały dygotałem. Po podłodze płynęła ku nam fala szkarłatnej krwi. Alice wciąż trzymała miecz, teraz jednak celowała w ziemię.

– Tylko tak mogłam go zabić. Rozumiesz to chyba, prawda, Tomie? Dopóki trzymałeś w dłoni miecz, nie pojawiłby się. Był głupcem, bo mi zaufał. Nie wątpił, że będę mu posłuszna. Obiecałam, że zdobędę miecz i cię zabiję, a on mi uwierzył.

– Wyraz twoich oczu... – Zadrzałem na samo wspomnienie. – Naprawdę wyglądałaś, jakbyś mnie nienawidziła i zamierzała zabić.

Przyglądałem się jej. Nawet teraz dostrzegałem w niej coś przerażającego – i nie tylko dlatego, że nadal dzierżyła w dłoni Gwiezdną Klingę, którą zabiła Lukrastę.

– Musiałam wyglądać przekonująco – oznajmiła. – On musiał w to uwierzyć, prawda? Ale ty mi nie ufałeś, Tomie. Nie wierzyłeś w łączącą nas miłość. Możesz zatem sam wrócić do Chipenden.

Jej słowa mnie zraniły, nie mogłem jednak zaprzeczyć, że przez moment w nią zwątpiłem. Miała rację. Nie w pełni jej ufałem.

Nagle moją uwagę przyciągnęła Gwiezdna Klinga. Alice też się w nią wpatrywała. Uniosła miecz, balansując nim na dłoniach, i zmarszczyła brwi.

Działo się z nim coś dziwnego. Zobaczyłem, że ostrze wygina się, pęka i rozpada w chmurze rdzawych płatków. A potem na moich oczach zamieniło się w pył, który przesypał się między palcami Alice.

Gwiezdna Klinga zniknęła.

– Ty to sprawiałaś swoją magią, Alice? – spytałem z goryczą.

– I proszę, znów mnie obwiniasz, Tomie! Po co miałabym ją

niszczyć? – odparowała.

– Grimalkin twierdziła, że miecz jest niezniszczalny, że z czasem będzie się stawał tylko silniejszy.

– Kto wie, co się stało, Tomie? Ale to nie moja sprawa. Może zrobił już swoje? Zagrożenie ze strony Kobalosów minęło. Być może zniszczył go kontakt z krwią Lukrasty? To w końcu najpotężniejszy ludzki mag, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. Możliwe, że taka właśnie była cena jego zabicia: koniec Gwiazdnej Klingi. Kto wie?

Pochyliłem głowę, wbijając wzrok w podłogę. Kałuża krwi powoli rosła, teraz od szpiczastych trzewików Alice dzieliło ją zaledwie parę cali. Popełniłem błąd, pochopnie wyciągając wnioski. Myliłem się, znów ją obwiniając. Nim jednak zdążyłem przeprosić, odezwała się ponownie.

– Nie wracam z tobą do Chipenden, Tomie. Muszę wszystko przemyśleć. Sama nie wiem, czy możemy jeszcze być razem.

ROZDZIAŁ

31



MUSISZ ZAPŁACIĆ

THOMAS WARD

Podróż powrotna do Chipenden była powolna i smutna. Miałem wiele do przemyślenia.

Nigdy nie czułem się aż tak bardzo sam. Najpierw straciłem Jenny, a teraz Alice. Życie w Chipenden zapowiadało się bardzo samotnie.

Pierwszego wieczoru, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, wyciągnąłem z torby notes Jenny i zacząłem czytać. Większość zapisków wyglądała tak, jak się spodziewałem: uwagi na temat stworów z Mroku i relacje z jej własnych przeżyć i szkolenia. Od moich notatek różniło je tylko to, że opisy Jenny były barwniejsze i pełne szczegółów, a jej pismo o wiele ładniejsze. Ale jeden fragment przyciągnął mój wzrok. Powstał całkiem niedawno, po naszym powrocie z Polyzni do Hrabstwa.

Dobrze jest wrócić do domu. Im dłużej mieszkam u Toma w Chipenden, tym bardziej kocham to miejsce. Lubię ogród, nawet tę część, w której trzymamy w jamach wiedźmy i boginy. Rozprawianie się z nimi to także nasza praca – muszę koniecznie owoić się ze wszystkimi aspektami Mroku, stać się dzielna i silna. Zamierzam być dobrą uczennicą, a kiedyś jeszcze lepszą stracharką. Po to się urodziłam. Moje życie zaczęło się w dniu, kiedy wstąpiłam do terminu u Toma Warda.

Po przeczytaniu ostatniego zdania do oczu napłynęły mi łzy. Wszystkie starania Jenny, całe jej szkolenie, krok po kroku wiodły ją wprost ku śmierci.

Mogłem się pocieszać tylko jednym: odkąd przyjąłem do siebie Jenny, była szczęśliwa. Będę za nią tęsknił, nawet za jej bezczelnością.

Życie stracharza nie jest łatwe. To samotny, niebezpieczny fach. Teraz jednak zrozumiałem, że najgorszy jego aspekt to szkolenie ucznia tylko po to, by na zawsze go utracić. Ponad trzecia część uczniów mojego mistrza zginęła w czasie terminu, wiedziałem zatem, że niemal na pewno mnie także znów to spotka. Myśl ta była trzeźwiąca i niepokojąca zarazem.

Jenny okazała się dzielna i bardzo zdolna. Nie żałowałem, że zgodziłem się ją uczyć. Jeśli nadarzy się sposobność, z pewnością przyjmę kolejną dziewczynę. Ale tak czy inaczej, niedługo będę musiał poszukać następnego ucznia. Dom na moczarach Anglezarke i młyn nad kanałem stały puste, pozbawione stracharzy. Od tej pory będę musiał opiekować się dodatkowymi obszarami.

A gdyby coś się ze mną stało – co wtedy? Kto chroniłby Hrabstwo przed Mrokiem?

Musiałem koniecznie wyszkolić swoich następców.

Na przedmieściach Chester odpocząłem parę dni. Kupowałem jedzenie od gadatliwego rolnika i spałem w jego stodole. Miał wieści dotyczące wojny. W całym mieście panowało podniecenie, bo mroczna armia Kobalosów nie obozowała już na przeciwległym brzegu Morza Północnego.

Długie kolumny wojowników wycofywały się na północ, w stronę Valkarky. Nasze wojska także odwołały alarm i mobilizację. Miejscowy regiment wrócił do Chester.

Powszechnie sądzono, że nieprzyjaciel zapuścił się za daleko, że ich tabory musiały przebywać zbyt długą drogę, aby utrzymać tak ogromną armię.

Ja jednak znałem prawdę. W rzeczywistości to zniszczenie ich boga Talkusa i śmierć wielu najwyższych magów pozbawiły Kobalosów zapału wojennego. Z tego, co wiedziałem, Balkai wciąż żył, lecz przyszłość pokaże, czy łagodniejsze frakcje społeczności kobaloskiej zdołają stworzyć stabilną, pokojowo nastawioną władzę. Konflikty między ludźmi a Kobalosami raczej nigdy nie wygasną, ale ich mroczne sny o władzy nad światem już się nie spełnią.

Zagrożenie ustało.

Hrabstwo było bezpieczne.

Leniwym krokiem podążałem na północ.

Od dawna już się nie myłem. Pokrywała mnie warstwa brudu, a moje ciało i ubranie cuchnęły. Kiedy zatem wypatrzyłem pośród kępy drzew niewielkie jezioro, zatęskniłem za kąpielą.

Choć dochodziło południe i słońce przyjemnie przygrzewało, podobne jezioro nawet w środku lata pozostają zimne. O mało zatem nie zrezygnowałem i nie odszedłem – potem jednak odkryłem, że zzuwam już buty i skarpetki.

Najpierw uprałem skarpety. Szatą się nie przejmowałem – mogła poczekać do powrotu do Chipenden – ale starannie wypłukałem portki i koszulę, wykręciłem mocno i rozłożyłem na brzegu, żeby wyschły. Następnie odetchnąłem głęboko i zanurzyłem się w wodzie.

Okazało się, że jest lodowata – zimniejsza nawet, niż przypuszczałem. Gwałtownie wypuściłem powietrze; wstrząs sprawił, że serce o mało nie przestało bić. Pozostałem w niej niecałą minutę.

Kiedy wyszedłem nagi na brzeg, ociekając wodą, czekało tam na mnie czterech zbrojnych Kobalosów. Wygolona twarz jednego świadczyła, że to mag. Drugi miał trzy warkoczyki, charakterystyczną fryzurę zabójcy Shaiksy. W pierwszym odruchu chciałem wezwać Kratcha, ale od najbliższej linii mocy dzieliły mnie co najmniej trzy mile.

Nie musiałem pytać maga o imię, ale i tak mi się przedstawił, mierząc mnie od stóp do głów pełnym pogardy wzrokiem.

– Trudno uwierzyć, że taki mizerny człowieczek sprawił tak wiele kłopotów i zaszkoził tylu naszym. Nazywam się Balkai. Musisz zapłacić za to, co uczyniłeś. Odbierzemy od ciebie ten dług, powoli i boleśnie.

Zrozumiałem, że zrobiłem się nieostrożny. Sądziłem, że zagrożenie ze strony Kobalosów minęło i że ponieważ stracili swego boga i wielu magów, a teraz wycofują się na północ, nie będą próbowali się mścić. Tak bardzo skupiłem się na przepaści, jaka otworzyła się pomiędzy mną a Alice, że nie myślałem w ogóle o Balkaim, magu, który najpewniej stworzył obie tulpy.

Ale on myślał o mnie.

I łaknął zemsty.

A ja nie miałem już Gwiazdnej Klingi, która ochroniłaby mnie przez jego magią.

Dwaj wojownicy błyskawicznie zaszli mnie od tyłu i zanim zdążyłem się odezwać, jeden z nich wymierzył mi opancerzoną pięścią potężny cios w nerki. Zdjęty bólem, upadłem na kolana. Możliwe, że na moment straciłem przytomność, potem jednak poczułem, jak ciągną mnie po ziemi. Ręce i nogi miałem tak słabe, że nie mogłem nimi poruszyć.

Znów usłyszałem głos Balkaiego.

– Kopcie tutaj! – polecił, wskazując miejsce leżące w pobliżu.

Leżałem bez ruchu na wznak, sparaliżowany mroczną mocą. Mag i zabójca Shaiksa patrzyli na mnie bez cienia litości.

– Kopiaj twój grób – oznajmił chełpliwie zabójca.

– Wiesz, co oznacza słowo therskold? – spytał ostro Balkai.

Pamiętałem, że pojawiło się w glosariuszu Nicholasa Browne'a, ale nawet gdybym chciał, nie zdołałbym mu tego powiedzieć. Ledwie byłem w stanie oddychać, a co dopiero się odezwać.

– To nasza nazwa progu, na który rzuciliśmy słowo zakazu bądź bólu. Czasem jedynie strzeże drzwi, broniąc wstępu intruzom. W tym przypadku posłużyłem się nim, by odciąć cały ten obszar: teraz nikt nie może tu wejść ani nawet wyczuć naszej obecności.

Nie spodziewaj się zatem odsieczy. Nawet kruki przybywające z Mroku nie zdołają się odnaleźć. Nikt się nie wtrąci. Mamy aż nadto czasu, żeby wymierzyć ci karę.

Nie wątpiłem w prawdziwość słów Balkaiego, lecz wciąż nie traciłem nadziei. Pomoc mogła nadejść z dwóch stron – nadal miałem dwie szanse ocalenia życia. Pomyślałem o Grimalkin, nękającej powracającą do domu kobaloską armię. Gdyby tylko wiedziała, co mnie spotkało, z pewnością przybyłaby mi na ratunek. Przypomniałem sobie jednak, że mogła odwiedzać ziemię jedynie w godzinach ciemności. Słońce wciąż płonęło wysoko na niebie – nie mogłem się jej spodziewać aż do zmroku.

Potem pomyślałem o Alice. Co prawda nie rozstaliśmy się w zgodzie, ale nie wątpiłem, że gdyby wiedziała, w jakich opałach się znalazłem, spróbowałyby mi pomóc. Władła potężną magią. Mogłaby przebić się przez therskold i sprawdzić, co mnie spotkało. Rozpaczliwie uczepiłem się tej nadziei.

Wkrótce zorientowałem się, że wloką mnie za stopy w stronę przygotowanego specjalnie dołu w ziemi. Moja głowa podskakiwała na nierównościach. Bezceremonialnie wrzucili mnie do środka. Leżąc głęboko w grobie, wciąż nie mogłem się poruszyć i jedynie z wielkim trudem łapałem oddech. Mimo to Kobalosi nie ryzykowali. Przynieśli paliki, wbili je głęboko w ziemię i przywiązali mnie do nich mocno za kostki i przeguby. Potem odeszli.

Słońce zniżało się już powoli i nie widziałem mych wrogów – jedynie krawędzie otwartego grobu i niebo w górze. Być może to ostatni raz, kiedy je oglądam... Widziałem też smugę dymu i czułem jego woń. Kobalosi rozpalili w pobliżu ognisko. Drwa płonęły z trzaskiem.

Wkrótce mag i Shaiksa wrócili i zsunęli się w głąb grobu. Dwaj wojownicy zostali na górze, patrząc na mnie gniewnie. Przekonałem się, że zabójca trzyma w dłoni coś przypominającego włócznię o czerwonym czubku, ale trudno mi było się skupić.

Nagle pojawił się cienki kołek z rozżarzoną ostrą końcówką. Shaiksa przyłożył mi go do brzucha i zaczął wkręcać w ciało, cały

czas naciskając miarowo. Próbowałem zachować milczenie, ale ból był potworny i nie zdołałem powstrzymać rozdzierającego krzyku.

Shaiksa naparł na kołek całym swym ciężarem i poczułem, jak przebija mi ciało na wylot. Chciał, żebym cierpiał jak najdłużej. A potem straciłem przytomność.

Kiedy otworzyłem oczy, zabójca wciąż unosił nade mną kołek. Przez moment sądziłem, że odtwarzam w pamięci niedawne przeżycia, ale potem ujrzałem pierwszy palik, tkwiący głęboko w moim brzuchu. Ten był zatem drugi.

– Powiadają, że jesteś siódmym synem siódmego syna – rzekł Balkai z uśmiechem, patrząc na mnie z góry. – Stosownie zatem, by twoje ciało przebiło siedem takich kołków. Dopiero po wbiciu siódmego pozwolimy ci umrzeć.

Shaiksa przytknął mi do piersi, wysoko po prawej stronie, rozżarzony czubek drugiego palika i zaczął wwiercać go we mnie. Nozdrza wypełnił mi swąd palonego ciała; krzyczałem tak głośno, że zdarłem sobie gardło.

Czekali bardzo długo, zanim wrócili z trzecim kołkiem. Spojrzałem w górę: niebo zaczynało już ciemnieć. Właśnie zaszło słońce.

Nagle przepęłniła mnie nadzieja. Z pewnością zaraz zjawi się Grimalkin?

Księżyc powoli wspinał się na niebo – widziałem go z grobu – lecz Grimalkin nie przybyła. Stopniowo dotarło do mnie, że jestem sam i sam umrę. Nikt nie przyjdzie mi z pomocą. Wszyscy mnie porzucili.

Już dwa pierwsze kołki sprawiały dotkliwy ból, ale przy trzecim okazał się on jeszcze gorszy. Dygotałem, zwijając się w męczarniach, gdy oprawcy przebijali mi lewe udo. Gdzieś w pobliżu ktoś płakał, krzyczał i wzywał matkę.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że to ja.

ROZDZIAŁ

32



MROCZNY MŚCICIEL

THOMAS WARD

Często słyszałem, że konający tuż przed śmiercią, zwłaszcza na polu bitwy, wzywają swoje matki.

Teraz ja także to robiłem – nie mogłem się powstrzymać. Błagałem o życie, o litość, jęczałem, płakałem, krzychałem. Ból był nie do zniesienia.

Kobalosi śmiali się ze mnie, a Balkai splunął mi w twarz.

– Teraz nie jesteś już taki odważny, człowieczku – szydził. – Kobaloski wojownik nigdy by tak nie skomlał i nie błagał!

Przebili mnie czwartym palikiem, potem piątym i szóstym. Niemal odchodziłem od zmysłów z bólu, wrzeszcząc w malignie.

– Mamo, mamo! – nawoływałem w noc. – Pomóż mi, pomóż!

Z początku nikt nie odpowiadał. Znów osunąłem się w ciemność – i nagle znalazłem się z powrotem w kuchni na Farmie Pivnej, gdzie dorastałem. Siedziałem na stołku przy palenisku i słyszałem skrzypienie bujanego fotela, który kołysał się w przód i w tył: mama przesunęła go w najdalszy kąt, gdzie nie docierały promienie słońca. Jasne światło raniło jej oczy.

Czyżbym umierał i całe życie przebiegało mi przed oczami? Byłaby to wizja dnia, gdy jako dwunastolatek spytałem mamę, czy mogę przerwać termin u Johna Gregory’ego? Czułem się bardzo samotny, a praca była taka ciężka. Pamiętam dokładnie, co odpowiedziała:

– Jesteś siódmym synem siódmego syna. To fach, do którego się urodziłeś. – A potem dodała coś jeszcze: – Ktoś musi stawić czoło Ciemności. I tylko ty możesz tego dokonać.

Wówczas niechętnie wróciłem i podjąłem szkolenie w nadziei, że mama będzie ze mnie dumna. Walczyłem z Mrokiem i wiele razy zwyciężałem, ale cena okazała się wysoka. Zginęło tak wielu ludzi; by wymienić choć troje, mój mistrz, Bill Arkwright i Jenny. A teraz wreszcie nadszedł i mój koniec.

Patrzyłem na mamę, bujającą się w przód i w tył w swym starym fotelu. Wyglądała tak, jak ją zapamiętałem – ciepła, życzliwa niewiasta, najlepsza położna w Hrabstwie, kochająca żona i matka. Kiedy jednak nasze spojrzenia się spotkały, w znajomych oczach dostrzegłem coś groźnego i nieustępliwego i przypomniałem sobie jej drugą postać.

Była pierwszą lamią, matką ich wszystkich.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała ostro. Jej głos brzmiał zimno. Przestała się kołysać, co nigdy nie zwiastowało niczego dobrego.

Nagle pojąłem, że to nie wspomnienie z przeszłości! Naprawdę znalazłem się z nią twarzą w twarz. Mama zginęła w zwycięskiej walce ze swą demoniczną nieprzyjaciółką Ordyną – choć już później raz ją spotkałem i z całą pewnością nie był to tylko sen. Nie miałem pojęcia, gdzie teraz mieszkała, ale jej duch wciąż żył – i oto znów się spotkaliśmy.

– Mamo! Mamo, to naprawdę ty? – zawołałem i do oczu napłynęły mi łzy; potem zaczęły ściekać po moich policzkach.

– Tak, to ja, synu. Ale nie marnuj czasu na płacze. Samymi łzami nigdy niczego nie osiągniesz. Pytam raz jeszcze: czego ode mnie chcesz?

– Zabijają mnie, mamó. Torturują mnie i zabijają. Zostałem sam. Proszę, pomóż. Nie mam nikogo poza tobą.

– Płaczesz jak dziecko, synu. – W jej głosie dzwięczał zawód. – Jesteś już mężczyzną.

– Przepraszam, mamó, ale tak bardzo boli, że odchodzę od zmysłów. Nie mogę tego znieść. Nie wytrzymam dłużej.

Mama znów zaczęła się kołysać, a jej twarz rozjaśnił leciutki

uśmiech.

– Do tej pory świetnie się spisywałeś, synu. Byłeś wszystkim, na co liczyłam. Naprawdę stałeś się łowcą, polującym na Mrok. Ale teraz nie mogę ci pomóc i po prawdzie nawet gdyby to było możliwe, i tak bym się nie wtrącała. Tak postępuje prawdziwa matka: pielęgnuje i wychowuje dzieci, a potem posyła w szeroki świat, gdzie muszą radzić sobie same. Sam musisz sobie pomóc.

– Ale jak, mamó? Jak?

Poruszała swym fotelem coraz szybciej i szybciej, drewniane bieguny uderzały donośnie o kamienne płyty posadzki. Teraz uśmiechała się promiennie jak kochająca matka, którą tak dobrze pamiętałem.

– Jesteś synem swojego ojca – siódmym z siódmego – ale też i moim. W twoich żyłach płynie moja krew. Przestań więc się powstrzymywać. Bądź tym, kim musisz się stać, żeby ocalić życie.

To rzekłszy, mama wraz z kuchnią zniknęła mi z oczu, a ból powrócił... ale tym razem inny.

Nadal czułem przeszywające pulsowanie w miejscach, gdzie w ciało wbijały się kołki, teraz jednak towarzyszyło mu coś jeszcze. Czułem gorąco, coś wewnątrz mnie płonęło, niczym ogień we krwi, rozżarzona lawa w żyłach. Zastanawiałem się, czy nie trawi mnie gorączka.

Otworzyłem oczy, wyteżając wzrok, żeby przeniknąć ciemność. Z trudem policzyłem kołki. Było ich sześć: po jednym w każdej ręce i udzie, jeden w piersi i jeden w brzuchu. Słyszałem dobiegające z oddali głosy i towarzyszące im śmiechy. Znów poczułem w powietrzu dym.

Przygotowywali siódmy kołek.

Niebo nade mną wciąż było ciemne, chmura przesłaniała księżyc. Niewiele światła docierało co mojego grobu. Zamknąłem oczy, myśląc o tym, co powiedziała mama. Czym „musiałem się stać”? I jak to zrobić? Niedługo będę martwy.

Może to dar, jak umiejętność spowalniania czasu?

I wtedy uświadomiłem sobie, że coś we mnie się zmieniło. Kiedy zamknąłem oczy, ujrzałem to w głowie: coś czerwonego, świetlistą

masę, niczym wielką kroplę krwi, bulgoczącą wewnątrz rozpalonego kotła, rodzaj ognia... ognia, który czułem.

Pieczenie stawało się coraz boleśniesz. Prócz ciała ogarnęło też umysł. Było gorsze nawet niż męczarnie zadawane przez przebijające mnie kołki.

Jęknąłem, gdy całym moim ciałem szarpnęły gwałtowne spazmy. Wygięcie pleców odrobinę złagodziło ból, potem jednak usłyszałem trzask i zgrzyt, a po nim obrzydliwe mlaśnięcie. Kolejne fale cierpienia przepływały przeze mnie; miałem wrażenie, że cały na zmianę kurczę się i rozciągam.

Ból stał się jeszcze gorszy. Krzyknąłem.

W dali rozbrzmiewały śmiechy Kobalosów, bez wątpienia uradowanych tym, jak cierpię. A potem zapadłem się w siebie, aż do czerwonego jądra w sercu mojej jaźni. Paliło, lecz ku memu zdumieniu tutaj ból okazał się znośniejszy. Znalazłem bezpieczne schronienie.

Nie wiem, jak długo tam tkwiłem – z pewnością niezbyt długo, bo następną rzeczą, jaką usłyszałem, była rozmowa Balkaiego z Shaikszą. Wciąż siedzieli przy ognisku – wiedziałem to, choć krawędź grobu skrywała ich przed moim wzrokiem, a zresztą i tak miałem zamknięte oczy. Ich głosy zdawały się bardzo bliskie, jakby stali tuż obok mnie. Mówili w loście, którą ledwo znałem, a jednak teraz rozumiałem każde słowo.

I jeszcze coś: słyszałem bicie ich serc. Każdy Kobalos miał dwa serca – jedno w piersi i drugie w gardle – a ja słyszałem wyraźnie ich podwójne uderzenia.

Zrozumiałem, że moje zmysły się wyostrzyły. Mama była pierwszą lamią, jej krew płynęła w moich żyłach.

Bądź tym, kim musisz się stać. Tak mi powiedziała.

Zmieniałem się.... czyżbym stawał się lamią?

Wyteżyłem słuch i odkryłem, że doskonale rozumiem każde słowo Kobalosów.

– Nasze armie muszą wycofać się do Valkarky, ale to jeszcze nie koniec. Możemy zacząć wszystko od początku. Stworzyć nowego boga, potężniejszego nawet od Talkusa – mówił Balkai. – Władam

magią dostatecznie silną, by móc tego dokonać.

Teraz, prócz podwójnego rytmu serc, słyszałem też krew tętniącą im w żyłach.

Otworzyłem oczy i odkryłem, że wewnątrz mojego grobu jarzy się czerwonym blaskiem. Widziałem każdy najdrobniejszy szczegół otoczenia: maleńkie owady kreślące wzory w ziemi, gdy przemykały po niej tam i z powrotem, robaki przekopujące się głębiej, tworzące labirynty tunelików. W górze chmury wciąż pędziły na wschód, niesione wiatrem od morza, ja jednak przenikałem przez nie wzrokiem, dostrzegając niezliczone gwiazdy. Płonęły w ciemności niczym oczy.

Muszę też wspomnieć o zapachach, ostrzejszych i mocniejszych niż kiedykolwiek wcześniej: woni trawy, liści i dalekiego morza. Jednak jeszcze silniejszy był słodki odór krwi... tyle że nie mojej krwi. Z jakiejś przyczyny jej nie czułem wcale, choć przecież musiałem krwawić z licznych ran. Wyczuwałem tylko krew moich wrogów.

Pachniała dziwnie kusząco. Zupełnie jakby przyzywała mnie do siebie.

Teraz nie mogłem już dłużej wątpić: zamieniłem się w lamie. Czas ruszyć po to, czego potrzebuję.

Miałem wrażenie, że stanowczo za długo leżę w tym samym miejscu, toteż usiadłem i wyciągnąłem ręce i nogi, uwalniając się ze sznurów. Natychmiast poczułem powtarzające się irytujące swędzenie i szybko wyciągnąłem ostre kołki wbite w moje ciało, jakby były zaledwie zwykłymi cierniami.

Podniosłem się na kolana, a potem wstałem, rozkoszując się nowym poczuciem wolności. Dlaczego tak długo tkwiłem w tym dole? Czemu zwlekałem? Przepęłniały mnie siła i energia.

A także straszliwe pragnienie, które mogło ugasić tylko jedno – krew moich wrogów.

Wyskoczyłem z grobu, wylądowałem na trawie i ruszyłem w stronę rozkosznego zapachu, do ogniska, przy którym stały cztery postacie. Na mój widok dwie czmychnęły natychmiast; trzecia rzuciła się na mnie, dżgając zaostrzonym kijkiem. Złapałem

napastnika za ramię, potrząsnąłem, a potem cisnąłem na bok, patrząc, jak obraca się w powietrzu: raz, drugi, trzeci, i ciężko uderza o ziemię.

Czwarty stwór, największy, bełkotał jakieś bzdury i gestykulował rękami. Zdarłem z niego cienki metal, okrywający ciało, a potem zacząłem pić krew, słuchając, jak wrzeszczy w agonii.

Później, wciąż spragniony, wróciłem do zabójcy. Miał skręcony kark i jego krew niemal zupełnie ostygła, spływając w dolne części ciała. Pociągnąłem ledwie łyk i wyplułem szybko.

Zacząłem szukać pozostałej dwójki, wciąż uciekającej ile sił w nogach. Mogłem ich dogonić, ale wschodziło już słońce i moje pragnienie osłabło.

Zamiast tego skręciłem nad jezioro i ukląknąłem na brzegu. Umysł miałem pusty. Zapatrzyłem się we własne odbicie. To, co ujrzałem, zaskoczyło mnie całkowicie.

Istnieją dwie odmiany lamii: udomowiona i dzika. Pierwsza wygląda niemal jak człowiek, druga porusza się na czterech kończynach, ma ostre szpony i zęby i porastają ją żółtozielone łuski. Wśród dzikich lamii wyróżniają się wengiry, które potrafią latać.

Co prawda nie miałem skrzydeł, ale sądząc po odbiciu, moja nowa postać była czymś pośrednim między dziką i udomowioną. Chodziłem na dwóch nogach, a moja twarz bardziej przypominała ludzką niż tę lamii – choć wydłużyła się i częściowo pokrywały ją zielone łuski, wciąż zachowałem własny nos i oczy. Usta miałem szersze; wewnątrz dostrzegłem dwa rzędy ostrych zębów, niemal tak szpiczastych, jak u Grimalkin.

Spojrzałem na swoje dłonie. Z kształtu przypominały ludzkie, ale i one częściowo porosły łuską, a paznokcie wydłużyły się i zaostrzyły.

Udomowiona lamia zachowuje swoją postać dzięki bliskim kontaktom z ludźmi; oderwana od nich, powoli zmienia się w dziką, która to zmiana może trwać wiele tygodni.

Moja przemiana zabrała niecałą godzinę... zatem byłem czymś

innym, owocem połączenia krwi taty i mamy, krążącej mi w żyłach.

Zastanawiałem się, czy to trwała zmiana. Czy zostanę już taki na zawsze?

I nagle ogarnęło mnie przemożne znużenie. Głowa ciążyła mi nieznośnie, położyłem się zatem nad wodą i zapomniałem o wszystkich troskach.

Chyba przespałem parę godzin. Kiedy się ocknąłem, znów zerknąłem na własne odbicie w tafli wody i odkryłem, że odzyskałem ludzką postać.

Wykąpałem się, zmywając z ciała krew, po czym obejrzałem uważnie własne ciało. Nie dostrzegłem żadnych śladów pozostawionych przez przebijające mnie kołki. Nawet łuski, którymi zarosła rana zadana przez Shaiksę, z którym walczyłem w Polyzni, zniknęły. Skórę miałem nieskazitelnie gładką, bez żadnych blizn. Z moich pięt zniknęły odciski, miękkie stopy przypominały nóżki noworodka. Wystarczy mila marszu, by pokryły je pęcherze.

Założyłem wciąż wilgotne ubranie, naciągnąłem skarpety i buty. Potem narzuciłem na ramiona płaszcz, zabrałem kij i torbę i ruszyłem do Chipenden.

Podczas marszu rozmyślałem o tym, co się stało.

Czy był to dar, czy przekleństwo? Tak czy inaczej, ocalił mi życie. Zastanawiałem się, czy zdołam zapanować nad tą zdolnością i przywołać ją w razie potrzeby czy zagrożenia. A może to ona zapanuje nade mną? Stałem się czymś więcej, ale też i mniej niż człowiekiem. Już pierwsza przemiana wpłynęła także na mój sposób myślenia.

Owszem, byłem siódmym synem siódmego syna – i dzieckiem swego ojca. Ale byłem też dzieckiem mamy i w moich żyłach płynęła krew lamii.

Zawsze obawiałem się, że Alice podda się Mrokowi. Teraz ja też to zrobiłem.

Grimalkin była mścicielką i zabójczynią z Mroku; ale i ja stałem się innym rodzajem mrocznego mściciela.

Wewnątrz mnie drzemała bestia.

W końcu, w promieniach zachodzącego słońca ujrzałem przed sobą Chipenden i omijając wioskę, pomaszerowałem z boczem wprost do domu. Bez Alice i Jenny będę się czuł bardzo samotny, ale pozostaje mi tylko do tego przywyknąć. Jestem stracharzem z Chipenden, nie zabraknie mi zajęć: walka z Mrokiem choć na trochę pozwoli zapomnieć o smutku.

Przeciąłem ogród, otworzyłem tylne drzwi, odstawiłem torbę, oparłem laskę o ścianę i powiesiłem płaszcz na haczyku. Byłem głodny, ale bogin przyrządzał wyłącznie śniadania. Ruszyłem zatem do kuchni z zamiarem znalezienia czegokolwiek, czym mógłbym się posilić.

Zanim jeszcze wszedłem, usłyszałem głośne mruczenie. Zerknąłem do środka i przekonałem się, że na stole czeka prawdziwa uczta. Były tam mięsiwa i owoce, nozdrza wypełnił mi smakowity zapach świeżo upieczonego chleba. Na kominku płonął ogień, wypełniając całe pomieszczenie ciepłem i pogodnym blaskiem. Bogin wciąż mruczał, wyraźnie bardzo zadowolony.

Nie był jednak niewidzialny – przybrał swą przyjazną, domową postać wielkiego rudego kocura.

Nie siedział też na dywaniku przed paleniskiem.

Siedział na kolanach Alice.



GLOSARIUSZ ŚWIATA KOBALOSÓW



ORYGINALNIE NAPISANY PRZEZ NICHOLASA BROWNE'A, Z ADNOTACJAMI TOMA WARDA I GRIMALKIN

Anchieta: ssak żyjący w norach, występujący w lasach północy na granicy śniegów. Kobalosi uważają go za przysmak i zjadają na surowo. Stworzenie nie ma zbyt wiele mięsa, oni jednak wprost przepadają za kośćmi jego łap.

Uzupełnienie: Próbowałam jeść te stworzenia (niewiele większe od zwykłych myszy) i z całą stanowczością wolę króliki. Jest ich jednak całe mnóstwo, łatwo dają się złapać i najlepiej smakują w postaci gulaszu. Po przyprawieniu odpowiednimi ziołami otrzymujemy całkiem znośny posiłek. – Grimalkin

Askana: to siedziba kobaloskich bogów. Prawdopodobnie inne określenie Mroku.

Intrygujące. Nicholas Browne mógł mieć rację, ale czy to możliwe, by kobaloscycy bogowie istnieli poza tym, co nazywamy Mrokiem? Cuchulain mieszkał w Wydrążonych Wzgórzach, do których można się dostać z Irlandii. One także nie stanowiły części Mroku. – Tom Ward

Baelicki: zwykły, codzienny język Kobalosów, używany jedynie w sytuacjach nieoficjalnych, w rodzinie bądź by okazać przyjaźń. Prawdziwy język Kobalosów to losta, posługują się nim także ludzie mieszkający na granicy ich terytoriów. Jeśli nieznajomy zwróci się do innego Kobalosa po baelicku, sugeruje to sympatię, ale czasami stanowi wstęp do „handlu”.

Balkai: pierwszy i najpotężniejszy z trzech kobaloskich wysokich magów, którzy stworzyli Triumwirat po zabójstwie króla i obecnie władają Valkarky.

Jak dotąd nie mieliśmy do czynienia z Balkaim. To przerażająca perspektywa, zważywszy, że jest potężniejszy nawet od Lenklewtha, który o mało nas nie pokonał. Tylko Gwiezdna Klinga może mnie przed nim ochronić. – Tom Ward

Berserkerzy: kobaloscycy wojownicy, którzy poprzysięgli zginąć w walce.

Bindos: to kobaloskie prawo wymagające, by każdy obywatel co czterdzieści lat sprzedawał na targu niewolników co najmniej jedną purrę. Niedopełnienie tego prawa czyni go wyrzutkiem, odtrąconym przez współbraci.

Bosk: to oddech kobaloskiego maga, który potrafi wywoływać utratę świadomości, paraliż bądź grozę u ludzkiej ofiary. Magowie zmieniają właściwości bosku, odmieńając chemiczny skład swojego oddechu. Czasami służy też do zmiany nastroju zwierząt.

Uzupełnienie: Użyto go przeciwko mnie i natychmiast pozbawił mnie sił. Przeciwnik kompletnie mnie zaskoczył. Podczas walki należy zachować ostrożność i nie dopuszczać haizdana zbyt blisko. Być może szal zastaniający usta i nos okaże się skuteczną ochroną. Albo może woskowe zatyczki w nozdrzach. Tom Ward

Bychon: kobaloska nazwa ducha, zwanego w Hrabstwie boginem.

Warto byłoby sprawdzić, czy owe boginy dzielą się na te same kategorie jak u nas w Hrabstwie, czy też występują tam zupełnie nowe odmiany. – Tom Ward

Chaal: substancja, za pomocą której haizdan panuje nad

reakcjami ludzkiej ofiary.

Cougis: bóg o psiej głowie, którego czerwoną gwiazdę widać na niebie.

Cumular, Góry:

wysokie pasmo górskie wyznaczające północno-zachodnią granicę Półwyspu Południowego.

Dendarskie, Góry:

wysokie pasmo górskie, leżące jakieś siedemdziesiąt staj na północny zachód od Valkarky. U jego podnóża wzniesiono wielki Kulad, zwany Karpothą: sprowadza się tam i sprzedaje więcej niewolników niż we wszystkich innych fortecach łącznie.

Dexturai: kobaloscycy odmieńcy, zrodzeni z ludzkich kobiet. Stwory takie, choć z wyglądu przypominające ludzi, łatwo poddają się woli Kobalosów. Dysponują ogromną siłą i odpornością i często zostają potężnymi wojownikami.

Eblis: to najpotężniejszy z Shaiksa, kobaloskiego bractwa zabójców. Zabił ostatniego króla Valkarky z pomocą magicznej lancy, zwanej Kangadonem; uważa się, że ma ponad dwa tysiące lat i że nigdy nie został pokonany w boju. Bractwo określa go dwoma innymi mianami: Ten, Którego Nie Da Się Pokonać i Ten, Który Nigdy Nie Umrze.

Grimalkin twierdzi, że Eblis nie żyje. Pokonał go Wijec, a ona sama zabiła. Bractwo niestusznie zatem obdarzyło go owymi przydomkami: został pokonany i umarł. – Tom Ward

Erestaba: równina Erestaba leży na północ od rzeki Shanna, na terytorium Kobalosów.

Fittzanda, uskok:

zwany też Wielkim Uskokiem, to obszar słynący z trzęsień ziemi, wyznaczający południową granicę ziem kobaloskich.

Uzupełnienie: Uskok ten leży na północ od rzeki Shanna, ale Browne twierdzi, że jedno i drugie wyznacza granicę między ziemiami Kobalosów i ludzi. Najpewniej

podczas długoletniego konfliktu granica ta wiele razy się przesuwała. – Grimalkin

Galena, Morze:

morze na północny wschód od Combesarke. Leży pomiędzy tym królestwem i Pennade.

Gannar, lodowiec:

wielka rzeka lodu, której źródło stanowią Góry Cumular.

Ghanbala: liściaste drzewo z rodziny eukaliptusów, stanowiące ulubioną siedzibę kobaloskich magów haizdanów.

Ghanbalsam: żywica z drzewa ghanbala, zbierana przez maga haizdana i służąca za podstawę maści takich jak chaal.

Haggenmiot: wojownicza istota wyhodowana z ciała ludzkiej kobiety. Jej zadanie to udział w rytualnych walkach. Składa się z trzech jaźni połączonych wspólnym umysłem, mimo swej odrębności stanowiących jedno stworzenie.

Haizda: to terytorium maga haizdana, gdzie poluje i pielęgnuje ludzi, którzy do niego należą. Wysysa z nich krew i od czasu do czasu kradnie dusze.

Haizdan: rzadka odmiana kobaloskiego maga, który zajmuje własne terytorium daleko od Valkarky, gromadząc mądrość z obszaru, jaki uznał za swój własny.

Handel: choć Kobalosi mają własną walutę, walkrony, często preferują bezpośrednią wymianę dóbr bądź usług, zwaną „handlem” lub „umową”. Dotrzymanie warunków podobnej umowy to kwestia honorowa, nawet gdyby oznaczało śmierć.

Homunkulus: małe stworzenie wyhodowane z purrai w zagrodach skleech. Często mają po kilka ciał, którymi kieruje wspólny umysł. Jednakże nie są one identyczne, każda spełnia wyspecjalizowane zadania i tylko jedna z nich włada językiem losta.

Uzupełnienie: W Valkarky poznałam homunkulusa, służącego Wjycowi. Ten, który umiał mówić, przypominał z wyglądu drobnego mężczyznę i odpowiadał bezpośrednio przed magiem; inny przyjął postać szczura i został posłany na przesłpiegi. Z łatwością podporządkowałam go swojej woli. Istniała też trzecia postać, która

umiała latać, ale jej nie widziałam. Podobne stwory mogą posłużyć swoim panom do zdalnego zdobywania informacji na nasz temat. Trzy jaźnie homunkulusa łączy wspólny umysł (tak samo, jak u haggenniota), dzięki temu wszystko, co widzi jedna z nich, natychmiast zostaje przekazane do Valkarky. – Grimalkin

Hybris: grzech pychy wobec bogów. Winni owego grzechu, który wielokrotnie popełniają mimo ostrzeżeń, zazwyczaj ściągają na siebie gniew bogów. Sama decyzja zostania magiem to przejaw hybris i niewielu przeżywa okres nowicjatu.

Hybuski: hybuski, powszechnie nazywany hybem, to szczególna odmiana wojownika stworzona i zatrudniana w walce przez Kobalosów. Stanowi hybrydę Kobalosa i konia, dysponuje też innymi atrybutami służącymi do walki. Górne ciało ma kudłate i muskularne, łączy w sobie niezwykłą siłę i szybkość, potrafi rozszarpać przeciwnika na strzępy. Dłonie także ma specjalnie przystosowane do walki.

Kangadon: Lanca, Której Nie Można Złamać, znana także jako Królobójca, potężna broń wykuta przez kobaloskich wysokich magów; choć niektórzy wierzą, iż jest dziełem ich boga kowala, Olkiego.

Uzupełnienie: Grimalkin wspomniała, że lancę tę złamał w końcu Wijec, haizdan, z którym zawiazła tymczasowy sojusz. Udało mu się tego dokonać za pomocą jednego ze sztyletów z głowami skellów, Rębacza Kości. – Tom Ward

Karpotha: kulad u podnóża Gór Denderskich, w którym mieści się największy targ niewolników. Większość trafia tu wczesną wiosną.

Kartuna: kulad ten leży za rzeką Shanną. Sądzę, że tę właśnie wieżę odwiedził kiedyś haizdan, zwany Wijcem; uciekł stamtąd, zabijwszy ówczesnego Najwyższego Maga, Nunca. Uważam, że obecnie osiadł tam drugi najpotężniejszy mag z obecnego triumwiratu, porzuciwszy Valkarky. W wieży tej kryje się wiele jego magicznych przedmiotów.

Grimalkin miała rację - Lenklewth faktycznie tam mieszkał. Kiedy próbowaliśmy zbadać kulad, zastawił na nas pułapkę - mieliśmy szczęście, że uszliśmy z życiem, ale nie udało nam się przejąć magicznych skarbów. A choć Lenklewth nie żyje, bez wątpienia inny mag zajmie jego miejsce. - Tom Ward

Kashilowa: odźwierny Valkarky, który zezwala bądź odmawia wstępu do miasta. To wielki stwór o tysiącu odnóży, stworzony magią specjalnie do tego celu.

Kastarand: słowo to oznacza po kobalosku świętą wojnę, którą rozpętają, by pozbyć się z ziemi ludzkich istot, uważanych za potomków uciekinierów z niewoli. Nie rozpocznie się, póki nie narodzi się Talkus, kobalowski bóg.

Kirrhos: „płowa śmierć”, która spotyka ofiary haggenniota.

Kobalaska anatomia:

Kobalos ma dwa serca - większe mniej więcej w tym samym miejscu, co człowiek, i drugie, czterokrotnie mniejsze, u podstawy gardła. Jeśli nie da się obciąć głowy, należy przebić oba serca; inaczej umierający kobalowski wojownik pozostanie niebezpieczny.

Komnata Łupów:

skarbiec, w którym Triumwirat przechowuje przedmioty skonfiskowane mocą magii, siłą oręża bądź wyrokiem sądu. To najbezpieczniejsze miejsce w Valkarky.

Uzupełnienie: Aby odzyskać skradzione mi przedmioty, przedarłam się z powodzeniem przez ochronę owego, jak to nazywa Browne, „najbezpieczniejszego miejsca w Valkarky”. Okazało się to całkiem proste, ale być może dlatego, że Kobalosi nie mieli pojęcia o moich umiejętnościach, zarówno magicznych, jak i bojowych. Nie wątpię, że kiedy znów zapuszczę się do miasta, zabezpieczenia okażą się znacznie trudniejsze do pokonania. Dodatkowo narodziny ich boga Talkusa co najmniej potroily moc wszystkich kobaloskich magów. - Grimalkin

Kontrruch: ruch w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara albo wędrówki słońca po niebie. Kobalosczy magowie stosują go czasem, by narzucić kosmosowi swoją wolę. Pełen kontrruch, wiąże się z ogromnym ryzykiem.

Kulad: wieża obronna wzniesiona przez Kobalosów, strzegąca strategicznych miejsc na granicy ich terenów. Inne, leżące wewnątrz ich ziem, mieszczą w sobie targi niewolników.

Uzupełnienie: wiele kuladów zajęli także wysocy magowie. Mieszkają w nich i przechowują swoją magię i magiczne przedmioty. – Grimalkin

Lenklewth: drugi z trzech kobaloskich wysokich magów, tworzących Triumwirat.

Uzupełnienie: Lenklewth nie żyje. Był potężnym magiem, władał mocą silniejszą nawet od czarów Grimalkin. Pokonałem go z pomocą Gwiezdnej Klingi, a warteł poknął go w całości. – Tom Ward

Liga: odległość, którą w pięć minut pokonuje galopujący koń.

Losta: to język, którym posługują się wszyscy mieszkańcy Półwyspu Południowego, także Kobalosi, twierdzący, iż ludzie wykradli i zniekształcili ową mowę. Kobalaska wersja losty dysponuje słownikiem co najmniej o jedną trzecią większym niż ta ludzka, co może potwierdzać ich słowa. Z całą pewnością to anomalia lingwistyczna: dwa odmienne gatunki posługujące się wspólnym językiem.

Uzupełnienie: Mag, którego zabiłem nieopodal Chipenden, posługiwał się naszą mową, nie lostą. Grimalkin twierdzi, że kobalosczy magowie mają wielki talent lingwistyczny i specjalnie uczą się języków odległych krain, szykując się do inwazji. – Tom Ward

Magowie: istnieje wiele rodzajów ludzkich magów: to samo dotyczy Kobalosów. Przybyszowi z zewnątrz jednak trudno jest ich

opisać i podzielić. Nominalnie najwyższa ranga to wysoki mag; istnieje też odmiana magów zwana haizdanami, niepasująca do hierarchii, są to bowiem samotnicy, żyjący na własnych terytoriach, z dala od Valkarky. Trudno opisać i ocenić ich moce.

Mandragora: korzeń podobny z kształtu do człowieka, czasami używany przez kobaloskich magów, by skupić moc drzemiącą w umyśle.

Meliann: trzeci z trzech kobaloskich wysokich magów, tworzących Triumwirat.

Uzupełnienie: Podczas mojej wizyty w Valkarky walczyłam z Meliannem i zabiłam go w Komnacie Łupów, próbując odzyskać mój dobytek. Nie wiem, kto go zastąpił.
– Grimalkin

Nowicjat: pierwszy etap studiów podejmowanych przez haizdana, trwający około trzydziestu lat. Kandydat studiuje pod okiem jednego z najstarszych i najpotężniejszych magów. Jeśli z powodzeniem ukończy nowicjat, musi odejść, by samotnie uczyć się dalej i rozwijać swoje umiejętności.

Uzupełnienie: Przypuszczam, że haizdan, zabity niedaleko Chipenden przez Thomasa Warda, dopiero co ukończył nowicjat – i całe szczęście! Ktoś taki jak Wijec, którego poznałam w Valkarky, byłby o wiele groźniejszym przeciwnikiem. – Grimalkin

Olkie: to bóg kobaloskich kowali. Ma cztery ręce i zęby z mosiądzu. Kobalosi wierzą, że to on wykuł Kangadon, magiczną lancę, której ciosu nie da się odbić.

Oszere: substancja służąca za awaryjny pokarm dla koni, zrobiona z owsa nasączonego specjalnymi chemikaliami, które pozwalają jucznemu zwierzęciu przetrwać długą podróż: niestety, w rezultacie dochodzi do znaczącego skrócenia jego życia.

Oussa: elitarna gwardia, chroniąca Triumwirat i służąca mu. Jej członkowie strzegą też czasem grupy niewolników, prowadzone z Valkarky do kuladów na sprzedaż.

Polyznia: To największe i najmądrzejsze z północnych

państwerek, graniczących z ziemiami Kobalosów. Armię ma niewielką, ale dobrze wyszkoloną, a łuczników i jazdę znakomitych. Rządzi nim książę Stanisław.

Północne Królestwa:

wspólna nazwa, którą obdarza się małe królestwa, takie jak Pwodente i Wayland, leżące na południe od Wielkiego Uskoku. Częściej określa się tym mianem wszystkie królestwa na północ od Shalloth i Serwentii.

Purra (l. mn. purrai):

określenie, oznaczające jedną z ludzkich niewolnic, hodowanych przez Kobalosów. Można je także stosować do kobiet z haizdy.

Salamandra: tulpa ognistego smoka.

Shaiksa: bractwo kobaloskich zawodowych zabójców. Jeśli jeden z nich zginie, honor nakazuje pozostałym ściganie jego pogromcy.

Grimalkin mówiła, że w chwili śmierci Shaiksa potrafi przestać ostatnią wiadomość swoim braciom, informując ich, jak zginął i kto za to odpowiada. Wówczas członkowie bractwa rozpoczynają łowy na zabójcę. – Tom Ward

Shakamure: sztuka magiczna haizdanów, czerpiąca moc z krwi ofiar i wypożyczonych dusz.

Shanna, rzeka:

Shanna wyznacza dawną granicę między Północnymi Królestwami i ziemiami Kobalosów. Obecnie Kobalosi osiedlają się często na południe od owej linii. Obie strony już dawno odrzuciły traktat, wytyczający granice.

Przed rytualnym wyzwaniem, rzuconym przez zabójcę Shaiksa, wszyscy kobaloscycy wojownicy wycofali się na swój brzeg rzeki. Jak dotąd nie znamy powodów, które nimi kierowały. Wiele kobaloskich zachowań wciąż pozostaje dla nas tajemnicą. – Grimalkin

Shatek (zwany też džinnem):

wojownicza istota, złożona z trzech części, którymi kieruje wspólny

umysł. Różni się od haggenniota tym, że stworzono ją do walki w wojnach. Kilkanaście z nich zbuntowało się i nie podlega już władzy Kobalosów. Mieszkają z dala od Valkarky, siejąc śmierć i zniszczenie w okolicy swych nor.

Shudru: kobaloska nazwa surowej zimy, panującej w Północnych Królestwach.

Skaiium: czas, kiedy mag haizdan musi zmierzyć się z niebezpiecznym złagodzeniem swojej drapieżnej natury.

Skapien: mała sekretna grupka Kobalosów w Valkarky, sprzeciwiająca się handlowi purrai.

W Polyzni wraz z Jenny rozmawialiśmy z Abuskaiem, mającym powiązania z tą grupą. Później spotkaliśmy Wijca, pełniącego funkcję łącznika między skapienami i ludźmi. Mamy nadzieję zawiązać z nimi sojusz, wspólnie zmienić grupę rządzącą Valkarky, skończyć z niewolnictwem i przerwać wojnę. - Tom Ward

Skelt: stwór, który żyje nad wodą i zabija ofiary, wbijając im w ciało długi ryj w kształcie kościstej rurki wysysając krew. Kobalosi wierzą, że tę właśnie postać przybierze w chwili narodzin ich bóg, Talkus.

Skleech, zagrody:

zagrody w Valkarky, w których Kobalosi trzymają ludzkie niewolnice, służące im za pokarm i do hodowli nowych użytecznych hybrid.

Sklutch: odmiana stworzeń, służących Kobalosom. Specjalizują się w oczyszczaniu ścian i sufitów w Valkarky z szybko porastających je grzybów.

Skoja: materiał, powstający w ciałach whoskorów, z którego zbudowano Valkarky.

Skulka: jadowity wąż wodny, którego ukąszenie wywołuje natychmiastowy paraliż. Często wykorzystywany przez kobaloskich zabójców, unieruchamia ofiarę, którą z łatwością można zabić. Jad skulki jest niewykrywalny we krwi ofiary.

Slandata: według wysokiego maga Lenklewth'a „haniebna śmierć”. Karze się nią zbuntowane purrai; ma sprawić, żeby płakały z bólu. Zabójca dokonuje wielu cięć zatrutym ostrzem. Nawet najpłytsza rana nieznośnie boli – przekonałem się o tym na własnej skórze. – Tom Ward

Slarinda: kobiety Kobalosów. Wymarły ponad trzy tysiące lat temu. Zostały wymordowane z powodu kultu kobaloskich mężczyzn, nienawidzących kobiet. Teraz Kobalosi rodzą się z purrai, ludzkich kobiet, więzionych w zagrodach skleech.

Staja: odległość, którą galopujący koń pokonuje w pięć minut.

Talkus: bóg Kobalosów, który jeszcze się nie narodził. Po przyjściu na świat przybierze postać skelta. Imię Talkus oznacza Tego, Który Jeszcze Nie Nadszedł. Czasami określa się go też mianem Nienarodzonego.

Uzupełnienie: Talkus jak dotąd się nam nie ukazał. Nie znamy jego mocy, ale wiemy, że dzięki niemu kobaloscj magowie stali się o wiele potężniejsi. Możliwe, że okaże się dla nas największym zagrożeniem. – Tom Ward

Tantalingi: to metoda pozwalająca kobaloskim magom spoglądać w przyszłość. Wysoki Mag Lenklewth twierdził, że przewyższa zarówno postrzeganie wiedźm, jak i sposoby używane przez ludzkiego maga Lukraste.

Uzupełnienie: Kiedy nadarzy się sposobność, przyjrę się temu bliżej. Przyszłość nie jest stała, zmienia się z każdą podjętą decyzją i działaniem. Dlatego metody spoglądania w przyszłość nie są doskonałe. Podejrzewam, że Lenklewth po prostu się przechwalał. – Grimalkin

Targon: to imię, jakie Abuskai, nieżyjący kobaloski mag, nadał istocie

strzegącej bramy ognia, wiodącej do królestwa Talkusa. Jenny natknęła się na nią na strychu wieży. Istota okazała się niezwykle potężna i groźna. Tylko sól i żelazo pozwoliły Jenny uciec. Nie mam pojęcia, jak można unicestwić coś takiego. – Tom Ward

Therskold: próg, który oznaczono słowem zakazu bądź bólu. To wyjątkowo niebezpieczny obszar haizdy, nawet ludzki mag bardzo ryzykuje, przekraczając podobny portal.

Uzupełnienie: Kiedy zbadałam kryjówkę haizdana niedaleko Chipenden, nie znalazłam żadnych barier, bez wątplenia dlatego, że Tom Ward zabił już maga. Jak dotąd zatem nie zdołałam zbadać siły podobnych przeszkód. Nie potrafię orzec, czy bariery strzegące Komnaty Łupów stanowiły przykład therskoldu, czy też czegoś innego, ale przelatałam je bez trudu. – Grimalkin

Triumwirat: ciało rządzące Valkarky, złożone z trzech najpotężniejszych magów w mieście. Utworzone po tym, jak ostatni król Valkarky zginął z ręki Eblisa, zabójcy Shaiksa. W gruncie rzeczy to dyktatura, utrzymująca się u władzy bezwzględными metodami. W mieście nigdy nie brak kandydatów, gotowych zastąpić trzech członków Triumwiratu.

Tulpa: istota stworzona w umyśle maga, czasami przybierająca postać w świecie rzeczywistym.

Wiele podróżowałam i zgłębiałam ezoteryczne sztuki niezliczonych czarownic i magów, ale nigdy dotąd nie natknęłam się na nic podobnego. Czy kobalosczy magowie naprawdę to potrafią? Jeśli tak, tylko wyobraźnia może ograniczać tworzone przez nich istoty. – Grimalkin

Uzupełnienie: skrzydlata istota, która przemówiła do magovia i jak się zdawało, wskrzesiła mnie z martwych, była tulpą zrodzoną z wyobraźni Alice. Jak dotąd nie spotkaliśmy kobaloskiej tulpy, ale

musimy zachować czujność. - Tom Ward

Ulska: rzadka, śmiertelna kobaloska trucizna, która pali ofiarę od środka. Wydobywa się ją z gruczołów u podstawy szponów haggenniota. Wywołuje kirkhos, zwany „płową śmiercią”.

Unktus: pomniejszy kobalowski bóg, czczony jedynie przez najuboższych nędzarzy z miasta. Przedstawia się go w koronie z dwoma niewielkimi kręconymi rogami.

Valkarky: główne miasto i stolica Kobalosów, leżące tuż za Kołem Polarnym. Jego nazwa oznacza Miasto Skamieniałego Drzewa.

Vartek: to najpotężniejsza z trzech istot wyhodowanych przeze mnie z materiałów znalezionych w kryjówce haizdana.

Fakt, że potrafi przekopywać się przez warstwy skał oznacza, że może wyskoczyć z ziemi w samym sercu ludzkiej armii, budząc powszechną panikę. Ma trzy macki, zakończone kościanymi szpikulcami, niezwykle groźne zęby i umie pluć kwasem, który pali ciało i kości. Dzięki licznym nogom potrafi poruszać się bardzo szybko. Choć chronią go czarne łuski, uszy i podbrzusze, są wrażliwe na ciosy. Trudno orzec, jakie rozmiary osiąga dorosły vartek - może okazać się najgroźniejszym z bojowych stworów, jakie wypuszczą na nas Kobalosi. - Grimalkin

Na polu bitwy dorosłe varteki to przerażający widok. Wznosiły się wysoko ponad tłumy Kobalosów, wywijając mackami, a para z oddechu zbierała im się nad głowami niczym chmury. Na szczęście Kobalosi nie zdążyli ich użyć, a nasza artyleria wyłukła większość z daleka. Gdyby wkopały się pod nasze wojska, nikt by nie przeżył. - Tom Ward

Walkron: mała moneta, często nazywana walk, używana na całym Półwyspie Południowym, zrobiona ze stopu złożonego w dziesiątej części ze srebra. Jeden walkron to dzienna zapłata

zwykłego kobaloskiego żołnierza.

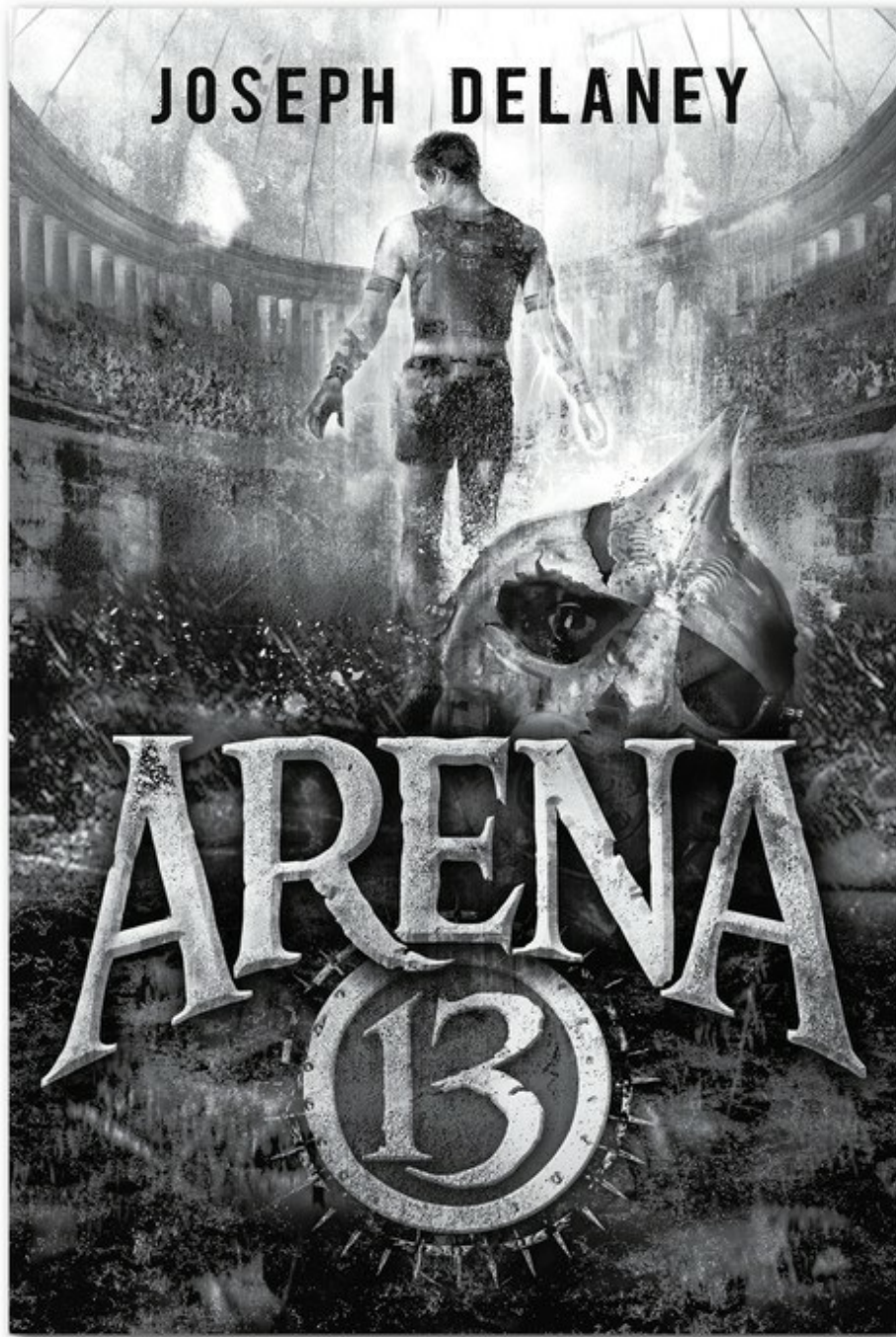
Whalakai: inaczej „wizja tego, co będzie”, to chwila percepcji, nawiedzająca zarówno wysokich magów, jak i haizdanów. To objawienie, które ukazuje im w jednym przeblysku całkowity obraz sytuacji, ze wszystkimi złożonymi niuansami, które do niej doprowadziły. Kobalosi wierzą, iż wizje te zsyła Talkus, Ten, Który Jeszcze Nie Nadszedł, i że mają doprowadzić do jego narodzin.

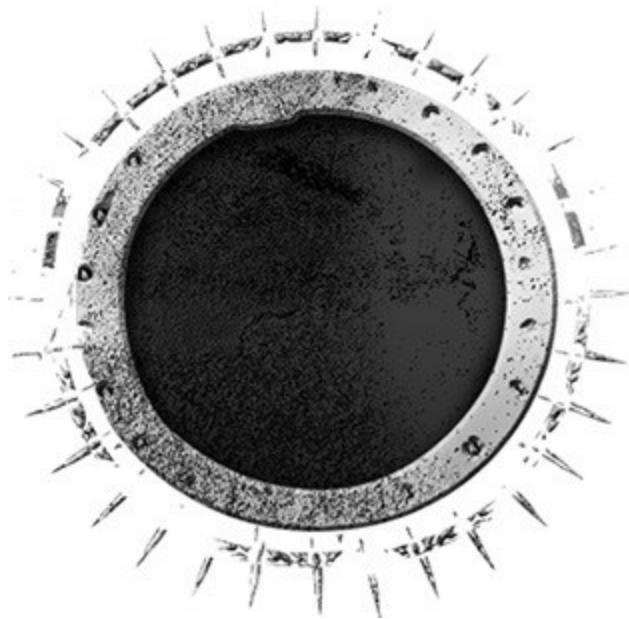
Whoskor: ogólna nazwa stworzeń, służących Kobalosom do niekończącej się rozbudowy miasta Valkarky. Mają szesnaście odnóży, z których osiem służy do kształtowania skoi, miękkiego kamienia, który wydzielają z pysków.

Zanti: to pierwsze stwory, które Grimalkin wyhodowała z próbek z kryjówki haizdana w drzewie niedaleko Chipenden i badała. Z kształtu podobne do ludzi, są bardzo chude, z długimi, łuskowatymi rękami i nogami. Głowy mają bezwłose, lecz pokryte czarną łuską, małe oczka szeroko rozstawione jak u ptaków, umożliwiające widzenie wszystkiego przed, obok i za sobą - Tom Ward

Zingi: to drugie stwory, które badała Grimalkin. Porastało je brązowe włosie, każdy miał sześć umięśnionych nóg o trzech stawach. Na cylindryczne ciała składały się trzy segmenty, każdy mieścił w sobie osobne serce i mózg. Z pierwszego sterczał długi, cienki kiel, pod nim otwierała się szeroka paszcza. Nie miały oczu ani nosów, musiały zatem odnajdywać ofiarę za pomocą innych zmysłów. Potrafiły przyzywać do siebie ofiary. - Tom Ward

Poznaj także nową trylogię Josepha Delaney





1

Walka na kije

Człeka można zranić kijem,
Ale wurd mocarniej bije.

Kompendium starożytnych ballad i opowieści

Patrzyłem, jak dwaj kijarze czujnie okrążają się nawzajem. Jasnowłosey chłopak był wysoki i szybki – miejscowy mistrz, przyjmujący wszystkie wyzwania. Zdążyłem już zobaczyć, jak z łatwością pokonał czterech przeciwników. Piąty sprawiał mu więcej kłopotu. Przysadzisty i muskularny, reagował zaskakująco szybko.

Wszyscy walczący byli parę lat starsi – oceniałem, że mają siedemnaście, osiemnaście lat – i znacznie rośniejsi ode mnie. Zastanawiałem się, czy zdołałbym pokonać mistrza? Czy jestem dość dobry?

Walczący wymienili już ciosy, ale żaden nie trafił w punktowane

miejsce: uderzenie w twarz bądź głowę oznaczało natychmiastowe zwycięstwo.

Walczyli na śmietniku na obrzeżach miasta, pośrodku kręgu podnieconych widzów, krzyczących i wymachujących rękami, w których ściskali bilety zakładów, kupione od konika, oglądającego starcie z daleka. Większość tłumu tworzyli ludzie młodzi – nastolatki, jak ja sam – ale zdarzali się też tacy w średnim wieku, demonstrujący podobny entuzjazm, krzyczący na potęgę i kibicujący jednemu z kijarzy.

Zakłady przeciw mistrzowi wiązały się z dużym ryzykiem: najczęściej traciło się pieniądze, choć jeśli przypadkiem się wygrało, otrzymywało się czterokrotność stawki. Sam nie obstawiłbym przeciw temu mistrzowi – mimo zręczności przeciwnika wyglądało na to, że jego zwycięstwo jest pewne.

Zresztą nawet gdybym chciał, nie mógłbym się założyć, bo nie miałem ani grosza. Wędrowałem od niemal dwóch tygodni i dopiero co przybyłem do miasta Gindeen. Od ponad dnia nic nie jadłem i doskwierał mi rozpaczliwy głód. Dlatego właśnie przyszedłem obejrzeć walki. Miałem nadzieję wziąć w nich udział. Konik planował starcia tak, by zarobić na zakładach, ale płacił tylko zwycięzcy.

Nagle niski, umięśniony chłopak zrezygnował z ostrożności i zaatakował szaleńczo, spychając przeciwnika do tyłu. Przez kilka sekund zdawało się, że agresja i szybkość się opłacą. Jednak wysoki blondyn ruszył naprzód i rąbnął mocno kijem prosto w usta tamtego.

Gdy wypolerowane drewno uderzyło o ciało i zęby, rozległ się głuchy trzask, a potem miękkie plaśnięcie.

Przeegrany poleciał chwiejnie w tył, wypluwając odłamki zęba. Z ust poląła mu się krew, plamiąc koszulę.

Walka dobiegła końca. Nadeszła moja kolej – a przynajmniej miałem taką nadzieję.

Dołączyłem do niewielkiej kolejki widzów, czekających na odbiór wygranych. W końcu dotarłem na czoło, patrząc na konika. Przewiązał ukośnie pierś błękitną szarfą, znakiem swojego fachu –

specja od hazardu. Dzięki mocnej szczęce i zmrużonym oczom sprawiał wrażenie twardziela. Co więcej, nos miał paskudnie złamany i przyplaszczony.

– Gdzie twój bilet? – spytał ostro. – Pospiesz się.

Gdy się odezwał, ujrzałem szczyrby i pieńki połamanych zębów, świadczące, że sam walczył niegdyś jako kijarz.

– Nie przyszedłem się zakładać – oznajmiłem. – Chcę wziąć udział w walce.

– Jesteś z południa, co? – zadrwił.

Przytaknąłem.

– Nowy w Gindeen?

Skinąłem głową.

– Walczyłeś wcześniej na kije?

– Mnóstwo razy. – Patrzyłem mu prosto w oczy, starając się nie mrugnąć. – Zwykle wygrywam.

– Czyżby? – roześmiał się. – Jak cię zwa, chłopcze?

– Mam na imię Leif.

– Cóż, nie brak ci jaj, Leif, przyznaję. Więc dam ci tę szansę. Możesz walczyć jako następny. Widzom spodoba się nowa krew!

Poszło łatwiej, niż się spodziewałem.

Poprowadził mnie na środek kępy ubłoconej trawy i położył lewą dłoń, wielką i mięsistą na mojej głowie. Potem wskazał wysokiego blondyna – jego poprzedni przeciwnik zdążył już zniknąć. Konik wezwał jasnowłosego gestem, wskazując, by stanął po prawej stronie.

– Rob znów zwyciężył! – zawołał. – Czy ktokolwiek pokona tego chłopaka? Cóż, może w końcu nadszedł ten czas... Oto Leif, nowy w mieście. Walczył już wcześniej na południu. Walczył i zwyciężał! Może przybysz z prowincji pokaże wam, miastowym, kilka sztuczek. Chodźcie zatem, przyjmuję zakłady!

Minęło parę chwil, nim ktokolwiek zareagował. Ponad dwieście par oczu oceniało mnie uważnie; część widzów uśmiechała się szeroko, inni patrzyli z nieskrywaną wzdrganą.

Ja tymczasem zmierzyłem przeciwnika uważnym spojrzeniem. Jego biała koszula jaśniała w przedwieczornym słońcu, ciemne

spodnie i skórzane buty musiały sporo kosztować. Natomiast moją zieloną kraciastą koszulę pokrywały plamy brudu po długiej wędrówce, a spodnie na lewym kolanie miały sporą dziurę. Ludzie patrzyli na moje buty, których podeszwy kłapały przy każdym kroku. Cerę miałem ciemniejszą niż ktokolwiek tutaj. Część widzów jedynie pokręciła głowami i odeszła.

Jeśli nikt nie zechce się zakładać, nie będę mógł walczyć. Potrzebowałem tej walki i musiałem wygrać.

Na szczęście, ku mojej uldze, wkrótce przed nami utworzyła się krótka kolejka i konik przyjął zakłady.

Potem pojawił się kolejny problem.

– Nie mam przy sobie kija do walki. Czy ktoś z obecnych mógłby mi go pożyczyć? – spytałem konika dostatecznie głośno, by zebrani również usłyszeli.

Własne kije zostawiłem w domu u mojego przyjaciela, Petera. Nie wyruszyłem do Gindeen, by zostać kijarzem – uważałem, że te czasy mam już za sobą.

Konik wywrócił oczami i zaklął pod nosem; część kolejki nagle odeszła, straciwszy zainteresowanie. Ale potem ktoś wsunął mi w prawą dłoń kij i chwilę później stanąłem naprzeciw mistrza, a zebrani utworzyli wokół nas krąg. Natychmiast przekonałem się, że mam przed sobą kolejny dylemat. Było późne popołudnie, słońce zniżało się na niebie. Patrzyłem prosto w ognistą kulę.

Przeciwnik ruszył ku mnie na ugiętych nogach, ciemna sylwetka na tle słonecznej tarczy. Zmrużyłem oczy, czekając na atak. Chłopak skoczył naprzód. Był szybki; ledwie uniknąłem ciosu. Uskoczyłem w lewo i zacząłem go okrążyć, on wodził za mną spojrzeniem.

– Rob! Rob! Rob! – Tłum począł skandować jego imię.

Chcieli, żeby wygrał. Ja byłem kimś obcym.

Przesuwałem się nadal, aż słońce przestało mnie oślepić i spojrzałem wprost w błękitne oczy. Tamten już nie kuczał. Był naprawdę wysoki. Sięgał ręką znacznie dalej niż ja. Musiałem sprawić, by wciągnął się w starcie, a potem podejść blisko.

Znów zaatakował, a ja uskoczyłem; jego kij śmignął mi nad

prawym ramieniem. Tym razem omal mnie nie trafił. A buty nie pomagały – z każdym krokiem oderwane zelówki ślizgały się na mokrej trawie.

Skup się, Leif, skup się, upomniałem się w duchu.

Kiedy znów zaatakował, okazałem się nie dość szybki. Wymierzył mi bolesny cios w prawą rękę; upuściłem kij.

Tłum natychmiast zaczął wiwatować.

Jedna z zasad pojedynków na kije brzmi, że cokolwiek się dzieje, nie wolno upuścić broni. Jeśli się to robi, to praktycznie koniec – przeciwnik może podejść bliżej i uderzyć, nie obawiając się riposty. Kij Roba trafił w nerw, tak że straciłem czucie w prawej ręce. Zwisła bezużytecznie.

Zacząłem ze sporą pewnością siebie – pamiętałem o wszystkich zwycięstwach w domu – może jednak błędnie oceniłem sytuację. Ostatecznie w mieście mieszkało znacznie więcej ludzi niż na wsi, z której pochodziłem. Logiczne zatem, że kijarzy też jest więcej i standardy będą wyższe.

Rob uśmiechał się; podszedł bliżej, unosząc kij. Zastanawiałem się, czy wyceluje w usta – jeśli tak, najpewniej stracę ząb.

Tłum znów zaczął skandować, coraz głośniej i głośniej.

– Uciekaj, króliczku! Uciekaj, króliczku! Uciekaj! Uciekaj!

Krzycząc, śmiali się. Chcieli, żebym się poddał i uciekł.

I faktycznie ucieczka stanowiłaby rozsądne wyjście. Po co czekać, aż dostanę w zęby?

Nigdy się nie dowiedziałem, czy Rob celował mi w czoło, czy też w usta. Zanurkowałem pod kijem, przeturlałem się tuż przy jego stopach, chwytając własny kij lewą dłonią. Nim zdążył się obrócić, zerwałem się z ziemi. Szybko zrzuciłem bezużyteczne buty – najpierw prawy, potem lewy. Czas jakby zwolnił biegu: słyszałem, jak kolejno lądują w trawie. Rozcapirzyłem palce u stóp, wbijając je w trawiastą powierzchnię. Tak lepiej. Mocniej uchwyciłem kij. Prawą rękę wciąż miałem zdrętwiałą, ale nieważne – idzie mi nią nieco lepiej, lecz lewą radzę sobie niemal równie dobrze. Mogę walczyć obiema.

Zaatakowałem.

Rob był szybki – ale ja także jestem szybki, i to bardzo. Może na bosaka nie poruszałem się tak sprawnie jak w porządnym butach, ale wystarczyło, by trafić go w prawy przegub, a potem wysoko w lewe ramię – nie dość mocno, aby zdrętwiało, zmuszając go do upuszczenia broni, udało mi się jednak go rozwścieczyć przeciwnika. Dokładnie tego chciałem.

Miałem dobre powody, by samemu się rozzłościć. Bolała mnie ręka, a w tłumie niewielu ludzi życzyło mi zwycięstwa. Postawiło na mnie zaledwie czterech. Lecz kijarz, któremu gniew zaćmiewa umysł, chyżym krokiem zbliża się ku porażce. Podczas walki zawsze próbowałem zachować zimną krew. Teraz widziałem, że mój przeciwnik jest wściekły. Najwyraźniej rzadko obrywał; może czuł wstyd, że doszło do tego na oczach kibiców, i pragnął się zemścić. Tak czy inaczej, załazłem mu za skórę i zrobił się nieostrożny. Skoczył ku mnie, wymachując kijem, jakby chciał oderwać mi głowę od szyi.

Chybił trzykrotnie; za każdym razem odtańczyłem na bok, cofając się w trawie. Ale po trzeciej próbie nagle pomknąłem naprzód.

Przez sekundę był odsłonięty. Wykorzystałem sposobność.

Mogłem uderzyć go w usta, powtarzając to, co zrobił z poprzednim przeciwnikiem. Niektórzy kijarze działają brutalnie i lubią zadawać możliwie największe obrażenia. Ja natomiast bardzo lubiłem walkę na kije i wolałem szlifować szybkość i zręczność wiodące do zwycięstwa niż zadawać ciosy kończące starcie.

Uderzyłem zatem Roba z minimalną siłą, trącając go w czoło. Nie popłynęła nawet krew.

Wystarczyło.

Rob wyglądał na oszołomionego. Tłum ucichł.

Wygrałem. Tylko to się liczyło.

Płacąc za walkę, konik uśmiechał się.

– Dobry jesteś. Bardzo szybki! – rzucił. – Wróc jutro o tej samej porze, a znajdę ci jeszcze lepszego przeciwnika.

– Może – odparłem z uśmiechem, wyłącznie z grzeczności. Nie

miałem zamiaru tu wracać, moje plany nie obejmowały walki na kije.

Teraz mogłem kupić strawę i zostało mi jeszcze trochę grosza – dość, by naprawić u szewca buty.

Noc spędziłem w stodole na skraju miasta. Zerwałem się o świcie i umyłem przy ulicznej pompie, starając się wyglądać najlepiej jak to możliwe. Czekają mnie spotkanie z Tyronem, jednym z najważniejszych ludzi w Gindeen.

Zdobyłem zwycięski niebieski bilet, dający prawo do szkolenia u najlepszego nauczyciela – a to oznaczało Tyrona.

Chciałem, by wyszkolił mnie do walki na Arenie 13.